

- Naprawdę? - spytała chłodno. Koszmarny tancerz, Booże zlituj się sędzia i obrzydliwy męski szowinista. Nie uczynił najmniejszego wysiłku, by ukryć, jak mocno nęka ją go owe "złe przeczucia", kiedy po raz pierwszy pojawiła się na sali rozpraw. - Czego pan się tak lękał, panie sędzio? - Próbowała zdobyć się na przyjazny uśmiech.

- To konserwatywny okręg i miasto. J cholernie jestem z tego dumny - oświadczył z emfazą. - Ludzie tutaj poostępują niezmiennie tak samo od pokoleń. Jesteśmy niechętni wszelkim nowościom i nie podoba nam się, gdy je ktoś narzuca. A kobieta prawnik to niewątpliwie coś nowego.

- Uważa pan, że miejsce kobiet jest w domu? Gotowanie, sprzątanie, opiekowanie się dziećmi, prawda? Nie powinny mieć żadnych aspiracji zawodowych.

- Tak bym tego nie ujął - odparł, odchrząknawszy.

- Och, z pewnością nie. - Wiedziała, że tak otwarta wypowiedź mogłaby go kosztować głosy wyborców. Sędzia H. W. Fargo starannie kontrolował to, co mówił na forum publicznym. Profesjonalny polityk i nieprofesjonalny sędzia.

- Chciałem tylko przez to powiedzieć, że Pros per jest nieewielkim, praworządym miastem. Nie zetknie się tu pani z problemami, które nęka ją inne aglomeracje. Wszelkie objawy zepsucia moralnego niszczymy w zarodku. Mówiąc "my", mam na myśli siebie i innych przedstawicieli publicznego ładu ... Staviamy sobie wysoko poprzeczkę.

- Sądzi pan, że mogę być przejawem zepsucia moralnego, panie sędzio?

- Ależ nie ... ależ nie ...

- Zatrudniono mnie, by zapewnić możliwość zasięgnięcia porady prawnej także tym, których nie stać na adwokata. Konstytucja Stanów Zjednoczonych gwarantuje to obywatelom.

- Wiem, co gwarantuje obywatelom konstytucja - oznajmił z rozdrażnieniem.

- Czasami sama sobie muszę to przypominać. - Kendall uśmiechnęła się, próbując złagodzić obraźliwy ton swej wypowiedzi. - W mojej pracy często mam do czynienia z ludźmi, z którymi wolałabym nigdy się nie zetknąć. Ale właśnie dlatego, że są przestępcami, potrzebują kogoś, kto by ich reprezentował przed sądem. Muszę bronić moich klientów, choćby najprzzykrzejszych, tak kompetentnie, jak tylko potrafię.

- Nikt nie kwestionuje pani kompetencji. Oczywiście jeśli nie brać pod uwagę tej śliskiej sprawy w Tennessee ... - urwał i uśmiechnął się obłudnie. - Ale dlaczego mielibyśmy o tym mówić akurat dzisiaj?

Właśnie. Dlaczego? Poruszył ten temat celowo. Jeśli sądził, że ona uzna to za przypadkowo popełnioną gafę ... Poczula pogardę.

- Nieźle pani pracuje, całkiem nieźle - rzucił pochlebstwo sędzia. - Ale przyznaję, że niełatwo mi było przyzwyczaić się do słuchania na sali sądowej kobiety dyskutującej o paraagrafach. - Jego śmiech zabrzmiał jak ujadanie. - Wie pani, zanim pojawiła się pani na rozmowie wstępnej, byliśmy pewni, że zatrudniamy mężczyznę.

- Chciałem wziąć dwanaście stówek.

- Tysiąc. - Kendall wyciągnęła z kieszeni dziesięć studolarowych banknotów i wręczyła mu je.

Splunął gęstą strużką soku tytoniowego w błoto i drapiąc się po włosach z namysłem spoglądał na pieniądze. Wreszcie podjął decyzję.

- Pani poczeka. Momencik i jestem z powrotem, kochaaniutka. Papiery mam w domu.

Pojechała z powrotem do szpitala samochodem pielęgniarki, a on ruszył za nią tym, który kupiła. Przy pralni przystanęła.

- Na razie zaparkuję tutaj - powiedziała, gdy wręczał jej dwa komplety kluczyków. - Potem przyjedziemy z mężem, żeby go zabrać. Odwiozę pana do domu. Przepraszam za kłopot.

Jeśli mu go sprawiła, czuł się z pewnością pocieszony tkwiącym w kieszeni tysiącem. Był oczywiście ciekaw, jak się nazywa, gdzie mieszka, gdzie pracuje mąż. Zadał co najmniej tuzin pytań, a ona grzecznie i z łatwością zbyła go kłamliwymi odpowiedziami.

- Urodzona z ciebie kłamczucha - stwierdziła kiedyś Ricki Sue. - Pewnie dlatego jesteś takim dobrym adwokatem.

Uśmiechnęła się z tęsknotą na to wspomnienie. Piekły wtedy we trzy ciasto w babcinej kuchni. Kendall niemal słyszała głosy obu kobiet, a ich twarze stanęły jej przed oczyma tak wyraziście, jakby babcia i przyjaciółka były z nią w szpitalnym pokoju.

Ricki Sue zamierzyła szyderstwo, Kendall potraktowała je jako komplement.

- Uwóżaj, Ricki Sue - powiedziała babcia. - Mówienie czegoś takiego wpływa na nią zachęcająco. A Bóg jeden wie, że nie potrzebuje żadnej zachęty, by cyganić.

- Nie cyganię! - zaprotestowała Kendall.

- To najgorsze kłamstwo, jakie od ciebie słyszałam - skarciła ją babcia, grożąc oblepioną ciastem drewnianą łyżką. - Ile razy wzywano mnie do szkoły z powodu przedziwnych historii, których naopowiadałaś kolegom? Bez przerwy wymyślała jakieś bajki - wyjaśniła Ricki Sue.

- Po prostu ubarwiałam czasem prawdę, bo tak było bardziej interesująco - oznajmiła Kendall wyniośle. - Trudno to nazwać cyganieniem.

- Pewnie, że trudno. To się nazywa oszukiwanie - oświadczyła rzeczowym tonem przyjaciółka i wrzuciła do ust garść czekoladowych draży.

Gardło jej się ścisnęło na wspomnienie tych, za którymi tak ogromnie tęskniła. Gdyby dłużej o nich myślała, mogłaby się rozkleić. A musiała działać, nie powinna tracić czasu. Nie wolno jej czekać, aż mężczyzna, który czytał w niej jak w otwartej książce, odzyska pamięć.

Spojrzała na zegarek. Pierwsza. Czas wychodzić.

Centrum Stephenville nie prezentowało się zbyt okazale: kilka przedsiębiorstw i jeden bank przy skrzyżowaniu głównych dróg. Wszędzie ciemno, światło paliło się tylko w biurze szejfy. Skręciła jedną przecznicę wcześniej, żeby obok niego nie przejechać.

- Wiesz, dokąd jedziesz? - zapytał.

- Może byś spróbował się zdrzemnąć?

- Nie ufam ci. Mogłabyś mnie wypchnąć z wozu w czasie, kiedy bym spał.

- Gdybym chciała, żebyś umarł, nie wyciągałabym cię z wraka.

Zapadł w ponure milczenie i nie odzywał się przez wiele mil.

Kendall myślała, że poszedł za jej radą i zasnął, ale gdy odwróciła głowę i popatrzyła na niego, napotkała czujne, skoncentrowane spojrzenie, jakby był strzelcem wyborowym obserwującym ją przez lunetkę celownika.

- Wyciągnęłaś mnie z wraka?

- Tak.

- Dlaczego?

Prychnęła.

- Bo wydawało mi się, że to po ludzku.

- Czyli ocaliłaś mi życie po to, żeby mnie porzucić w jakimś wiejskim szpitaliku, zdanego wyłącznie na siebie i kompletnie bezradnego?

- Nie zamierzałam cię porzucić.

- Kłamiesz.

Westchnęła ze znużeniem.

- Po naszej rozmowie dzisiejszego wieczoru zrozumiałam, że podobnie jak ja nie masz zaufania do ich lekarza, uznałam więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie przenieść cię gdzie indziej i zasięgnąć dodatkowej porady. Zamiast próbować załatwić to oficjalnie ... naprawdę nie chciałam urazić ich uczuć, zachowywali się tak szlachetnie wobec mnie i Kevina, byli tacy uprzejmi ... postanowiłam się po prostu wymknąć po cichu.

- A gdybym był pod działaniem środka usmierzającego?

- Tym lepiej. Oszczędziłbyś mi kłótni. - Rzuciła na niego okiem. - Pielęgniarka nie zrobiła ci zastrzyku, kiedy wyszłam? - Próbowala, ale nalegałam, by mi podała pigułkę .. Nie połknąłem jej. Też chciałem być w pogotowiu. Instynktownie przeczuwałem, że coś knujesz. Woląłem być przytomny.

- Ściągnęłaś im wyjałowione spodnie?

- Uznałem, że to lepsze niż włóczyć się po wiejskiej okolicy z gołym tyłkiem. Jedziemy do Karoliny Południowej? - Do Tennessee.

-Skąd ta zmiana planów? Co jest w Tennessee?

- Nawet jeśli ci powiem, nie uwierzysz mi, więc lepiej poczekaj, aż sam zobaczysz. - Co zrobiliśmy?

- Proszę?

- Najwyraźniej uciekamy. Jakie popełniliśmy przestępstwo?

- A skąd ci się, u diabła, ulągł taki pomysł?

- Bardziej to prawdopodobne niż ten stek bzdur, którymi mnie próbujesz nafaszerować.

- A w co zwłaszcza nie wierzysz?

- W nic. Ani w to, że jesteśmy małżeństwem i mamy dziecko, ani że miałaś zamiar mnie zabrać nawiewając. Nie wierzę w jedno twoje słowo. Zręczna z ciebie kłamczucha. Nie zaprzeczaj i nie pytaj, skąd wiem. Wiem. Wymyślasz to wszystko w miarę potrzeby.

- Nieprawda! - zaprotestowała, dotknięta i zaniepokojona. Mógł polegać całkowicie na swoim wyostrzonym instynkcie. Nikt, oprócz babci, nie potrafił przejrzeć jej na wskroś. W innych okolicznościach doceniłaby taką przenikliwość, ale teraz stanowiła śmiertelne zagrożenie. Musi postępować jak kochająca żona, by nie wzbudzić dalszych podejrzeń. W końcu ta sytuacja jest przejściowa. Z pewnością niedługo go przekona, że mówi prawdę.

Jechali w milczeniu. Szum opon na mokrej nawierzchni i rytmiczny odgłos szybko pracujących wycieraczek działał usypiająco.

Pozazdrościła Kevinowi spokojnego snu. Dałaby wiele, by móc odpocząć, zamknąć oczy, pozwolić, żeby sen ją ogarnął... Nawet myśleć o tym nie powinna. Odetchnie spokojnie, gdy bardziej oddali się od Prosper i od dociekliwego szeryfa ze Stephenville.

Zebrała się w sobie, ujęła mocniej kierownicę i przyśpieszyła. Nie przekraczała jednak dozwolonej prędkości.

Zagubiony w ciemnym, ciągnącym się bez końca tunelu, czuł tuż za plecami ogromną masę lokomotywy. Nie widział jej, nie mógł uciec. Pozostawało tylko czekać w napięciu na uderzenie. Najgorszy w tym wszystkim był strach przed nieuniknionym. Chciał, by uderzyła jak najszybciej, chciał mieć to już za sobą, nie czuć nieprzerwanego huku w głowie, rozszadającego czaszkę.

Własne ciało również przyprawiało go o udrękę. Nogi miał zeszywniałe, łąpały go kurcze, ale nawet nie próbował rozluźnić bolących mięśni; wiedział, że to nic nie da. Plecy mu zdręttwiały od długiego siedzenia w jednej pozycji. Zdrzemnął się z głową skrzywoną pod tak przedziwnym kątem, że teraz ledwie mógł ruszyć szyją. Ubranie wciąż miał mokre. Poza tym był głodny i musiał iść do toalety.

Co gorsza, znowu o tym śnił.

odrazą, chciał znaleźć się jak najdalej od niej i dziecka, uciec jak najszybciej - i nie mógł odwrócić od nich oczu. Otaczająca ją aura spokoju - jakiego on sam nigdy w życiu nie zaznał, tego był pewien - przyciągała go magnetycznie. Błogość malująca się na jej twarzy była mu czymś całkowicie obcym. A jednak pociągała go jako coś zupełnie naturalnego.

A może, pomyślał z obrzydzeniem do samego siebie, jego urzeczenie miało źródło w lubieżności? Może był perwersyjnym czubkiem, romansującym wyłącznie z karmiącymi matkami? Zwarł powieki i ścisnął nasadę nosa tak mocno, że łzy naapłynęły mu do oczu. Może wcale nie przeżył tego wypadku? Umarł i najpierw znalazł się w czyścicy, którym był szpital, a teraz dotarł do właściwego miejsca przeznaczenia.

Bo teraz z pewnością był w piekle.

- Jak się czujesz?

Żeby odpowiedzieć, musiał przełknąć ślinę, wypełniającą mu gorczyzną usta.

- Pomyśl o wszystkich kacach świata i pomnóż je przez dziesięć.

- Przykro mi. Miałam nadzieję, że cię nie obudzimy. Spałeś dobrze, gdy zmieniałam pieluszkę ...

- Skoro już o tym mowa ...

- Tam - pokazała skinieniem głowy.

Wyjrzał przez ociekające strumyczkami deszczu okno. Zaatrzymała się w przydrożnym parku. Nie było żadnego innego samochodu w polu widzenia. Miejsce przeznaczone do odbywania pikników porosły chwasty. Rdza wyżarła dziury w metalowych cylindrach, przez które wylewały się rozmiękle śmieci. Park wyglądał na całkowicie opuszczony.

- Muszę cię uprzedzić, że nie jest zbyt czysto - dodała. - W każdym razie w damskiej toalecie. Wszłam do niej z obrzydzeniem, ale nie miałam wyboru.

- Więc chyba ja też nie mam. - Sięgnął do klamki. - Będziesz tu jeszcze, jak wrócę?

Zignorowała zaczepkę.

- Jeśli poczekasz, aż Kevin skończy, podam ci rękę. Dziecko wysunęło spod kocyka rączkę i złapało ją za bluzkę. Malutkie paluszki odginały się i zamykały, odginały i zaamykały.

- Dziękuję - powiedział ochryple. - Dam sobie radę. Zaledwie parę jardów dzieliło samochód od budynku z beetonu. Skorzystał z brudnego pisuaru, a potem podszedł do umywalki; z kranu pociekła zabarwiona rdzą woda. Umył ręce. Nie było ich czym wytrzeć, ale nie miało to znaczenia; i tak zmokną, zanim dotrze do auta. Lustro też nie było. Może i lepiej - musiał wyglądać jak niedobitek powracający z długooletniej wojny. W każdym razie tak się czuł.

Kiedy wrócił do auta, dziecko leżało już w foteliku na tylnym siedzeniu.

- Jakies pięć mil stąd jest miasteczko - powiedziała zaapalając silnik. - Zatrzymamy się tam na kawę, a potem możemy zadzwonić do neurologa.

- Nie. Wszystko zniknęło wraz z samochodem, jak nam później powiedziała jego żona.
- Jego żona ... ?

- Pani Kendall.

Pepperdyne popatrzył przez ramię na jednego z agentów. Tamten wzruszył ramionami.

- Mówiłem panu.

- Jej nazwisko brzmi Burnwood - zwrócił się Pepperdyne z wyraźnym niesmakiem do pielęgniarki. - Kendall BUfillwood. Wymieniła to nazwisko?

- Nie. Wpisała w kwestionariuszu John i Mary Kendall.

- Widziałem ten kwestionariusz. - Któryś z agentów wcisnął mu kopię do ręki i Pepperdyne zamachał nią w kierunku zgromadzonych. - Nie zostawiła żadnych pustych rubryk, ale wszystkie informacje są fałszywe. Nazwiska, adresy, numery telefonów. Wymyślane numery polis. Nie przyszło wam na myśl, jakie to dziwne, że ma przy sobie gotówkę, a żadnych dokumentów? - Napotkał na mur nic nie mówiących spojrzeń.

- Nie obchodzi mnie jej nazwisko - odezwała się wreszcie inna pielęgniarka. - Jest przemiła. I uczciwa. Mogła sobie po prostu pójść, nie płacąc ani centa. Nie musiała zostawiać pieniędzy w swoim pokoju, a jednak zrobiła to. Leżały w takim miejscu, żeby od razu można było je zauważyć, i z nawiązką pokrywały rachunek. Jest też wspaniałą matką i bardzo się niepokoiła zanikiem pamięci męża. .

- Powodem niepokoju był strach, żeby jej nie odzyskał. ©Pepperdyne zwrócił się do lekarza: - Kiedy to może nastąpić? - W każdej chwili. Albo nigdy.

- Świetna odpowiedź - mruknął agent specjalny z nie-

smakiem. - Czy konsekwencje wstrząsu mogą być dla niego groźne?

- Nie, jeśli będzie się oszczędzał, tak jak doradzałem.

- Co z nogą?

- Złamanie bez komplikacji. Wydobrzeje całkowicie za parę miesięcy.

Lekceważący sposób, w jaki lekarz odpowiadał, podniósł Pepperdyne'owi ciśnienie krwi.

- Pozwolił pan pacjentowi z urazem mózgu i złamaną golenią tak sobie po prostu stąd wyparadować?

- Jakim sposobem mogliśmy przewidzieć, że ona zamierza wymknąć się z nim w środku nocy?

- To u was normalne? Często pacjenci wam się wymykają, panie doktorze? Nie wydało się to panu ciut podejrzane? Dlaczego natychmiast po odkryciu, że zniknęli, nie zawiadomił pan szeryfa?

- Szeryf wypytywał ich kilkakrotnie i nie kwestionował tego, co mówili. Nie umieścił ich w areszcie i nie zastosował innych środków. Co oni właściwie zrobili? Dlaczego w mieście aż roi się od pana agentów?

- Nie udzielam wyjaśnień - oświadczył Pepperdyne sztywno. Jeśli media coś zwęszą, sprawa nieźle się zawikła. Chciał tych ludzi zastraszyć, by wycisnąć z nich choć okrusz informacji, a nie zaintrygować tak, by się zorientowali, że sprawa ma ogólnokrajowy zasięg: kasek, za który każdy pismak dałby się posiekać. Na razie udało mu się utrzymać ich zniknięcie w tajemnicy. Im więcej czasu zdoła zyskać, nim przedostanie się to do prasy, tym lepiej. - Jak się wydostali z miasta? Nie skierował tego pytania do nikogo w szczególności. Był pewien, że nie ma ich w Stephenville. Nawet ta Burnwood, tak pomysłowa i zaradna, nie zdołałaby ukryć tu na długo dziecka i mężczyzny dotkniętego amnezją. Niewiele znalazłoby się w tym mieście kryjówek. Nie mówiąc już o tym, że jego agenci obeszlili je całe ze zdjęciami. I ani śladu. - Jakieś sugestie na ten temat? Może ktoś widział panią Burnwood prowadzącą samochód?

- Ja jej swój pożyczylam - zgłosiła się jedna z pielęgniarek. - Ale tylko na parę godzin. Pojechała do Wal-Mart kupić trochę rzeczy dla siebie i dziecka.

- Sprawdziła pani później licznik?

- Licznik? - powtórzyła, jakby było to urządzenie jej nie znane.

Znowu ślepy trop. Sprawdzono w policyjnych archiwach.

Od dwóch lat w Stephenville nie meldowano o kradzieży samochodu. W jedynym w mieście warsztacie handlującym używanymi autami stało wprawdzie kilka rdzewiejąc, ale ostatecznie sprzedano sześć miesięcy temu.

- Nie macie komunikacji autobusowej ani lotniczej. Żadnych łodzi, pociągów pasażerskich. Więc jak, do cholery, wydostali się z miasta?! - Od głosu Pepperdyne'a zadrżały szyby w oknach, ale nie wstrząsnął nikim na tyle, by udzielono mu odpowiedzi czy choćby sformułowano jakąkolwiek sugestię. Westchnął i poddając się oświadczył: - Dziękuję, że poświęcili mi państwo czas.

Kiedy podchodził do oczekującego helikoptera, jeden z agentów powtórzył jego pytanie:

- Ale jak właściwie mogli się stąd wydostać?

Pepperdyne dał nura pod wirującymi śmigłami i wrzasnął wściekle:

- Skoro wykluczaliśmy wszelkie inne możliwości, pierdoolone skrzydełka im wyrosły i odlecieli sobie!

Rozdział dziesiąty

- Jak ma na nazwisko? Przepraszam, powiedział pan: Crook? Zwyczajna pisownia? - Przytrzymując słuchawkę między ramieniem a policzkiem, Kendall zanotowała nazwisko na sądowym formularzu. - Schwytany na gorącym uczynku? Uhm ...

Ktoś zapukał do drzwi biura. Podniosła wzrok i zobaczyła machającego do niej Matta.

- Ale nie zaplanowaliśmy.
- Powiedz, że obiecałeś mi wałkonienie się przed telewizorem.
- Nie obiecywałem.
- Przecież nie będzie o tym wiedział!
- Ale ja tak.
- Och, na litość boską! - wykrzyknęła. - Nigdy nie skłamałeś?!
- Nie ojcu.
- No to powiedz mu prawdę! Że jestem prawdziwa cholera, jeśli chodzi o wieczory spędzane przez ciebie poza domem, i zagroziłam ci kastracją, jeżeli dzisiaj wyjdiesz. - Wstała z krzesła trzymając nóż do otwierania listów i udała, że chce go dźgnąć w krocze.

Śmiejąc się, zrobił unik.

- Wiedziałem, że będziesz rozczarowana.
- Nie jestem rozczarowana. Jestem wpierdzielona.
- Naprawdę musisz używać takiego słownictwa?

U śmiech zniknął z jego twarzy.

- Naprawdę nie muszę, Matt. - Rozdrażniła ją ta reeprymenda. - Ale cholernie dobrze mi to robi. Poślubiony trzy miesiące temu mąż przedkłada wieczór z psem myśliwskim ponad czas spędzony ze mną. Myślę, że uprawnia mnie to do "takiego słownictwa". - Odwróciła się i podeszła do biblioteczki wypełnionej książkami prawniczymi stanowiącymi jej własność i należącymi do sądu w Prosper tomami ze zbiorem ustaw Karoliny Południowej i prawa stanowego. Na jednej z półek stało ich ślubne zdjęcie, oprawione w ramkę, którą przysłał Roscoe. Patrzył na nią za każdym razem, gdy przychodził sprzątać. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, wystawiona tak na pokaz, jego wąta pierś zafalowała z dumy. Warto było znieść niezadowolenie Matta i Gibba z powodu wysłania mu zaproszenia, żeby zobaczyć jego uśmiech. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nowy pies myśliwski ma być taki ważny.

- Nie dla mnie - tłumaczył cierpliwie. - Ale dla Leonarda ma to ogromne znaczenie. Nie mogę urazić jego uczuć.
- A moje możesz. - Odwróciła się do niego twarzą.

- Nie chciałem tego.

- Cóż, jednak stale to robisz.

- Stale to próbuję wszystkich zadowolić - odpowiedział sztywno. - I szczerze mówiąc, czuję się już tym zmęczony.

Najwyraźniej ten problem nurtował go już od jakiegoś czasu.

- Zamknij się! - Henry dał bratu kuksańca w bok. - Niech mówi.

Ponieważ Henry był wyraźnie bardziej inteligentny z nich obu, co zresztą niewiele zmieniało, skierowała swoje uwagi do mego.

- Moim zdaniem, jeśli Billy Joe przyzna się w sądzie, że spowodował mylącą sytuację, to jest rzeczywiście opuścił sklep, nie płacąc za płyty kompaktowe, chociaż miał szczerzy zamiar tak zrobić, udzieli mu ostrzeżenia i obejmą probacją.

- Co to znaczy?

- Że nie spędzi ani chwili w więzieniu ani nie zostanie odesłany do Columbii. - Odesłanie do Columbii oznaczało czterdzieści pięć dni spędzonych przez młodocianego przestępcę w izbie zatrzymań pod obserwacją pracowników departamentu do spraw nieletnich. Przewodniczący kompletu sędziowskiego wydawał następnie orzeczenie na podstawie ich opinii.

- Co to jest ta probacja?

- Zawieszenie wyroku i poddanie nadzorowi. Billy'emu

Joe nie wolno spowodować następnej takiej "mylącej sytuacji", na przykład przez rok. Przez cały ten czas będzie nadzorowany. Lepiej dla niego, żeby w tym okresie nie wpadł w tarapaty.

- A jak wpadnie?

- To po uszy.

Henry rozmyślał nad tym, co usłyszał, jednocześnie machiinalnie drapiąc się pod pachą.

- Jest inna możliwość?

- Może powiedzieć, że jest niewinny, i albo skończy się to surowszymi warunkami zawieszenia, albo w Columbii. Moim zdaniem sędziowie zareagują życzliwiej na skruczę oskarżonego i poczytają mu ją na jego korzyść. - Popatrzyli na nią pustymi oczami, więc spróbowała inaczej: - Sędziowie najprawdopodobniej orzekną korzystniej dla Billy'ego Joe, jeśli powie, że żałuje, i przyrzeknie nie robić niczego złego więcej. Muszę powiedzieć, że ten pomysł trafił mu do przekonania. Przysiągł mi trzymać się z daleka od kłopotów, jeżeli wykaraska się z tej wpadki. Tak to wygląda. Jaka podejmuje panowie decyzję?

Bracia odeszli na bok i zaczęli się naradzać szeptem.

- Dobra - oświadczył Henry w imieniu ich obu, gdy do niej z powrotem dołączyli. - Zgadza się na to, co pani mówi.

- Świetnie. Ale żeby wszystko było jasne: przyznając się do wyjścia ze sklepu bez uregulowania rachunku, Billy Joe przyznaje się tym samym do popełnienia przestępstwa. Nie ma gwarancji, że rzeczywiście zmiękczy to serca sędziów. Podejmujemy grę i może się ona obrócić przeciwko nam. Choć według mojej oceny jest to bezpieczna gra.

- Nie są moimi znajomymi, Matt. Billy Joe jest moim klientem. Zgodnie z Konstytucją Stanów Zjednoczonych każdy, nawet Billy Joe Crook, ma prawo do obrońcy. Jeśli się nie mylę, w Prosper przestrzega się konstytucji. Fakt, moi klienci rzadko wywodzą się ze śmietanki towarzyskiej miasta.

- Nie podoba mi się to. Dzień po dniu stykasz się z brudami życia.

- Po prostu pracuję!

- Myślę, że cały problem polega na braku lojalności - wtrącił się Gibb. - Kendall, wzięłaś stronę Crooków przeciwko Mattowi i wszyscy to widzieli.

Zapatrzyła się na niego, nie dowierzając oczywistej prawdzie, że mówi na serio.

- Traciecie miarę. Obydwaj.

- Pewnie masz rację - stwierdził Gibb zgodnie. - Wolałbym zapobiec powstawaniu w przyszłości podobnych nieporozumień. I sądę, że znalazłem sposób. Proszę cię - wskazał jej puste krzesło.

Wróciła na nie z ociąganiem. Podobnie jak Matt, Gibb nie wdawał się w dyskusję, tylko z miejsca rozstrzygał sprawy.

- Już od jakiegoś czasu noszę się z tym pomysłem ... - zaczął Gibb. - Chyba nie będzie lepszego momentu, by go przedstawić. Nie myślałaś, Kendall, żeby wrócić do prywatnej praktyki?

- Nie.

- A może powinnaś.

- Nie chcę pracować w atmosferze bezlitosnej konkurencji, w kolejnym zespole adwokackim, w którym ważniejsze jest budowanie własnej pozycji niż samo prawo.

- A jeśli nie w takiej atmosferze? - zapytał Gibb. □ Gdybyś założyła własne biuro? Pokrywałbym rachunki, dopóki byś wszystkiego nie rozkręciła.

Tego się nie spodziewała i na chwilę zdumienie odebrało jej mowę. Wiedziała, że musi odrzucić jego propozycję odpowiednio zręcznie i dyplomatycznie.

- To niezwykle szczerze z twojej strony, Gibb. Dziękuję ci bardzo, ale nigdy nie byłabym w stanie ci się wypłacić. Nie miałabym nawet tylu klientów, by zarobić na utrzymanie biura. - Mam o tobie wysokie mniemanie.

- Nie chodzi o moje niskie mniemanie o sobie. Chodzi o mniemania obywateli Prosper. Trudno by je było nazwać bardzo postępowymi, prawda? - spytała ze smutnym uśmiecchem. - Gdyby Crookowie mieli jakiś wybór, na pewno nie chcieliby, abym reprezentowała w sądzie Billy'ego Joe. Czy w ogóle ktoś w tym mieście zaangażowałby kobietę? Zawierzył jej w razie problemów z prawem?

- Nie musiałabyś się starać o rozległą klientelę - oponował Gibb.

- Boże święty, ależ skądże! Co też pani przyszło do głowy?
- Dzień dobry, pani Gardener, cześć, Amy. - Matt nie mógł wybrać bardziej odpowiedniego momentu, aby się do nich przyłączyć. - Kochanie, możemy już iść? Tata zamówił lunch w klubie country. Jeśli się nie pośpieszymy, babtyści zajmą nam wszystkie najlepsze stoliki. Mam rację, drogie paanie?
- Obdarzył obie rozbajającym uśmiechem, poprosił o wybaczenie i wyzwolił Kendall.

Kiedy szli na parking, pokazała mężowi grupkę mężczyzn, od których Gibb właśnie się odłączył.

- Wygląda to jak konferencja na szczycie. Czego dotyczyła?

- Dlaczego pytasz? - odpowiedział obronnym tonem, co ją zdumiało, ponieważ rzuciła pytanie niedbale, niemal obojętnie.

- Bez specjalnego powodu, Matt, zwyczajnie jestem ciekawa.

Wyraz napięcia znikł z jego twarzy. Uśmiechnął się.

- Zwołujemy ekstra zebranie na jutrzejszy wieczór, żeby przedyskutować kościelny budżet.

- Aha.

- Proszę cię, nie rób kwaśnej miny.

- Nie robię. Zresztą mam mnóstwo papierkowej roboty do nadgonienia. Zabiorę się do tego, gdy ciebie nie będzie. - Ostatnio przyjęła taktykę, by się nie uskarżać, gdy wychodził wieczorem, a on ze swej strony starał się wracać wcześniej i wynagradzał swą nieobecność wyjątkowo miłym zachowaniem.

W podzięcie za okazane mu zrozumienie pocałował ją. Czuli się jeszcze do siebie, gdy podszedł do nich Gibb, dzierżąc pod pachą Biblię.

- Róbcie tak dalej, wy dwoje, a szeryf każe was aresztować za obrazę moralności - mówił z żartobliwą kpina; sadowiając się na tylnym siedzeniu samochodu. - Jedźmy wreszcie. Kaazanie tak się ciągnęło, że zaczęło mi burczeć w żołądku do akompaniamentu.

- Są jakieś wieści o Billym Joe Crooku, tato? - zapytał

Matt, zapalając samochód.

- Wieści? - spytała zaalarmowana.

- Przytrafił im się wypadek w drodze do Columbii - odpowiedział Gibb z tylnego siedzenia.

- Wypadek? - Odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Jaki? Wszystko z nim w porządku?

- Nie, Kendall, nie bardzo.

Luther ogryzając zadartą skórę przy paznokciu wbił wzrok w brata. Henry wzruszył ramionami w odpowiedzi na zawarte w jego wzroku pytanie; sam był równie ogłupiały. Obaj byli zdenerwowani i bliscy wybuchu. Zupełnie nie wiedzieli, co począć.

- Chciałem dziecka?
- Oczywiście.
- Uważam, że nie. - Zakłopotany i znękany, potarł czoło.
- To okropne tak uważać!
- Brutalna szczerość. Zatem które z nas dwojga tu udaje? - Spojrzał na nią z niemą prośbą o wyjaśnienie, ale Kendall zachowała obojętny wyraz twarzy. - W takim razie może wojowaliśmy o pieniądze?
- Nie.
- Seks?

Odwróciła wzrok i potrząsnęła głową.

- Seks - oświadczył, wyciągając wnioski z tego, jak zareagowała.
- Wszystko było pod tym względem między nami w porządku.
- No to chodź tutaj.
- Po co?
- Chodź tutaj - powtórzył cicho i zabrzmiało to zniewalająco.

Gdyby nie ustąpiła, mógłby wziąć jej upór za strach. Może i tak było, ale nie miała zamiaru pozwolić, by odkrył, że się go boi. Obeszła więc stół i stanęła naprzeciwko niego.

- Robisz jakiś test?
- Coś w tym rodzaju. - Nakrył ciepłymi dłońmi jej piersi. Wciągnęła gwałtownie powietrze, a on wyszeptał: - Zawaliłaś.

To było trudniejsze niż ostatniej nocy, ale wiedziała, że musi wytrwać, jeśli dalej chce się wydawać wiarygodna.

- Po prostu ... upłynęło zbyt dużo czasu.
- Ile? - LeCiutko uciskał wnętrzem dłoni jej piersi.
- Od urodzenia się Kevina i jeszcze przedtem.
- To rzeczywiście nie mam się co dziwić.
- Dziwić, czemu?

Gdy ich ciała się zetknęły, stało się dla niej jasne, co miał na myśli. Pochyliwszy głowę musnął jej wargi i Kendall przeszły ciarki. A potem pocałował ją mocno, rozwartymi ustami, pieszcząc czubkiem języka jej język.

- Nie. - Odsunęła się od niego bez tchu.
- Dlaczego? - Jego wargi wędrowały po jej szyi. - Bo jestem nabrzmiała.
- Nabrzmiała?

- Jedna kula utkwiała w szyi, druga weszła w czoło, mniej więcej w tym miejscu - pokazał na własnej czaszce. - Trzecia przebiła kość policzkową i wyszła przez skroń po drugiej stronie głowy. Strzelano z bliskiej odległości. Około trzeciej rano. Umarł od razu. We własnym łóżku. - Przeniósł wzrok na Lottie.

Siedziała nieporuszona, z dłońmi splecionymi na podolku.

Jej twarz niczego nie wyrażała. Kendall pomyślała, że jej stoicyzm może bardzo pomóc w czasie rozprawy. Podziękowała policjantowi i zapytała:

- Czy koroner przesłał już protokół autopsji?

- Nie. Zabrał się do pracy dziś rano. Powiedział, że może zdąży do końca dnia.

- Chciałabym prosić o jak najszybsze przesłanie mi kopii.

- Oczywiście, ale znajdzie pani w niej tylko potwierdzenie tego, co właśnie powiedziałem.

Nie wdawała się w dyskusję, zapytała tylko:

- Na podstawie jakich dowodów zatrzymano moją klientkę pod zarzutem popełnienia morderstwa?

Oficer, który do tej pory siedział oparty o ścianę z nogami skrzyżowanymi przed sobą i dłubał w zębach wykałaczką, parsknął rubasznym śmiechem. Wskazał rewolwer, leżący na stole w plastikowej torebce opatrzonej etykietką.

- To jest narzędzie zbrodni. Leżał na podłodze obok łóżka, na którym Charliemu przestrzelono głowę. Zdjęto z niego odciski palców Lottie Lynam, a na jej rękach były drobiny prochu. Mogłaby pani znaleźć coś bardziej obciążającego?

- A pan mógłby? - spytała Kendall prowokująco.

- Kiedy weszliśmy do kuchni - podjął relację drugi policjant - Lottie siedziała za stołem popijając czystą whiskey, niewzruszona jak głaz.

- To oczywiste, że pani Lynam musiała się czegoś napić, skoro była w szoku po dokonanej na niej gwałcie.

- Gwałcie?! Charlie był jej mężem. Pobrali się lata temu.

Mamy tu do czynienia z niewątpliwym morderstwem. Łatwo stwierdzić, co się wydarzyło - zaprotestował oficer.

- Tak? - Ton głosu Kendall sprowokował go do spekulacji.

- Charlie wrócił do domu pijany. Nie pasowało to Lottie. Pewnie zaczęła zrzedzić i przyłożył jej trochę. Nie mówię, że miał rację - zastrzegł się pośpiesznie. - Krew ją zalała i kiedy zasnął, zaczęła do niego strzelać i zabiła go.

- Czy ma pan zeznania świadków? - spytała Kendall.

- Świadków ...

- No, kogoś, kto tam był i wszystko widział - wyjaśniła z niewinną miną.
- Czy sąsiedzi mogą potwierdzić, że doszło do awantury? Czy ktokolwiek jest w stanie potwierdzić, że pani Lynam była zła na męża i dlatego go zastrzeliła? Poza tym mogła mieć ten rewolwer w ręce setki razy przed wydaarzeniami ostatniej nocy.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Oni nie mają żadnych sąsiadów - przyznał oficer niechętnie. -
Mieszkają na uboczu.

- Rozumiem. Czyli nikt nie słyszał, by kłótnia, o której pan mówił, miała rzeczywiście miejsce? Nikt też nie był świadkiem morderstwa?

Policjant wypluł wykałaczkę i odepchnął się od ściany. - Nikt też nie był świadkiem gwałtu.

Kendall podziękowała obydwu i poprosiła, by ją zostawili samą z klientką. Kiedy wyszli, Lottie wreszcie się odezwała: - Było mniej więcej tak, jak mówili.

Kendall właśnie tego się obawiała, ale nie zdradziła się ze swoimi uczuciami.

- Jest pewne, że opierając się na dowodach rzeczowych, jakie zgromadzili, oskarżą panią o morderstwo. Niezależnie od popisu, jaki tu urządziłam, obie dobrze wiemy, że nacisnęła pani spust tego rewolweru i zabiła męża. Nie jest pani niewinna, fakt. Niemniej o winie orzeka sąd. Moje zadanie polega na tym, aby wypuklić i wykorzystać wszelkie fakty waszego małżeńskiego pożycia, które umniejszą pani winę. Zanim znajdziemy się na sali sądowej, muszę dowiedzieć - się czegoś więcej o pani małżeństwie. Nie wolno zaskakiwać własnego adwokata na sali rozpraw. Dlatego z góry panią przeproszam za grzebanie się w pani osobistych sprawach. To bardzo nieprzyjemna, ale konieczna część mojej pracy.

Lottie wyraźnie nie zachwyciła ta konieczność, ale skinęła głową. Zaczęły od jej życiorysu.

Urodziła się w Prosper jako najmłodsza z piątki dzieci. Rodzice już nie żyli; rodzeństwo rozproszyło się po świecie. Lottie skończyła szkołę, przez rok uczęszczała do college'u, a potem podjęła pracę sekretarki w firmie ubezpieczeniowej. Charlie Lynam był akwizytorem sprzedającym artykuły biurowe.

- Przyszedł kiedyś do mojej firmy, zaczął ze mną flirtować, a potem zaproponował, byśmy spotkali się poza biurem. Powiadała Lottie. - Najpierw mu odmówiłam, ale w końcu się poddałam i widywaliśmy się, ilekroć przyjeżdżał do Prosper. Jedno prowadzi do drugiego ...

Byli małżeństwem siedem lat. Nie mieli dzieci.

- Nie mogłam. Usunięto mi wyrostek robaczkowy, gdy byłam jeszcze nastolatką. Wdała się infekcja i w rezultacie stałam się bezpłodna.

Życie Lottie Lynam trudno było nazwać pełnym treści. Ale im dłużej mówiła, tym większą sympatię czuła do niej Kendall i w końcu musiała

samej sobie przypominać, że powinna zachować profesjonalny dystans wobec klientki. Bardzo chciała pomóc tej kobiecie, która uciekła się do tak desperackiego czynu, by obronić się przed brutalnością męża.

- Zebrałam trochę danych, gdy pani jadła śniadanie i brała prysznic. - Kendall otworzyła skoroszyt. - W ciągu ostatnich trzech lat wzywała pani do domu policję siedem razy. - Spojrzała na swoją klientkę. - Zgadza się?

- Skoro pani tak mówi ... Straciłam rachubę.

- Dwukrotnie panią hospitalizowano. Raz miała pani złamane żebra, drugi oparzenia na pośladkach. Co to były za oparzenia, pani Lynam?

- Naznaczył mnie moją własną lokówką - odparła z godnym podziwu spokojem. - Miałam dużo szczęścia. Próbował ... wypalić mnie od środka, żebym już raz na zawsze należała wyłącznie do niego, jak powiedział.

Po raz kolejny Kendall przypomniała sobie, że ma się skoncentrować na faktach. Nie wolno jej ulegać współczuciu.

- Był zazdrosny?

- Jak szaleniec. O każdego, kto nosił spodnie. Cokolwiek robiłam, dokądkolwiek poszłam, zawsze oskarżał mnie o chęć zwrócenia na siebie uwagi mężczyzn. Chciał, żebym dobrze wyglądała, ale kiedy rzeczywiście się postarałam, wpadał w furję, ledwie jakiś mężczyzna na mnie spojrzał. Upijał się i bił mnie.

- Czy kiedykolwiek groził, że panią zabije?

- Tyle razy, że nie potrafiłabym zliczyć.

- Proszę przypomnieć sobie te momenty, gdy ktoś mógł go słyszeć. Rozmawiała pani z kimś o jego brutalnym zachowaniu? Z pastorem? Adwokatem z Sądu Rodzinnego?

Lottie potrząsnęła przecząco głową.

- Byłoby to niezwykle pomocne, gdyby ktoś potwierdził, jak bardzo bała się pani jego ataków szału, w czasie których mógł panią zabić. Z nikim o tym pani nie rozmawiała?

- Nie - odpowiedziała po chwili wahania.

- No dobrze. Co się wydarzyło ostatniej nocy, pani Lynam?

- Charlie był w podróży przez wiele dni. Wrócił do domu zmęczony i wściekły. Zaczął pić i wkrótce się upił. Wpadł w szal i zaczął rozrzucać to, co mu przygotowałam na obiad. Ciskał jedzeniem o ściany. Porozbijał talerze ...

- Policjanci widzieli ten bałagan?

- Nie, wszystko posprzątałam.

Niedobrze, pomyślała Kendall. Dowód na to, że Charlie ogarnął szal, byłby bardzo pomocny w sprawie.

- Proszę opowiadać dalej - zachęciła ją.

- Wypadł jak burza z domu i nie było go przez kilka godzin. Wrócił około północy jeszcze bardziej pijany i w jeszcze gorszym nastroju. Nie chciałam iść z nim do łóżka, więc tak mnie potraktował - pokazała na posiniaczoną twarz. - Myślałam, że w świetle prawa to jest gwałt, jeśli kobieta mówi "nie" .

- I jest. Jak rozumiem, dzisiejszej nocy dała pani jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na seks, tak?

Kiwnęła głową.

- Zmusił mnie. Rzucił na łóżko i złapał ręką za gardło, a potem zdarł ze mnie majtki. Bolało. Wiem, że właśnie tego chciał.

- Pobrali próbki zza pani paznokci w szpitalu. Znajdą jego naskórek? Dowód, że pani walczyła?

- Powinni. Podrapałam go jak kocica. Kiedy skończył, okraczył mnie, przeklinał najgorszymi wyrazami i groził, że zabije.

- Jak dokładnie brzmiały jego słowa?

- Wyjął z szuflady nocnego stolika rewolwer, wetknął mi lufę między zęby i zagroził, że odstrzeli mi moją pieprzoną głowę. Powinien był mnie wtedy zabić, zanim zapadł w sen ... Długo leżałam, znużona i obolała, zbyt przestraszona, by się poruszyć. Wiedziałam, że dopóki śpi, jestem bezpieczna. Ale co będzie, kiedy się obudzi? Dlatego właśnie postanowiłam zabić go, nim on się na to zdecyduje. - Patrząc Kendall prosto w oczy, wyznała: - Podniosłam rewolwer i strzeliłam mu trzykrotnie w głowę. Tak, jak powiedzieli. Nie żałuję tego. Prędzej czy później by mnie zamordował. Moje życie nie jest czymś wspaniałym, ale nie chciałam umierać.

Wróciwszy do biura, Kendall zapatrzyła się w krople deszczu uderzające o szyby jak drobiny śrutu.

- Niesamowite - zamruczała.

Kiedy rankiem wchodziła do sądu, Bama przepowiedział deszcz.

- Jeszcze przed zmierzchem - oświadczył żebrak, kiwając rozważnie głową.

- Nie widzę ani jednej chmurki. - Kendall z powątpiewaniem popatrzyła na czyste niebo nad głową. - Jesteś pewien? - Burza przed zachodem słońca. Niech pani zapamięta moje słowa.

Miał rację. Grzmoty piorunów budziły echa daleko w górach, osnutych mgłą i skrytych wśród nisko wiszących chmur. Kendall ogarnęło niejasne przecucie czegoś złego. Wzruszywszy ramionami, oddzwoniła do tych, którzy nagrali się na automaaticzną sekretarkę, a potem zabrała do otwierania korespondencji. W porannej poczcie znalazła kolejny list od Crooków, pełen oskarżeń i niedwuznacznych gróźb, okraszonych straszliwymi błędami ortograficznymi. Piąty od czasu wypadku Billy'ego Joe, ale bynajmniej nie najgorszy. W kilka dni po tym, jak urwało mu ramię, otrzymała paczkę ze zdechłym szczurem w środku.

Wiadomość rozprzestrzeniła się po gmachu sądu lotem błyskawicy. Dotarła też do redakcji gazety, mieszczącej się dwie przecznice dalej. Natychmiast pojawił się u niej Matt, pytając, czy to prawda.

Kiedy mu pokazała woniejący nieprzyjemnie dowód rzeczowy, chciał natychmiast zwołać członków straży obywatelskiej, by puścili się w pogoń za bliźniakami i każdym, kto nosi nazwisko Crook. Gibb, któremu do tego czasu również przeekazano tę rewelację, oczywiście poparł syna. Kendall ledwie na nich wymogła, by nic nie robili.

- To, co spotkało Billy'ego Joe, wytrąciło ich z równowagi.

Do pewnego stopnia nawet im współczuję.

- Współczujesz?! - krzyknął Matt. - Zrobiłaś co mogłaś dla gówniarza! To zwyczajny złodziejaszek!

- Nawet jak na takie męty podobne próby zastraszania są nie do przyjęcia - oświadczył Gibb. - Gangsterskie metody; trzeba je wypłenić raz na zawsze.

- To prymitywni ludzie - przyznała im rację, próbując ich uspokoić.

- Ostrzegałem tych białych śmieci, żeby nie ważyli się ciebie skrzywdzić ... - Matt urwał.

- I nie skrzywdzili. Jeśli się im odwzajemnimy czymś podobnym, zniżymy się do ich poziomu. Matt, Gibb, proszę, nie działajmy pochopnie. To mi przyniesie więcej szkody niż cokolwiek, co mogliby zrobić bracia Crook. Muszę się zachowywać jak na profesjonalistkę przystało, i jestem przekonana, że poowinnam to zignorować.

Udało jej się w końcu ich pohamować i uzyskać obietnicę, że nie podejmą akcji odwetowej. Zważywszy na ich reakcję, zataiła fakt podjęcia przez Crooków następnych prób przesłania jej wiadomości. Powiedziała na przykład Mattowi, że przednią szybę w jej samochodzie rozbił odłamek skalny, który wyprysnął spod kół ciężarówki. W rzeczywistości stało się to pewnego wieczoru, gdy wracała z sądu. Zobaczyła wybitą szybę i kamień owinięty niecenzuralnie sformułowanym przesłaniem.

Nie zniszczyła przysyłanych do biura listów; mogły stanowić dowód rzeczowy, trzymała je więc w zamkniętej szafie na akta. Wpięła ostatni do skoroszytu i skoncentrowała się na przypadku Lottie Lynam. Wiedziała, że ta sprawa zdominuje jej rozkład zajęć na najbliższe miesiące.

Jak się spodziewała, Dabney Gorn przyszedł się z nią zobaaczyć po południu. Zaczął rozmowę prorokując:

- No, będziemy mieli tutaj niezłe zamieszanie.

- Naprawdę? - spytała niewinnie Kendall. - Dostajemy wreszcie nową windę? Ta, którą mamy, jest tak rozklekotana, że zawsze chodzę schodami.

Zachichotał, chcąc wyrazić, że docenia jej dowcip.

- Ten numer nie przejdzie, pani Burnwood. Wpakowała się pani w ciężką sprawę.

- To prawda. Ale lubię pokazać pazury przy okazji czegoś tak odrażającego jak naruszenie nietykalności osobistej i gwałt.

- A co z morderstwem?

- Morderstwem? - Zabrzmiało to tak, jakby wprawił ją tym pytaniem w zdumienie. - Mówimy o tym samym przyypadku?

- Sprawa Lottie Lynam.

- Kwalifikuje pan to jako morderstwo? Nie wiem, co powiedzieć.

- Dostała pani te same protokoły co ja.

- W takim razie jakim sposobem przeoczył pan zdjęcia, które zrobiono pani Lynam w szpitalu? Albo akta dotyczące jej poprzednich pobytów w szpitalu czy też raporty dokumentujące policyjne interwencje z powodu burzliwych awantur w ich domu?

- Wszystko to tylko podtrzymuje moją tezę, że Lottie działała z rozmysłem - oświadczył. - Miała wszelkie powody, by popełnić zarzucany jej czyn, i wiele czasu, by to przemyśleć. Zostanie oskarżona o morderstwo z premedytacją. Miała pani nadzieję na zabójstwo w afekcie? Nic z tego. Pani klientka przemyśliwała nad tym od dawna, zanim ostatecznie zdecydowała się zaciukać Charliego.

- Jeszcze trzeba to udowodnić i pan dobrze o tym wie, panie prokuratorze. Nie namyślając się wiele mogę sformułować setki argumentów podważających pańską tezę.

- No dobrze, pani mecenas. Przestańmy owijać rzeczy w bawełnę - oświadczył po sekundzie namysłu. - Charlie Lynam, ofiara zbrodni, nie budzi zbyt dużej sympatii. Wszyscy wiedzą, że pił za dużo i regularnie spuszczał Lottie manto. Proponuję oszczędzić pieniądze podatników i nasz czas.

- Jak brzmi najkorzystniejsza dla mojej klientki propozycja? - spytała, nie wdając się w dłuższe korowody.

- Doradzi pani Lottie przyznanie się do nieumyślnego dokonania zabójstwa. Dostanie jakieś dwadzieścia lat, a odsiedzi najwyżej osiem.

- Dziękuję, ale nie. Moja klientka jest niewinna.

- Niewinna? - W jego głosie brzmiała konsternacja. - Wnosi pani o uniewinnienie?

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Jaką przyjmie pani linię obrony? Niepoczytalność?

- Lottie Lynam jest całkowicie świadoma swoich czynów.

Zdawała sobie sprawę, co musi uczynić, by ocalić życie. Deesperacki czyn, przyznaję, ale zabiła męża w akcie samoobrony.

Rozdział piętnasty

- Panie Pepperdyne!

- Tutaj! - odkrzyknął.

Młody agent wpadł do maleńkiej kuchni. Pepperdyne podniósł oczy znad rozrzuconych na stole domowych rachunków Kendall Burnwood, które uważnie przeglądał.

- Coś ciekawego?

- Tak, panie Pepperdyne. Właśnie znaleźliśmy to w sypialni. Było przyklejone taśmą do spodu szuflady w komodzie.

Pepperdyne wziął plik papierów z rąk podekscytowanego agenta i zaczął czytać. Jego podwładny, zbyt spięty, by usiąść spokojnie, przemierzał wąską przestrzeń między stołem a kuuchenką.

- Zwłaszcza ta sprawa z kaznodzieją ... tym Bobem Whittakerem, jest interesująca - odważył się powiedzieć. - Nie wiedzieliśmy, że nie ukończył seminarium, a właściwie został poproszony o jego opuszczenie z powodu nadzwyczaj ortodoksyjnych poglądów.

- Nie, nie wiedzieliśmy - przyznał sucho Pepperdyne.

- Ale pani Burnwood, tak. Wszystko ma udokumentowane.

- Hmm. Nasza pani Burnwood musiała być cholernie zaapracowana.

- Ma pan tu też pełne dossier prokuratora okręgowego z Prosper. Już pan do tego doszedł?

- Nie. Proszę mi pokrótce zreferować.

- Został skreślony z listy adwokatów w Luizjanie i zaraz potem przeniósł się do Karoliny Południowej, a w parę lat później wybrano go na prokuratora okręgowego hrabstwa Prosper. Śmierdząca sprawa, żeby nie powiedzieć więcej. Jeszcze lepiej prezentuje się dossier sędziego. Bankierzy, kuratorzy szkolni, administracja, niech pan wymieni kogokolwiek ze znaczących członków tej społeczności, a znajdzie go tu pan, rozpracowanego, ze skazą na życiorysie, i to głęboką. Wszystko tu pan ma.

Pepperdyne był pod wrażeniem: Kendall Burnwood przeeprowadziła niezwykle intensywne poszukiwania, a wyniki zaaćmiewały niekiedy to, co oni odkryli.

- Ile to jej musiało zabrać czasu, taka rozległa penetracja - zauważył młody agent. - Jest naprawdę sprytna.

- O tak, sprytna jest szalenie - zgodził się Pepperrdyne. - I śliska jak glut z nosa.

- To już dwa tygodnie, odkąd zniknęli ze szpitala i ani śladu po nich.

- Wiem, ile czasu minęło! - warknął Pepperdyne, zrywając się tak gwałtownie na równe nogi, że omal nie wyrzucił małego kuchennego stołu.

Ton jego głosu sprawił, że agent umknął, mrużąc pod nosem coś o potrzebie dokładniejszego przeszukania sypialni.

Pepperdyne podszedł do zlewozmywaka. Na parapecie okiennym rachityczny bluszcz mężnie toczył walkę o przeetrwanie, nie zważając na brak wody. W ceramicznym wazonie stał kwiat słonecznika, a zasłony okienne przytrzymały po bokach ozdoby również w kształcie kwiatów słonecznika. Pepperdyne przyłapał się na tym, że wodzi po jednej z nich palcem, uśmiechając się lekko. To własność porywaczki, powiedział sobie, odrywając dłoń. No, ale może nie morderczynie. Sekcja zwłok pasażerki samochodu, który znaleziono w Georggii, udowodniła, że zgon nastąpił na skutek uderzenia, a nie utonięcia. Pani Burnwood nie była morderczynią. W każdym razie do tej pory.

Agent specjalny zapatrzył się w okno, rozmyślając nad tym, co właśnie odkryli na temat Kendall Burnwood i mieszkańców miasteczka Prosper w Karolinie Południowej. Im więcej wiedział, tym mniej rozumiał. Odpowiedzi na pytania rodziły następne pytania, jeszcze bardziej skomplikowane i alarmujące. A im dłużej tamtych troje pozostawało w ukryciu, tym bardziej stygł ślad. Zakławszy cicho, zabębnił pięścią w okno.

Gdzie się podziewasz, dziewczyno? I co z nim zrobiłaś?

Odezwał się zawieszony na ścianie telefon. Pepperdyne rzucił się w tę stronę i utkwiał wzrok w aparacie. Znowu zadzwonił. Istniała słaba szansa, że ktoś telefonuje do Kendall Burnwood, ktoś, kto mógłby naprowadzić ich na trop. Nie chciał tego kogoś wystraszyć. Ze ściśniętym żołądkiem podniósł słuchawkę i ostrożnie powiedział:

- Halo.

- Pan Pepperdyne?

- Przy telefonie. - Rozluźnił się.

- Mówi Rowlins. Mamy coś.

Żołądek Pepperdyne'a skurczył się znowu, kiedy skojarzył nazwisko agenta; był to jeden z tych, których zostawił w Steephensville.

- Tak, słucham.

- Znaleźliśmy faceta, który twierdzi, że sprzedał Kendall Burnwood samochód. Rozpoznał ją na zdjęciu.

- To pewne?

- Całkowicie.

- Gdzie się, do cholery, do tej pory podziewał?

- U wnuków na Florydzie. Za pieniądze od pani Burnwood kupił bilet do Miami i zafundował sobie pierwszy lot w życiu.

- Płaciła gotówką?

- Tak twierdzi.

Niedobrze. Żadnych śladów w bankach. Nie liczył wprawdzie zbyt na jej beztróską, ale nigdy nie wiadomo.

- Nie było go w mieście, kiedy przeszukiwaliśmy wszystkie domy. Wrócił ubiegłej nocy i od razu zabrał się do przeglądania lokalnych wiadomości, żeby się zorientować co nowego. Wtedy właśnie zobaczył jej zdjęcie w gazecie. Przeczytał artykuł i zadzwonił do nas.

- Nadaj komunikat, niech szukają tego samochodu.

- Już to zrobiłem, proszę pana.

- To dobrze. Nie spuszczaaj również oka z tego faceta. Zaraz do was wyjeżdżam.

Rozdział szesnasty

Niech one przestaną! Zrób coś! Nie wytrzymam tego! Niech przestaną, niech przestaną, niech przestaną! Jezu! Nie! Boże!

Obudził go własny krzyk. Usiadł w łóżku i toczył wokół dzikim wzrokiem. Ręka bezwiednie powędrowała pod materac, pod którym schował broń.

- Nie ma go tam.

Głos Kendall. Słyszał ją, ale jej nie widział.

- Zabrałam go i schowałam w takie miejsce, że tym razem nie znajdziesz.

Poruszył głową, by otrząsnąć się z resztek snu i przeszukał wzrokiem pokój. Zlokalizował ją w końcu: leżała na podłodze przy łóżku.

- Co się stało? Co ty robisz na podłodze?

- No, tutaj wylądowałam, kiedy mnie strąciłeś z łóżka. Śnił ci się jakiś koszmar, więc próbowałam cię obudzić i wtedy dostałam sójkę w bok.

- Nic ci nie zrobiłem?

- Nie - odpowiedziała, podnosząc się z podłogi.

Był złany potem, a jego serce uderzało jak po wielkim biegu. Czuł się bardzo słaby i zupełnie wytrącony z równowagi. Uniósł kolano zdrowej nogi i oparł na nim czoło.

- To musiało być coś przerażającego - zauważyła. _ Zapamiętałeś ten sen?

- Na szczęście nie - odparł podnosząc głowę. - Ale cholernie się wystraszyłem.

- Cały ociekasz potem. Przyniosę myjkę.

Kiedy wyszła, wstał, podszedł do okna i usiadł na twardym krześle. Uniósł story i ku swemu rozczarowaniu stwierdził, że dzień nadal jest tak samo nieciekawym i sennym jak przedtem, kiedy poddał się panującemu wokół letargowi i zapadł w drzemkę. Dwa tygodnie temu skończyły się ulewne deszcze i nastąpiły upały, które kompletnie pozbawiały energii.

Obejrzał się przez ramię i popatrzył na zmięte, przesiąknięte potem prześcieradła.

- Przykro mi, że ci sprawiłem kłopot - powiedział, gdy Kendall wróciła do pokoju.

- Żaden kłopot zmienić pościel. - Po chwili wahania dodała: - Nie pierwszy raz miałeś ten koszmar.

- Nie?

- Nie. Tylko tym razem było gorzej niż zwykle. Czujesz się już trochę lepiej?

Skinął głową i z wdzięcznością przyjął szklanę lemoniady, którą przyniosła na tacy. Ręka mu drżała. Pociągnął kilka głębokich łyków oziębionego napoju, a potem przesunął zimnym szkłem po czole.

Zdumiał się, poczuwszy chłodną myjkę na karku. Zwykle trzymała się z daleka, pilnując się bardzo, by go nie dotknąć. Przesunęła ściereczkę po jego ramionach, bokach i wzdłuż kręgosłupa do pasa, gdzie zebrało się sporo potu. Miękka myjka, delikatnie przesuwana po ciele, chłodziła rozkosznie i niosła ulgę.

Pomyślał o tym, jak troskliwie zajmowała się dzieckiem.

Kimkolwiek była, matka z niej wspaniała. Łagodna. Umiejąca dawać. Uważna. Kochająca. Zachwycała w tej roli. Widok niemowlęcia wywoływał na jej wargach niewymuszony, naturalny uśmiech, rozjaśniający całą twarz. Obserwował ją, kiedy nie była tego świadoma. Czasami niemal zazdrościł dziecku. Nie pamiętał oczywiście swego dzieciństwa, ale wątpił, by kiedykolwiek kochano go tak całkowicie i szczerze, zarówno jako dziecko, jak i dorosłego.

Wątpił też, by sam był zdolny kochać inną ludzką istotę tak bardzo bez zastrzeżeń i nieegoistycznie. To go niepokoiło.

- Lepiej? - Położyła mu na karku myjkę.

- Tak. Dzięki. - Sięgnął spontanicznie do tyłu i przykrył jej dłoń. Przytrzymał kompres na karku przez jakiś czas, więząc jej rękę. - O wiele lepiej.

- To dobrze.

Odsunął w końcu dłoń, a ona wycofała swoją. Wytarł myjką piersi i brzuch; poczuł żal, że skóra na nim nie jest bardziej napięta, młodsza. Złapał spojrzenie Kendall, ale natychmiast odwróciła wzrok. Odezwali się oboje jednocześnie:

- Przyniosłam ...

- Po co to ... ?

- Dowiesz się za chwilę - odpowiedziała. - Na razie dam ci trochę czasu na dojście do siebie.

Usiadła na brzegu łóżka i splotła ręce na podolku. Chodziła w szortach i miała opalone nogi. Chyba goliła je regularnie po kąpieli, bo zawsze wyglądały na jedwabście gładkie. Właśnie: wyglądały. Nie mógł tego stwierdzić, bo nie dotknął jej od tamtego poranka, gdy ją pocałował. Ustanowiła zasadę "ręce z daleka", więc przekonywał sam siebie, że w porządku, niech to będzie tabu. Skoro jej to odpowiada, jemu też z tym dobrze.

Ale nie było dobrze. Cały czas trawiło go pożądanie. Żył obok niej jako jej mąż, a musiał zachowywać się jak człowiek obcy i z każdym dniem coraz więcej go to kosztowało. Oderwał wzrok od jej małych, wąskich stóp.

Boże, kim jest ta kobieta?!

Od czego ucieka? Bo uciekała. Mogła sobie zaprzeczać do dnia Sądu Ostatecznego, on i tak wiedział, że poza czterema ścianami tego domu czyha coś, co ją przeraża. Każdej nocy kilkakrotnie wstawała z łóżka, podchodziła na palcach do okna i wyglądała na podwórze. Czego wypatrywała? Zawsze udawał uśpionego podczas tych jej nocnych wycieczek, ale był ich doskonale świadom. I straszliwie denerwowało go, że nie zna powodów tej czujności. Dlaczego mu nie ufała, nie poozwalała sobie pomóc? Przypuszczał, że jest po części przyczyną jej kłopotów. Była to bardzo stresująca świadomość, a mogła przecież rozproszyc jego obawy, udzielając kilku prostych, uczciwych odpowiedzi. Spał przy jej boku przez wszystkie dłużeńce się noce w ciągu ostatnich dwóch tygodni, a jednak nie zdobył jej zaufania.

Słuchał, jak oddycha, gdy śpi, a mimo to nie wiedział o niej nic. Rozpoznałby jej zapach, dźwięk głosu, ale nie należała do niego, choć oddałby za to życie.

- Jak znalazłaś rewolwer?

- Niewiele jest dostępnych dla poruszającego się o kulach mężczyzny miejsc, w których mógłby coś ukryć.

Pierwszego ranka, kiedy tu przyjechali, ona przetrząsnęła kuchnię, a on jej rzeczy. Wtedy właśnie odkrył pod pieluszkami rewolwer; ostatnie miejsce, w którym można się spodziewać broni. Było to potwierdzenie tego, co wiedział od początku: kłamała jak z nut. Sytuacja nie wyglądała tak niewinnie, jak to usiłowała przedstawiać.

Oczywiście ogromnie się zdenerwowała, zobaczywszy go z rewolwerem w ręce. Powiedziała, że go zwędził, i oskarżyła o wtykanie nosa w cudze sprawy, z czym się zgodził. Ale gdy zażądała, by go oddał, roześmiał się jej w nos.

Co prawda, to jednak ona śmiała się ostatnia, ponieważ schowała naboje gdzieś indziej, nie w pieluszkach i broń stała się bezużyteczna. A jednak samo jej posiadanie dawało mu fałszywe poczucie siły. I co najbardziej zdumiewające, świetnie się z nią czuł. Trzymał rewolwer w dłoni w niepokojąco naturalny sposób, a jego ciężar wydawał się znajomy. Ani cienia niezręczności w obchodzeniu się z bronią; budziła w nim reespekt, ale nie strach. I chociaż nie miał nabożów, był pewien, że procedura załadowywania i strzelanie też nie mają dla niego tajemnic. Zaczął się zastanawiać, skąd to obycie. Próbował sobie przypomnieć, czy i kiedy posługiwał się rewolwerem, ale pamięć niczego mu nie podsuwała. Mimo to ów przedmiot mógł wydobyć jakiś błysk przypomnienia z przeszłości, toteż złościł się, że już go nie ma.

- Jeszcze go znajdę - oświadczył.
- Nie tym razem.
- Będę szukał do skutku.
- Nic z tego.
- Czyj on jest?
- Mój.
- Karmiące matki rzadko noszą ze sobą rewolwery, Kendall. Na co ci on? Potrzebny ci był, żeby mnie porwać? Więzisz mnie dla okupu?

Roześmiała się.

- A ile myślisz, że jesteś wart? Czujesz się bogaczem? Zastanawiał się przez chwilę, a potem z kwaśną miną potrząsnął głową.
- Nie.
- Przypomnij sobie, jak nalegałeś, żeby ze mną pójść. Nie wyszedłeś ze szpitala wbrew swojej woli.

Fakt. Mógł odłożyć do lamusa teorię o porwaniu i okupie.

- Ukryłaś rewolwer razem z kluczami od samochodu?
- Po co szukałeś kluczyków?
- Po co je chowałaś?
- Nawet gdybym ci podsunęła samochód na złotej tacy, co byś z nim zrobił? Jak byś prowadził?
- Jestem cholernie pewien, że bym spróbował.
- Zostawiłbyś mnie tutaj uwięzioną z Kevinem?
- A ty? - zapytał. - Tylko czekasz na pierwszą okazję, jaka ci się nawinie, żeby mnie zostawić.
- Zanim odejdę, muszę coś zrobić - oświadczyła uszczypliwie. - Lepiej, jeśli się z tym od razu uporam. - Wstała i sięgnęła po tacę, którą postawiła na nocnym stoliku.

Podejrzliwie przyjrzał się plastikowej buteleczce z alkoholem do dezynfekcji, małym nożyczkom i pęsetce.

- Uporać się z czym?
- Zamierzam usunąć ci szwy.
- Wykluczone.
- To nic takiego.
- Łatwo ci mówić. Nie ty je masz. Dlaczego nie jedziemy do lekarza?

- Bo nie ma powodu. - Zwilżyła kwadracik gazy alkoholem. - Trzeba je przeciąć i wyciągnąć. Widziałam, jak się to robi.

- A ja widziałem operację na otwartym sercu. Co nie znaczy, że umiałbym ją przeprowadzić.

- Gdzie ją widziałeś?

- Tak tylko powiedziałem. - Machnął ręką w kierunku tacy. - Zabierz to całe oprzyrządowanie. Nie zbliżysz się do mnie z nożyczkami w ręce. Skąd mam wiedzieć, że nie wbijesz mi ich w tętnicę szyjną?

- Gdybym miała taki zamiar, zrealizowałabym go, kiedy spałeś, i to dużo wcześniej.

No tak. Chciała się go pozbyć, ale morderstwo nie leżało w jej planach - a może tylko tak mu się wydawało.

- Przestań się pieścić i pochyl głowę. - Wyciągnęła rękę, ale ją pochwycił.

- Naprawdę wiesz, co robisz?

- Zaufaj mi.

- Nie w tym życiu.

Podniosła oczy ku niebu.

- Zostało ledwie parę szwów. Reszta już dawno się rozpuściła.

Skąd tyle o tym wiesz?

- Lekarz mi powiedział. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie będzie bolało. Przysięgam. Rana jest zagojona.

Musiało to być prawdą, bo już od paru dni nic mu nie dokuczało; znikł ból głowy, mógł umyć włosy, skóra wokół szwów ani pod nimi nie była już tak wrażliwa. Okrągłe wygolone miejsce na głowie zaczynało porastać szczecinką kłujących włosów i swędziało jak jasna cholera. Niechętnie puścił jej ramię.

- No dobrze. Ale jeśli zaczniesz boleć ...

- To przestanę.

Położyła mu dłoń na policzku i przechyliła głowę. Przemyła nasączonym alkoholem tamponem skórę w okolicy szwów. - Trzymaj sztywno szyję - powiedziała, odkładając gazę na bok i podnosząc parę nożyczek do manikiuru.

Zrobiła to bardzo delikatnie. Gdyby nie usłyszał cichego szcęknięcia nożyczek, nawet by się nie zorientował, kiedy przecięła pierwszy szew. Inna rzecz, że był znieczulony bodźcami silniejszymi niż ból - czuł jej oddech na włosach, jej udo dotykało jego uda, pierś była dręcząco blisko jego twarzy. Może źle zrobił, decydując się ją sprowokować. Ale wtedy wydawało mu się to znakomitym pomysłem: całkowicie bezpiecznym testem na jej bajeczkę o małżeństwie. Teraz zaczął się obawiać, że popełnił błąd;

najwyraźniej bardziej poruszyło to jego niż ją. Ilekroć jej piersi zakłósały się pod koszulą nocną czy podkoszulkiem, przed oczami stawał mu obraz jak z erotycznego marzenia sennego.

- Dobrze się czujesz? - zapytała nieoczekiwanie.

- Tak, dobrze.

- Noga ci nie dokucza?

- Nie.

- To o co chodzi?

- O nic.

- Więc się nie niecierpliw. Nie mogę tego robić, gdy się wierzysz.

- Skończ wreszcie, dobrze? - powiedział kłótliwie. Odłożyła nożyczki i wzięła pęsetkę.

- Może cię troszeczkę ...

- Ouu!

Szarpnięcie.

- Ouu!!

Odstąpiła krok do tyłu i położyła ręce na biodrach; podkoszulek opiał się na piersiach, uwydatniając ich kształt.

- Może chcesz sam to zrobić?

Chcę ciebie, zawyło mu coś w mózgu. - Powiedz tylko, a przestanę.

- Skoro już tyle zrobiłaś, wyciągnij te pieprzone nici!

Kiedy skończyła, zaczęła delikatnie tamponować skórę gazikiem. Piekiło trochę, ale się nie skarżył.

- Będiesz jak nowy, gdy tylko ci włosy odrosną - stwierdziła, dotykając po raz ostatni jego głowy wilgotnym gazikiem. - Nie całkiem.

- Myślisz o amnezji? Żadnych przebłysków pamięci?

- Nie udawaj rozczarowanej. Wolisz, żebym nie pamiętał, prawda?

- Oczywiście, że nieprawda.

- Więc czemu mi w ogóle nie pomagasz? Jesteś okropnie skąpa w udzielaniu informacji. - Lekarz powiedział...

- Lekarz powiedział, lekarz powiedział - przedrzeźnił ją nieprzyjemnym tonem. - Sama mówiłaś, że nie ufasz ani odrobinę temu oślizłemu kutasowi z lekką gadką, ale cholernie łatwo przychodzi ci go cytować, kiedy ci to dogadza.

- Lekarz powiedział, żebym nie przeciążała twojej pamięci zbyt wieloma informacjami.

Sprawiała wrażenie nieporuszonej jego opryskliwością ani wulgarnym językiem. Czy coś ją w ogóle mogło poruszyć? Opanowany ton głosu i cierpliwość nie uspokoiły go, wręcz jeszcze bardziej wzburzyły było mieć o to do mej pretensję. A jednak właśnie słowo "strach" najlepiej oddawało to, co czuł za każdym razem, gdy zbliżał się do dziecka. Przyglądała mu się z ciekawością, musiał więc coś wymyślić. - Denerwuje mnie, kiedy słyszę, jak kwilą al bo płaczą.

Na samą myśl o płaczącym dziecku krople potu wystąpiły mu na twarz. Powróciło słabe wspomnienie nocnego koszmaru, ale tym razem nie odsunął go; zamknawszy oczy, spróbował je uchwycić. Zobaczył coś, co mu przedtem umknęło: chciał w swoim śnie, by dzieci przestały płakać. Teraz nagle zroozumiał, że cisza była równie straszna jak płacz. Ich nagłe zamilknięcie oznaczało śmierć. Był tego pewien. I z jakiegoś powodu był za nią odpowiedzialny. Jezu!

Minęło sporo czasu, nim otworzył oczy. Czuł ogromne fiizyczne zmęczenie, był roztrzęsiony i wypalony psychicznie.

Nie poruszyła się. Stała przy nim, obserwując go z mieszaaniną troski i lęku.

- Czy w Stephenville chciałaś się ode mnie uwolnić z poowodu małego? - zapytał. - Co mu zrobiłem?

- Nic.

- Kendall, nie kłam. Mam uraz wobec małych dzieci i nie wiem dlaczego. Jeśli nie jestem ohydny sukinsynem, musi być jakiś tego powód. Jaki?

- Nie wiem.

- Powiedz mi.

- Nie wiem!!! Nie wiem!!!

Rozdział siedemnasty

Jestem w ciąży!

Usiłując powściągnąć nieco swoją radość, Kendall mocniej ujęła kierownicę. Kiedy szła po ulicy, śmiała się głośno sama do siebie. Gdyby ktoś ją mijał, mógłby pomyśleć, że oszalała, ale za bardzo była szczęśliwa, żeby się tym przejmować.

Matt z pewnością niczego nie podejrzewał. Nic w tym nieezwykłego, że wyszła z domu niemal o świcie. Często przychodziła do biura przed oficjalną godziną rozpoczęcia pracy, aby trochę w spokoju popracować. Tego ranka pojechała jednak do gabinetu ginekologa. Woląa poczekać z przekazaniem tej rewelacji Mattowi do czasu, gdy lekarz potwierdzi, że upragniony potomek Burnwoodów został poczęty.

Wymogła na doktorze i jego personelu zachowanie tajemnicy. Wieści rozchodziły się po Prosper zbyt szybko, a nie chciała, by Matt dowiedział się o tym od kogoś innego, zanim ona będzie miała okazję mu powiedzieć.

Może podczas lunchu? Tak, zadzwoni i umówi się z nim gdzieś na mieście. Albo lepiej poczeka do wieczora. Zjedzą obiad przy świecach.

Było wciąż jeszcze wcześniej, gdy zajechała przed gmach sądu. Jej samochód był jedyny na parkingu. Szła jak na skrzydłach w kierunku budynku, a potem opustoszałym korytarzem prowadzącym do jej biura. Kiedy skręciła za róg, zauważyła, że w jej pokoju pali się światło. Widocznie Roscoe też wcześniej zaczął pracę. Wetknęła głowę w na pół otwarte drzwi i zamiast powiedzieć zwyczajnie "dzień dobry", wykrzyknęła:

- Boże święty!

Dozorca podskoczył ze strachu, ale kiedy zobaczył, że to Kendall, z jego oczu znikło przerażenie i przybrały przeprasający wyraz.

- Miałem nadzieję, że zdążę posprzątać przed pani przyjściem, pani Burnwood.

Niesamowity akt wandalizmu. Odłamki zbitej szyby w drzwiach zasypały podłogę. Dokumenty z rozbitej szafy na akta porozrzucano po całym pomieszczeniu. Książki prawnicze zostały zmiecione z półek. Dwa fiołki afrykańskie, które tak troskliwie pielęgnowała, wyrzucono z doniczek na biurko. Leżały na nim tylko połamane listki i kopczyk wilgotnej ziemi, resztę zmieciono na podłogę; porwano, połamano, zmiażdżono. Skórę na fotelu pocięto.

- Kto to zrobił?

- Nie sądzi pani, że to dzieło tej białej hołoty, Crooków?

Owszem, sądziła, ale nie powiedziała tego na głos. Wezwała policję i niemal natychmiast przyszło dwóch policjantów. Zaaczeli rutynowe czynności, ale Kendall widziała, że zupełnie się do tego nie przykładają. Kiedy skończyli pobierać odciski palców, odprowadziła ich korytarzem, nie chcąc, by rozmowa doszła do uszu Roscoe.

- Udało się wam odkryć jakieś podejrzane odciski palców?

- Trudno powiedzieć - oświadczył jeden z nich. - Pani, pani sekretarki i tego starego czarnucha to pewnie będzie wszystko, co odkryjemy.

- Skąd pani wie, że to nie on? - Drugi policjant skinął głową w kierunku biura.

Kendall poczuła się tak dotknięta rasistowskim określeniem "czarnuch", że przez moment nie pojęła, o co tamtemu chodzi.

- Pan Calloway? - spytała z niedowierzaniem. - A jaki mógłby mieć w tym cel?

Wymienili spojrzenia, wyrażające nieme potępienie dla jej naiwności.

- Tak ... no więc może pozwoli pani, pani Burnwood, że poszukamy jakichś sensownych poszlak. Narobiła sobie pani może ostatnio wrogów?

- Dziesiątki. Zwłaszcza u was, w policji -- odparła zgryźliwie. Nie miała nic do stracenia, obrażając ich. Przeprowadzą rutynowe postępowanie i za chwilę wszystko zostanie zapomniane. Nie będzie rzetelnego

dochodzenia. Policjanci jej nie lubili. Zbyt wielu z nich wykończyła podczas krzyżowego ognia pytań. - Będę wdzięczna za wszystko, co zrobicie - dodała z sarkazmem.

Patrzyła za nimi, gdy odchodzili korytarzem, wiedząc, że na tym sprawa się skończy, jeśli sama nie zacznie szukać sprawców. A nie zrobi tego ze względu na Matta. Gdyby się dowiedział, co zaszło, mógłby na serio pomyśleć o daniu poważnej nauczki Crookom.

- Roscoe, będziesz tak miły i pomożesz mi uprzątnąć ten cały bałagan?

- Przecież nie musi pani pytać.

- Dziękuję. Akta powinny zostać uporządkowane najszybciej. Będę ci wdzięczna - dodała - jeżeli utrzymamy to w sekrecie. Proszę, nie mów o tym nikomu. Nawet mojemu mężowi.

Koło południa przestała wreszcie chodzić po okruchach szkła i rozrzuconych po podłodze papierach. Sekretarka uporządkowała z grubsza akta. Roscoe znalazł i wyczyścił jakieś porzucone krzesło, które miało jej służyć, nim dostanie nowe.

Najchętniej własnoręcznie zastrzeliłaby braci Crooków, gdyby stanęli na jej drodze; nie tylko za splądrowanie jej biura, ale także za odarcie najwspanialszego dnia w jej życiu z radości. Zamiast spokojnie rozkoszować się świadomością, że jest w ciąży, i planować, w jaki sposób zakomunikuje tę wiadomość Mattowi, musiała usuwać skutki ich wandalizmu. I kłamać zaciekawionym pracownikom sądowym, wśród których naatychmiast rozprzestrzeniła się wieść o tym, co się stało w jej biurze. Prokuratorowi Gornowi również. Zjawił się, kiedy już miała wychodzić.

- Co tu się dzieje? - Wskazał na pracownika wymieniającego szybę w drzwiach.

- Postanowiłam trochę inaczej urządzić biuro. - Nie dając mu czasu na dalsze dywagacje, zaatakowała: - Co pana sprostowadza o tej porze, panie Gorn? Zabrakło mrożonej herbaty w kawiarni naprzeciwko?

- Bardzo pani wygadana, pani mecenas. Dziwię się, że Gibb z Mattem nie nauczyli pani do tej pory lepszych manier. - Matt jest moim mężem, nie nauczycielem, a Gibb w ogóle nie może mi nic kazać. Nawiasem mówiąc, gdybym nie była wygadana, nie załazałabym panu tak za skórę. Z każdym dniem coraz bardziej mnie to wciąga, panie prokuratorze. - Wyciągnęła rękę po teczkę, którą ze sobą przyniosła; przypuszczalnie właśnie jej zawartość skłoniła go do złożenia jej nie zapowiedzianej wizyty. - Co pan tam dla mnie chowa?

- Materiały w sprawie Lynam. Wszystko, co zamierzamy wykorzystać w sądzie. Można się po pani spodziewać, że zechce oskarżyć nas o zatajenie dowodów i chęć zaskoczenia pani w czasie rozprawy. Nie potrzebujemy tego robić. Mamy czyściuteńką sprawę. - Wetknął kciuki za szerokie czerwone szelki przy spodniach. - Jesteśmy przygotowani do rozpoczęcia procesu. Uzyskam wyrok skazujący z palcem w nosie.

- Gdyby rzeczywiście tak było, nie czułby pan przymusu, żeby mi o tym bez przerwy przypominać. Dziękuję za akta. Proszę mi wybaczyć, ale właśnie

miałam wychodzić, gdy pan wpadł. Proponuję, żeby następnym razem zapowiedział się pan wcześniej, kiedy przyjdzie panu chęć mnie zobaczyć.

Wcześniej tego dnia zadzwonił do niej Gibb, zapraszając ją i Matta na obiad. Nie mogła się doczekać, kiedy powie Mattowi o dziecku, ale zaakceptowała zaproszenie teścia, ponieważ po wyczerpującym dniu nie miała ochoty na gotowanie ani jedzenie na mieście.

Obiad był zwyczajny. Jedli w pokoju dziennym pod nieruuchym wzrokiem nieszczęsnych trofeów myśliwskich. Gibb zaczął do deseru, żeby poruszyć temat zbliżającego się procesu Lottie Lynam. Nie zwykł owijać niczego w bawełnę, toteż zapytał bezceremonialnie:

- Jak w ogóle możesz wnosić o uniewinnienie?

- Nie wolno mi omawiać szczegółów spraw, które prowadzę, Gibb. Przecież wiesz o tym.

- Rozumiem. Etyka zawodowa, i w ogóle. Ale jesteś w rodzinie - uśmiechnął się. - Poza tym nie chcę rozmawiać o szczegółach, tylko o podstawowych wartościach.

- Takich, jakie głosił w ostatnią niedzielę brat Whitaker? Pastor chłostał wiernych z kazalnicy słowami, które zirytowały Kendall tak bardzo, że zdecydowała się o tym mówić, choć przeciwstawienie się poglądom wysoce szanowanego przez Matta i Gibba pastora mogło podziałać na nich jak płachta na byka.

- Co ma kazanie brata Whitakera do tej sprawy? - spytał Matt.

- Nie sądzę, by całkiem przypadkowo wybrał ostatnią niedzielę na przypomnienie swojej trzódce o świętości sakramentu małżeństwa. Przez pełną godzinę nauczał, że żona winna być ślepo posłuszna mężowi. - Nie umiała ukryć pogardliwej dzwiczającej w jej głosie.

- Podległość żony zapisana jest w Biblii.

- Także podległość wobec męża, który próbuje dokonać aktu gwałtu używając rozgrzanej lokówki?

- Niezbyt przyjemny temat na czas obiadu, prawda?

- Niezbyt przyjemny temat na każdy czas, Matt - zaprotestowała zapalczywie. - A wracając do kazania, było stronnicze i przepełnione męskim szowinizmem. Wśród wiernych siedzieli ewentualni sędziowie. Jak będą mogli potem zachować bezstronność?

- Bob nie mówił o przebaczeniu dla mężów bijących żony, Kendall - powiedział Matt. - Wszyscy wiedzą, że Charlie Lynam był pijakiem i popędliwym brutalem.

- Ale to nie daje jeszcze prawa, by popełniać morderstwo, synu - stwierdził Gibb, a potem zwrócił się do Kendall: □ Powiedziałem Dabneyowi, że wnosisz o uniewinnienie, ponieważ nie jesteś świadoma prawdziwej natury Lottie Lynam.

- Jak to "powiedziałaś Dabneyowi"? Omawiał z tobą ten przypadek? Nie miał ...

Gibb uniósł dłoń, by ją powstrzymać.

- Dabney i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, Kendall. To ja go namówiłem, żeby zaczął prowadzić kancelarię, i pomogłem zwyciężyć w wyborach. Zasięgał po prostu mojej opinii na temat twojego wniosku o uniewinnienie. Wyjaśniłem mu, że nie jesteś stąd i Lottie cię omotała. Prowadziła się jak dziwka, jeszcze zanim stała się kobietą. Małżeństwo nie zmieniło jej obyczajów. To jej kurwienie się doprowadziło Charliego do nadużywania alkoholu.

Kendall na chwilę zaniemówiła. Gorn złamał zasady etyki zawodowej, zasięgając opinii w sprawie nie rozstrzygniętego przypadku, a Gibb najwyraźniej tego nie rozumiał, pochłonięty problemem, że synowa stanęła po stronie miejscowej puszczalskiej.

- Gibb, prokurator Gorn nie powinien o tym z tobą dysskutować. A poza tym to nie cechy charakteru pani Lynam mają być osądzone. Jesteś o krok od przyznania, że zasługiwała na bicie i gwałty!

- No, to jest następna rzecz - powiedział. - Nie dbam o książkowe prawa. Jaki cudem mąż może zgwałcić żonę?

- Tato, Kendall rzeczywiście nie powinna spierać się z nami na temat swoich klientów - wstawił się za nią Matt, zanim zdążyła odpowiedzieć na to ostatnie pytanie. - Poza tym jest wykończona. Pozmywajmy i zabiorę ją do domu.

Wróciła do tematu, ledwie wyszli za drzwi.

- Naprawdę przeraża mnie fakt, że większość ludzi powołanych do zespołu sędziowskiego będzie podzielać staroświeckie przekonanie Gibba co do obowiązku posłuszeństwa żony wobec męża, i to pod każdym względem. Być może wystąpię o wyznaczenie innego miejsca procesu. Moja klientka nie dooczeką się uczciwego osądu w Prosper.

- Tata należy do innego pokolenia, Kendall. Nie możesz oczekiwać, by on i jego znajomi mieli takie samo podejście jak my do pewnych społecznych i moralnych problemów.

- Jak na przykład ciągle bicie i małżeńskie gwałty?

- Nie wszczynaj ze mną walki - powiedział, słysząc rozdrażnienie w jej głosie. - Nie kwestionowałem twoich racji. - Nie broniłeś ich również.

- Nie mam zamiaru dać się wciągnąć w kłótnię o sprawy bez znaczenia.

- Nie wiem, czy bez znaczenia. Pani Lynam z pewnością tak nie uważa.

- Nie jestem sędzią przysięgłym - odpowiedział spokojnie - więc nie dyskutuj ze mną. I nie powinnaś się spierać z tata.

- Nie miał żadnych zahamowań w stosunku do prokuraatora. Powiedz mi, Matt, jak Dabney mógł omawiać prawnicze sprawy z Gibbem? - spytała rozgorączkowaną i zdumioną.

- Tata ci to wyjaśnił. Są starymi przyjaciółmi i tak sobie rozmawiali. Robisz z igły widły.

- Nie sędzę. Złości mnie, że Dabney zachowuje się wobec twojego ojca tak, jakby Gibb sprawował kontrolę nad moimi wystąpieniami w sądzie. - Był to dodatkowy kłopotliwy aspekt i tak skomplikowanej sprawy. Uzyskanie uniewinnienia w Prosper graniczyłoby z cudem.

- Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym zamieścił wywiad z panią Lynam?

- Co? - Odwróciła się do niego, zdumiona nieoczekiwaną propozycją. - Jaki znowu wywiad?

- Pani Lynam dostała parę niezłych kopniaków: z kazalnicy, od ludzi, także od mojej gazety - przyznał ze smutkiem. - Chciałbym choć trochę wyrównać jej szanse. Zaasługuje na to.

Podziękowała mu, ale odniosła się do jego propozycji z rezerwą. Dyskutowali na ten temat przez całą drogę do domu i nawet kiedy znaleźli się w sypialni, wciąż próbował ją przeekonać.

- Mógłbym w ten sposób zatrzeć gafę taty. Przyzwyczał się, że ludzie pytają go o radę, i chętnie ich udziela. Jestem pewien, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy, w jak niewygodnym położeniu się znalazłaś przez to, że omawiał przypadek twojej klientki z Dabneyem. Kendall, pozwól mi oddać sobie tę przysługę. Przysięgam ci, że nie zrobię z tego sensacji. Przekażę ci listę pytań. Będziesz mogła je przejrzeć i pouczyć panią Lynam, jak ma na nie odpowiadać. Nie odstąpię ani na jotę od tego, co ustalimy, i będziesz mogła przejrzeć ostateczną wersję, zanim pójdzie do druku. Skreślisz wszystko, co nie będzie ci odpowiadało.

Skoro tak do tego podchodził, nie widziała powodu, by nie ustąpić.

- Dobrze. Dziękuję ci.

- Coś mi mówi, że chcesz, abym cię objął. - Rozłożył ramiona, a ona z zadowoleniem się w nie schroniła.

Przytulił ją i zaczął masować jej krzyż, a jego silne dłonie uśmierzały wszelkie napięcie. Przez ten obiad z Gibbem nie powiedziała mu o dziecku. Rozważała nawet, czy nie poinformować od razu ich obu, ale porzuciła tę myśl. Zbyt często Gibb był w ich związku trzecią stroną. Powinna chronić małżeńską intymność, zwłaszcza przy tak szczególnej okazji. Egoistycznie pragnęła mieć Matta tylko dla siebie, gdy mu to przekaze.

Teraz wreszcie są sami.

Miała już na końcu języka jego imię, gdy odsunął ją od siebie, pogłaskał po policzku i powiedział:

- Strasznie jesteś roztargniona ostatnio. Może dzisiejszej nocy poświęciłabyś uwagę wyłącznie mnie?

Tak będzie nawet lepiej, pomyślała. Zaczną się kochać i potem, w atmosferze całkowitego rozluźnienia, powie mu. Najlepszy moment. Objęła go za szyję.

- Sprawi mi to przyjemność - szepnęła.

Przytulała się do niego, głaskała, rozkoszując tym, że jest taki męski i silny. Rozgrzewało ją poczucie małżeńskiej bliskości; ostatnio rzadko dawali upust namiętnościom.

Ich połączenie nie było tak całkowite jak zawsze. Wszedł w nią, ale ona nie była w pełni przygotowana, by go przyjąć. Odczuwała pewien psychiczny dyskomfort, co stłumiło uczucie przyjemności. Wolałaby dłuższą grę wstępną, powolne, wzmaagające pożądanie pieszczoty, w których rozpląnęłoby się jej zmęczenie.

- Było dobrze? - zapytał, uśmiechając się niepewnie.

Przytaknęła, by nie urazić jego męskiej dumy.

- Twoje myśli są zbyt rozproszone, Kendall- powiedział, dając upust rozczarowaniu. - Nie współbrzmimy już ze sobą. Tato ma rację.

- Rację co do czego? - Uniosła się i podparła na łokciu.

- Spędzasz zbyt wiele godzin w pracy, a za mało w domu.

- Przeprowadziłeś rozmowę z Gibbem na temat moich wad zamiast ze mną?

- Nie złość się. Nie zwałłem na ciebie winy. Powiedziałem mu, że muszę robić coś nie tak, inaczej nie oddaliłabyś się ode mnie tak bardzo.

- Matt, to nie fair! - wykrzyknęła. - Kiedy zadzwoniłam przedwczoraj uprzedzić cię, że będę do późna w pracy, nie widziałeś żadnego problemu, bo miałeś zamiar wyjść. Położyłam się spać na długo przedtem, zanim wróciłeś.

- Przestań szaleć.

- Trudno mi będzie. Twój punkt widzenia jest spaczony.

Wracam późno, bo pracuję. Ty wracasz późno, bo spędzasz wesoło czas z Gibbem i przyjaciółmi.

- Jesteś zazdrosna.

- To nie zazdrość.

- Ale tak wygląda.

- W takim razie muszę oświadczyć, że ty jesteś zazdrosny o moją pracę.

- Fakt. Przyznaję. Cholernie opętała cię myśl o karierze.

- Raczej się jej poświęcam. Gdybym była mężczyzną, doceniano by moją pracę.

- Ale jesteś kobietą. I praca nie pozwala ci wypełniać obowiązków żony. - Zmitygował się, przyciągnął ją do siebie i zaczął głaskać po włosach. - Skarbie, nienawidzę się kłócić ...

- Ani ja, Matt, ale czasem kłótnie są konieczne. Żeniąc się ze mną, wiedziałeś, że chcę zrobić karierę. Praktykowanie daje mi wiele satysfakcji. Chciałabym sprawiedliwego prawa dla ...

- Wiem - przerwał jej. - Jestem dumny z twojej pracy, ale czy musisz się aż tak poświęcać? Nie możesz być bardziej wobec siebie wyrozumiała? Inne dziedziny życia też są ważne i powinnaś znaleźć na nie czas. I dla mnie. Poza tym życzylibym sobie, żebyś częściej uczestniczyła w życiu towarzyskim, spotykała się z innymi kobietami. Sama wiesz, wiele przemawia za tym, że lepiej być członkiem grupy niż stać na uboczu. HPocałował ją w skroń. - Tata mówi, że powinniśmy mieć dziecko. Dla życiowej równowagi. Całkowicie się z nim zgadzam. Zróbmy dziecko, Kendall. Zaraz.

Nie w takim momencie miała ochotę mu powiedzieć, że zostało już poczęte. Kochali się znowu, ale jego denerwujące uwagi zdusiły jej pożądanie. Zbyt był pochłonięty myślą o potomku, by zwrócić uwagę na jej powściągliwość.

Rozdział osiemnasty

- Co tu robisz?

- Jadę z tobą do miasta. - Siedział z przodu, kule położył z tyłu na podłodze. - Nie jedziesz.

- Owszem, jadę.

Musi się pilnować, żeby nie zrobić z tego zbyt wielkiej sprawy; w ten sposób potwierdzi tylko jego podejrzenia.

- Uwierz mi na słowo, to niewielkie miasto.

- Sam chcę zobaczyć. I nie zamierzam wierzyć ci na słowo w żadnej kwestii.

Cholera jasna! Akurat dzisiaj zachciało mu się jej towarzyszyć. Dzisiaj! Może wczorajszy koszmar senny pobudził jakąś cząstkę jego pamięci? Wykrzykiwał nazwiska, na dźwięk których krew przestawała krążyć jej w żyłach. Jeśli przypomni sobie ludzi noszących te nazwiska, przypomni sobie wszystko. Boże, miej ją wtedy w swej opiece.

Dlatego właśnie postanowiła nie wracać z dzisiejszej wyypra wy do miasteczka.

- Jest tak pioruńsko gorąco - powiedziała, . by go zniechęcić. - Zmęczysz się. Dlaczego nie miałbyś odpocząć jeszcze przez jeden dzień? Jeśli wciąż będziesz miał ochotę pojechać do miasta, zawiozę cię jutro.

- Jestem poruszony twoją troską o moje dobre samopoczucie, ale ... - potrząsnął głową - musiałabyś się ze mną bić o to, żebym wysiadł z samochodu. Wygram, nawet ze złamaną nogą. Żeby z tym skończyć: jadę.

Zdawała sobie sprawę, że kiedyś musi się zbuntować; było to tylko kwestią czasu. Z każdym dniem odzyskiwał siły. Sytuacja stopniowo przybierała niekorzystny dla niej obrót. Powoli wracał do zdrowia, zdobywał nad nią przewagę, przejmował kontrolę.

Coraz rzadziej zadowalał się wykrętnymi odpowiedziami, zawierającymi wyłącznie tyle prawdy, by wydawały się sensowne. Udało jej się wczoraj go zbyć, gdy domagał się wyjaśnienia przyczyn swojej niechęci do Kevina, ale sam fakt, że o to zapytał, świadczył o przebłysku pamięci. Wymijająca odpowiedź nie uspokoiła go; wzmogła jeszcze jego podejrzliwość. Miał

wprost niesamowitą intuicję i grunt zaczynał jej się palić pod nogami. I tak została przy nim dłużej, niż tego wymagała przyzwoitość. Skoro czuł się na tyle silny, by się zbuntować, powinien również dać sobie radę, nim go odnajdą.

Przez dwa tygodnie strach, że odzyska pamięć, walczył o lepsze z lękiem przed opuszczeniem bezpiecznej kryjówki. Być może ten dom dawał iluzoryczną ochronę, ale z pewnością łatwiej było ją wytropić na szosach, po których krążyli pooszukujący jej przedstawiciele prawa. Zamieszanie, spowodowane ich ucieczką ze Stephenville, musiało do tej pory ucichnąć. Ścigający z pewnością zniechęcili się trochę, nie szukali już tak energicznie. Najwyższy czas uciekać.

A teraz on udaremniał jej plany.

Z drugiej strony może lepiej, że z nią pojedzie. Podejrzewał, że może nie wrócić, ale przecież nie spodziewa się ucieczki, skoro ma z nią być cały czas.

- Jeśli tak bardzo chcesz, dobrze - oświadczyła, zmuszając się do uśmiechu. - Cieszę się, że będę miała towarzystwo.

Okazał się kiepskim towarzyszem podróży. Przez dziesięć minut nie powiedział ani słowa, tak był zajęty sporządzaniem pamięciowej mapy terenu i utrwalaniem w głowie charakterystycznych punktów krajobrazu. Pewnie umiałby naszkicować plan dowolnego miejsca trasy. Nieważne, jeśli jej się powiedzie dzisiejszego ranka, już jej nie zaszkodzi.

- Dobrze znasz drogę - odezwał się w końcu.

- Nic w tym dziwnego. Babcia uczyła mnie tu prowadzić samochód.

- Często o niej mówisz. Bardzo ją kochałaś, prawda?

- Bardzo.

- Jaka była, że wzbudziła aż tak wiele miłości?

Kendall nie wydawało się, żeby można było oddać słowami, jak głęboko kochała Elvie Hancock, ale spróbowała przekazać swoje uczucia mimo wszelkich werbalnych ograniczeń.

- Była wesoła i pomysłowa, zawsze wymyśliła coś interesującego. Nie tylko ją kochałam, także podziwiałam za to, jakim była człowiekiem. Nadzwyczaj tolerancyjna, akceptowała ludzi niezależnie od ich słabostek. Sprawiała, że zawsze czułam się kimś specjalnym. Nawet jeśli coś spsociałam i musiała wymierzyć mi karę, nie czułam się niekochana.

Dojeżdżali już do obrzeży miasta. Kendall skrzyła na parking przed supermarketem. Poczekał, aż przekręci kluczyk w stacyjce, i dopiero wtedy spytał:

- Kochałaś ją bardziej niż mnie?

- Co za pytanie! - odparła zażenowana. - Zupełnie inna jest natura tych związków. Nie możesz tego porównywać. - Miłość to miłość, nie?

- Niezupełnie. To zależy ...

- Od czego?

- Od ludzi i od natury ich związku.

- A ja? Kochałem cię ... ? Nie, nie trudź się odpowiadaniem. I tak skłamię. - Zapatrzył się nieobecny wzrokiem w szybę. - Nie pamiętam, żebym kogoś kochał - powiedział z zadumą. - Gdyby tak było, na pewno bym to pamiętał, prawda?

Spojrzał na nią i Kendall zobaczyła, że ma smutne oczy.

O co mu chodziło? Może w innych okolicznościach ... Ale jest jak jest, więc nie ma co się zastanawiać nad jego psyche, tylko żeby sobie pofilozofować.

Wysiadła i wyjęła Kevina z dziecięcego fotelika.

- Zaraz wracam - skłamała. - Powinno ci tu być wygodnie.

- Oczywiście. Posiedzę sobie i popodziwiam otoczenie. Nie było jak wyjąć ekwipunku, który zgromadziła w bagażniku. Może uda się jej zgarnąć parę rzeczy, kiedy będzie przechodziła przez supermarket, choć ma niewiele czasu.

- Mam ci coś przynieść? - zaofiarowała się, pamiętając, by zachować pozory normalności.

- Kartonik piwa, skoro jesteś tak miła.

- Jaką markę lubisz?

- Nie pamiętam. Ale ty z pewnością tak, kochanie.

- Fakt, pamiętam - stwierdziła ignorując sarkazm jego odpowiedzi. - Wracam za sekundę.

Czuła, jak przewierca wzrokiem jej plecy, gdy szła w stroonę sklepu. Zmuszała się, by iść powoli, nie sprawiać wrażenia, że się śpieszy. Kiedy znalazła się już w środku, pewna, że nie zobaczy jej z powodu refleksów świetlnych na szybach, popędziła do telefonu. Na szczęście zdążyła zapamiętać numer.

- Halo.

- Pani Williams? Tu Mary Smith. Dzwoniłam do pan parę dni temu w sprawie samochodu.

- Nie mogłam się doczekać telefonu od pani. Nie zmieniła pani chyba zdania? Odpowiadam wszystkim innym, że już go sprzedałam.

- Nie, nie zmieniłam. Po prostu ... Pamięta pani, mówiłam, że mój samochód się rozsypuje? Właśnie wysiadł, nie chce zapalić. Utknęłam tutaj i nie mogę dotrzeć do pani domu. Mam ze sobą dziecko i ... Boże, naprawdę nie wiem, co roobić! - Udała, że głos jej się załamuje ze zdenerwowania.

- No, kochanie ... - W głosie kobiety brzmiała sympatia, ale i ostrożność. Na pewno ostrzegano ją przed oszustami finansowymi,

czyhającymi na dojrzałe, zasobne wdowy. - Być może mogłabym do pani podjechać.

- Ależ nawet nie mogę o coś takiego prosić! Nie, nie, ja po prostu ... Proszę mi dać pomyśleć przez chwilę.

Jej taktyka przyniosła rezultaty.

- Żaden kłopot, naprawdę - oświadczyła kobieta. - Gdzie pani jest?

Kendall podała jej nazwę warsztatu samochodowego, który zlokalizowała w czasie poprzednich wyjazdów do miasteczka. Z supermarketu mogła dojść do niego spacerkiem.

- To raptem pięć minut ode mnie - stwierdziła pani Williams z zadowoleniem. - Przyprawdę auto, sfinalizujemy transakcję, a potem podrzuci mnie pani do domu.

- Nienawidzę się tak narzucać ...

- Nic się nie stało. Nie mogę się doczekać sprzedaży tego wozu.

- A ja kupna. Wręcz straszliwie. - Akurat to było prawdą.

Jim Pepperdyne mógł w każdej chwili odnaleźć mężczyznę, który sprzedał jej samochód w Stephenville. Musiała się go pozbyć i kupić inny, zanim ruszy w dalszą drogę.

- W porządku, jestem za pięć minut - powiedziała pani Williams, jeszcze raz upewniwszy się, dokąd ma jechać.

Kendall odwiesiła słuchawkę i poszła w stronę drugiego wyjścia, znajdującego się po przeciwnej stronie supermarketu.

Automatyczne drzwi otworzyły się z cichym szumem i Kendall stanęła w miejscu jak wryta.

Po jeździe w niewygodnej pozycji bolała go noga, ale nie zamierzał przepuścić okazji, żeby się zorientować w sytuacji. Ledwie Kendall znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, otworzył drzwiczki i sięgnął po kule. Wsiadł i zaczął się rozzglądać.

Mówiła prawdę, że miasto nie jest duże. Z miejsca, w którym stał, widział stację benzynową, garaż, restaurację z barbecue, fryzjera ... Poczta! Ruszył przez rozpalony parking, czując się, jakby stapał po rozżarzonych węglach. Po minucie koszula przesiąkła mu potem, a mięśnie zaczęły drżeć z wysiłku. Boże, jak pogardzał i nienawidził własnej słabości!

Kątem oka dostrzegł wyjeżdżającego zza rogu na rowerze dzieciaka.

- Hej, chłopcze! - zawołał.

Chłopak obejrzał się przez ramię, zrobił rowerem małe kółko i podjechał bliżej. Miał mniej więcej dwanaście lat.

- Co ci się stało w nogę?

- Uszkodziłem ją sobie podczas wypadku samochodowego.

- Głowę też?

- Aha, głowę też. Co to za miasto? Jesteśmy w Tennessee?

Chłopiec zatrzymał rower szarpnięciem i zajrzał mu w twarz z szerokim uśmiechem.

- Ale jesteś naćpany, co? - Zbliżył dwa złożone palce do ust i wciągnął powietrze, jakby palił marihuanę.

- Nie jestem. Po prostu chciałem wiedzieć, gdzie się znalazłem.

- Katrnanu, przyjacielu - powiedział chłopak scenicznym szeptem. - Nie jesteś za stary na odlot? Chyba ci już stuknęła czterdziestka.

- Uhum. Jestem wiekowy. Matuzalem. No więc, jak się nazywa to pieprzone miasto?!

- Jezu, co za świr! - Chłopak wycofał rower na bezpieczną odległość, wsiadł i odjechał, pedałując zawzięcie.

- Poczekaj ... ! Wracaj!

Dwunastolatek pokazał mu wyprostowany palec. Rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie widział.

Nie był pewien, czy chciałby, żeby ktoś zaalarmował policję, donosząc o poturbowanym obcym, zadającym dziwne pytania dziecku. Miał zamiar pójść na pocztę tylko po to, by się dowiedzieć, gdzie jest, i przekonać, czy na ścianach nie wiszą plakaty z jego zdjęciem.

Oszacował wzrokiem odległość i doszedł do wniosku, że budynek poczty znajduje się dalej, niż myślał. Gorąco i wyysiłek, który włożył w przejście przez parking, porządnie go wyczerpały.

Ile mu zostało czasu do jej powrotu? Ile jeszcze zajmą jej zakupy? Co poza piwem miała zamiar kupić? Nie sprawiała wrażenia, że się śpieszy, kiedy ...

Nagle stanęła mu przed oczami, jakby właśnie wchodziła do supermarketu. Z Kevinem, torebką i torbą na pieluchy. Torba na pieluchy! Po co miałaby zabierać ją ze sobą, skoro poszła na parę minut?

Odwrócił się i zaczął kuśtykać w stronę sklepu.

- Ty głupku przeklęty! - fuknął zirytowany. - Dlaczegoś ją spuścił z oka?

Miał przeczucie, że zamierza zwać. Dlatego nalegał na wspólny wyjazd dziś rano. Tylko skąd mu przyszło do głowy, że jego obecność powstrzyma ją od tego, co zamierza zrobić? Co za głupota, tańczył, jak mu zagrała ...

Przeklinając swoją łatwowierność i niezgułowatość, zmusił się, by iść szybciej.

- O mój Boże! O, Boże! - Kendall zdała sobie sprawę z tego, że mówi głośno, dopiero wtedy, gdy usłyszała swój piskliwy głos. Schyliwszy głowę, rzuciła się na oślep do wyjścia. Aby dalej od stojaka na gazety,

od dużego zdjęcia jej twarzy na pierwszej stronie. Musi uciec, zanim zostanie rozpoznana. Minęło już pięć minut? Może pani Williams już przyjechała? Wiedziała, że jeśli nie zjawi się na czas, kobieta nie będzie czekać.

Nagle poraziła ją przerażająca myśl. A jeśli pani Williams przeczytała poranną gazetę i rozpozna ją?

Musi zaryzykować. Nie ma wyboru. Jej obawy się potwierdziły: ruszyła obława, polują na nią.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, zmrużyła oczy przed promieniami słońca. Postanowiła trzymać się blisko ściany. Wprawdzie nie powinien zobaczyć jej z samochodu, ale ...

- Wybierasz się dokądś?

Odwróciła się ze ściśniętym sercem. Opierał się ciężko na kulach. Jego pierś wznosiła się w głębokim oddechu, włosy ociekały potem.

- Dlaczego wysiadłeś z auta?

- Dlaczego wychodzisz tymi drzwiami? Zaparkowałaś po drugiej stronie.

- Och, hm ... myślałam, że skoro się znalazło w środku, nie można zawrócić.

- Aha ... Dlaczego nic nie kupiłaś? Dlaczego nic nie kupiłam? Myśl! Myśl!

- Kevin zaczął płakać, ledwie weszliśmy. Nie czuje SIę dobrze. Pewnie przez to gorąco zrobił się płaczliwy.

- Na moje oko, nic mu nie jest.

Chłopczyk puszczał banieczki śliny i wyglądał na zupełnie zdrowe i bardzo szczęśliwe dziecko.

- Właśnie że jest - warknęła. - Mogę tu przyjechać kiedy indziej.

Ruszyła pośpiesznie w stronę samochodu, w kierunku przeciwnym do warsztatu samochodowego, przy którym czekała już pewnie zirytowana pani Williams.

Nie kupi innego auta.

Nie uda jej się jutro podjąć ponownej próby ucieczki.

Rozdział dziewiętnasty

- Li to chińskie nazwisko?

- Chinol czy japoniec, skąd mam wiedzieć? - odpowiedział na pytanie Kendall strażnik, wzruszając ramionami. `Nie rozróżniam tych żółtków.

Jej pełne dezaprobaty spojrzenie spłynęło po nim jak woda po gęsi. Otworzył mały pokój, w którym miała rozmawiać ze swoim nowym klientem. Kiedy weszła do środka, oskarżony o gwałt Michael Li wstał.

- Będę tuż obok - warknął strażnik, zwracając się do młodego mężczyzny.

Kendall zamknęła za nim drzwi, odwróciła się i podeszła do Michaela Li, którego postawa zdradzała takie napięcie, że odczuła przelotną ochotę poradzić mu, by się odprężył. Przedstawiła się, uścisnęła jego dłoń i pokazała gestem ręki, żeby usiadł. Sama zajęła miejsce po przeciwnej stronie stołu.

- Życzy pan sobie czegoś? Może coś do picia?

- Dziękuję, proszę pani - odparł spokojnie.

Miał osiemnaście lat, gładką, pozbawioną zarostu twarz i schludnie przystrzyżone czarne proste włosy. Był niewysoki i szczupły. Ciemne oczy obserwowały ją z powściągliwą ciekawością, gdy otwierała walizeczkę i wyjmowała formularze i pióro.

- Więzienie to nic przyjemnego - stwierdziła i dodała: "Właściwie to za słabo powiedziane.

- Była pani kiedyś w więzieniu? - spytał.

- Raz - przyznała uczciwie. - Aresztowano mnie, gdy protestowaliśmy przeciwko zakazowi wprowadzania pewnych książek do miejskiej biblioteki.

Skinął głową z wyraźną aprobatą.

- Spróbuję załatwić panu wyjście za kaucją.

- Mojej rodziny nie będzie na to stać - powiedział z godnością. - Nie chciałbym przysparzać rodzicom więcej kłopotów ponad te, które już mają w związku z tym nieszczęsnym nieporozumieniem, pani Burnwood.

- Na pewno zdołamy ustalić jakąś sensowną sumę.

- Jeśli to możliwe, dobrze by było, gdybym nie przerywał nauki. Jest dla mnie bardzo ważne, żebyśmy skończyli szkołę ze swoją klasą.

- Ma pan wygłosić mowę pożegnalną, prawda?

- Tak.

- Pańscy rodzice są z pewnością ogromnie z tego dumni.

- Tak, proszę pani. Kilka uniwersytetów zaoferowało mi stypendium, ale dotąd nie zdecydowałem, który wybrać. Spuścił wzrok na swoje dłonie i zaczął skubać oderwaną skórę. - Po tym wszystkim decyzja może okazać się nie taka trudna.

Lepiej będzie na razie skierować rozmowę na inne tory niż rozważania o jego przyszłości, postanowiła Kendall. Uzmysłowanie sobie, ile ma do stracenia, jeśli sprawy przyjmą zły obrót, może na niego wpłynąć destruktywnie. Kontynuowała wstępną rozmowę, próbując zorientować się, jakiego rodzaju człowiekiem jest jej nowy klient.

- Uczestniczy pan aktywnie w życiu szkoły i należy do wielu organizacji, także do National Honor Society, prawda? - Tak, proszę pani. Właśnie podczas wycieczki z NHS do Gatlinburga po raz pierwszy zwróciliśmy z Kim

na siebie uwagę. - Może więc zacznie pan od tego momentu i dojdziemy aż do dzisiaj.

Zamiast patrzeć na atrakcje turystyczne górskiego miasta w Tennessee on i Kimberly Johnson, koleżanka z klasy, zaczęli "włączyć się ze sobą".

- Od tamtej pory widywaliśmy się regularnie, ale nigdy nie zjawiłem się u niej w domu, zawsze spotykaliśmy się na mieście. Nie sądziła, by rodzice zaaprobowali nasz związek. Uważają mnie za cudzoziemca. - Jego oczy rozblęskły dumą. - Ale ja jestem Amerykaninem, tak jak Kim i jak pan Johnson. Mama urodziła się tutaj, a rodzina ojca wyemigrowała, gdy był niemowlęciem. Tata nie mówi w ojczystym języku, a angielski zna lepiej niż pan Johnson.

Co do tego Kendall nie miała wątpliwości. Nie znała dobrze Hermana Johnsona, ale często widywała go w klubie country. Zawsze pod dobrą datą, mówił zbyt głośno i opowiadał sprośne kawały, robiąc z siebie idiotę. Nie znała również pana Li, ale on i żona mieli się czym pochwalić: wychowali dobrze ułożonego, osiągnącego sukcesy młodego człowieka. Mieli opinię ciężko pracujących ludzi, więc ich syn mógł odczuwać uzasadnioną dumę.

Związek Michaela Li i Kim Johnson zacieśnił się z czasem.

- To na serio - oświadczył poważnie i przyznał, że od jakichś dwóch miesięcy sypiają ze sobą. - Oczywiście odpowiedzialnie - podkreślił z naciskiem. - Zawsze się zabezpieczam. Przysięgam też, że nigdy nie robię nic wbrew jej zgodzie. Za nic nie skrzywdziłbym Kim. - Łzy napłynęły mu do oczu. - Za nic.

- Wierzę ci - zapewniła go Kendall. - Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło ostatniej nocy.

Spotkali się z Kim w bibliotece. Siedzieli przy tym samym stoliku, ale ilekroć padł na nich podejrzliwy wzrok bibliotekarza, udawali, że nie są sobą zainteresowani. Wyszli osobno i tak jak się umówili, spotkali na parkingu. Zabrał Kim do samochodu. Nie patrząc Kendall w oczy, wyznał, że od razu usiedli na tylnym siedzeniu, żeby się kochać.

- Wiem, że czujesz się zażenowany, Michael - powiedziała ze zrozumieniem - ale jeśli oskarżyciel zacznie cię przypierać do muru, żeby udowodnić dokonanie gwałtu, będziesz musiał odpowiedzieć przed sądem na znacznie bardziej brutalne pytania. Prokurator nie będzie znał litości. Powinieneś być ze mną całkowicie szczery. Mogę na to liczyć?

Skinął głową.

- Czy Kim zdjęła ubranie?

- Tylko majtki.

- Czyli była w spódnicy?

- Tak.

- I w bluzce?

- Tak.

- W biustonoszu?

- Tak.
- Nic nie zdjęła?
- Wszystko miała na sobie, chociaż porozpinane.
- A ty?
- Rozpiąłem tylko spodnie.
- Zdjąłeś koszulę?
- Nie.
- Rozpiąłeś ją?
- Tak.
- Kiedy cię złapano, wszyscy widzieli, że masz ją rozpiętą?
- Chyba tak, ale czy to ważne?
- Gwałciciele nie mają czasu bawić się w rozpinanie guzików. Robią tak raczej kochankowie.

Odprężył się trochę, nawet zdobył na nikły uśmiech.

- Skończyliście do czasu, gdy pojawił się pan Johnson?
- Tak.
- Miałeś wytrysk?
- Tak. Do ... - spuścił oczy - no, do prezerwatywy.
- Zatem dowód został przesłany do laboratorium i jest niepodważalny.
- Tak. - Podniósł głowę. - Nie zaprzeczam, że kochaliśmy się z Kim, pani Burnwood. Ale nie zgwałciłem jej, jak twierdzi pan Johnson. Bibliotekarz zadzwonił do niego i powiedział, że poszedłem za nią. Podobno niepokoił się o jej bezpieczeństwo. Jeśli ktoś ma robaczywe myśli, staje się podejrzliwy - stwierdził pogardliwie. - W każdym razie, ponieważ Kim nie wracała, pan Johnson wpadł w panikę. Pobiegnął jej szukać i dostał białej gorączki, jeszcze zanim nas znalazł. Wyciągnął mnie z samochodu i zaczął okładać pięściami. Myślałem, że mnie zabije. .
- A Kim? Co robiła?
- Szlochała histerycznie. Przyjechała policja i wywlekli ją nie całkiem ubraną z tylnego siedzenia. - Schował twarz w dłoniach. - Przeżyła okropne upokorzenie. Wszyscy wyszli z biblioteki zobaczyć, co to za awantura, i gapili się na nią. Nic nie mogłem zrobić, żeby jej tego oszczędzić.

Kendall odłożyła pióro i oparła o stół splecione dłonie.

- Jak sądzisz, co Kim powie policji podczas przesłuchania?

- Że wcale jej nie zgwałciłem! - wykrzyknął. - Do niczego jej nie przymuszałem. Powie im to, o ile już nie powieedziała. Nie pozwoli, żeby oskarżyli mnie o gwałt. Gdy tylko policja usłyszy jej wyjaśnienia, będę wolny.

Kendall nie podzielała jego wiary w lojalność Kimberly Johnson. Gwałtowna reakcja ojca, kiedy przyłapał ją in flagranti z Michaeliem, mogła ją śmiertelnie wystraszyć i było całkiem prawdopodobne, że dziewczyna będzie kłamać - policji, adwokatom, sędziom - byle uniknąć gniewu ojca. Kendall miała do czynienia ze świadkami, którzy krzywoprzysięgali, by chronić samych siebie, w sytuacji znacznie mniejszego zagrożenia. Kim może się nie przyznać, że uległa Michaelowi Li, w obawie przed odrzuceniem przez rodzinę, szczególnie jeśli motywem ich postępowania był rasizm. A nawet jeśli wyzna rodzicom prawdę, mogą ją zmusić do kłamstwa. Nie będą chcieli, by związek ich córki z młodym mężczyzną azjaatyckiego pochodzenia stał się publiczną tajemnicą, nawet jeśli ów mężczyzna miał przed sobą wspaniałą przyszłość.

Zganiła się w duchu za przypisywanie Johnsonom tak niskich motywów, ledwie ich przecież znała. Mimo to obawiała się najgorszego. Najprawdopodobniej zrobią wszystko, by udowodnić, że Michael Li zgwałcił ich córkę. A Kim, w obawie przed skandalem i represjami, będzie im posłuszna.

Nie chciała jednak, by jej pesymizm udzielił się klientowi.

Bardzo istotne było, by myślał pozytywnie.

- Koledzy z klasy z pewnością potwierdzą, że ty i Kim chodziliście ze sobą. Nauczyciele powinni wystawić ci jak najlepszą opinię. Niemniej i tak czeka nas mnóstwo pracy, żeby zgromadzić argumenty na twoją korzyść.
- Schowała notatki do walizeczki i wstała. - Mam nadzieję, że pan Johnson wycofa oskarżenie. Jeśli nie, postaram się jutro wydobyć teczkę z materiałami w twojej sprawie od prokuratora.

Kiedy wychodziła, jeszcze raz wyraził przekonanie, że sprawy nie zajdą tak daleko.

- Kim mnie kocha. Tak jak ja ją. Powie im prawdę. Jej ojcu nie pozostanie nic innego, jak wycofać skargę.

Żałowała, że nie jest w stanie podzielać jego ufności.

Zawsze przed wyjściem z sądu myślała o Bamie. Bezdomny mężczyzna musiał opuścić Pros per którymś z towarowych pociągów. Przynajmniej ona i Roscoe tak zakładali.

- To urodzony włóczęga - odpowiedział dozorca, gdy Kendall zapytała go, czy też zauważył, że Bama od jakiegoś czasu nie okupuje swego stałego miejsca na sądowych schodach. - Pojawi się znikąd któregoś ranka. Na pewno nie pojechał w jakieś określone miejsce. Trochę go tu będzie braakowało - dodał ze smutkiem.

Bama zniknął mniej więcej przed tygodniem. Wychodząc z sądu po spotkaniu z Michaeliem Li, Kendall przypomniała sobie z uczuciem gorczy, jak wymieniali króciutkie uwagi na schodach. Brakowało jej tego. Pierwszy

mówił jej "dzień dobry", gdy przychodziła, i ostatni się z nią żegnał. Jakby był przyjacielem.

Tego popołudnia czuła się jak ktoś całkowicie pozbawiony przyjaciół. W biurze wciąż jeszcze widoczne były skutki aktu wandalizmu Crooków. Była przekonana o ich winie, choć nie miała na to dowodów, a policja, zgodnie z jej przewidywaniami, nie zadała sobie trudu przeprowadzenia dochodzenia. Nie do końca uporządkowany pokój budził w niej uczucie klaustrofobii. Miała wciąż wrażenie, jakby ściany na nią napierały, zdecydowała więc, że weźmie teczkę pani Lynam i pojedzie do niej do domu. Świeże powietrze dobrze jej zrobi, a w czasie przejażdżki będzie mogła w spokoju pomyśleć.

Czuła się opuszczona i bezradna, ale powód był natury osobistej, nie zawodowej. Już ponad doba upłynęła od czasu, gdy dowiedziała się, że nosi dziecko Matta, a on wciąż nie znał tej nowiny. Ostatniego wieczoru odebrał jej szansę na rozmowę, zdradzając się z poglądami, jakich nigdy by się po nim nie spodziewała. Zaszokował ją, formułując staromodne prawdy o małżeństwie i rolach przypisanych małżonkom. Gdyby chociaż mówił półzartem albo w gniewie, mogłaby zlekceważyć jego nieoczekiwane przepojone seksizmem uwagi. Ale wygłosił je spokojnie i z takim przekonaniem, że zastanawiała się nad nimi przez cały dzień.

Powtarzał jak echo sady Gibba, to oczywiste. W rzeczywistości na pewno nie chciał uległej, usuwającej się w cień żony - inaczej przecież by się z nią nie ożenił. Niemniej niepokoiło ją, że Gibb ma nad nim aż taką władzę. Już wcześniej przeżyła stres, odkrywając, że Gibb wywiera wpływ na całe miasto, nawet na te dziedziny życia, które nie były jego domena. Jeśli chciała, by wróciła euforia, jakiej doświadczyła na wiadomość o ciąży, musiała najpierw doprowadzić do jakiegoś porozumienia z Mattem, ustalić partnerskie zasady dalszego współżycia i ograniczyć wtrącanie się Gibba. Ale obawiała się, że nie będzie miała czasu, ochoty ani energii na taką dyskusję, zwłaszcza teraz, gdy powinna skoncentrować się na obronie Lottie Lynam.

Ona i prokurator Gorn odbyli przykrą rozmowę na temat zwolnienia za kaucją, ale sędzia Fargo orzekł ku jej zdumieniu na korzyść oskarżonej. Jej klientka zdobyła pieniądze, zaciągając dług pod zastaw hipoteki rodzinnego majątku.

Linia obrony była mocno wątpliwa. Kendall miała nadzieję, że może pani Lynam znajdzie w materiale dowodowym oskarżenia coś, co mogłoby zasiać wątpliwości w umysłach sędziów i podeprzeć tezę o działaniu w obronie własnej. Oczywiście nie stawiała tylko na to. Zanosilo się na trudną sprawę, wymagającą wiele wysiłku i umiejętności. Na samą myśl o tym skóra na niej cierpła, a mięśnie karku drętwiały.

Nie wyrze korzystnego wpływu na swoją klientkę, jeśli pojawi się u niej taka spięta i zdenerwowana. Pod wpływem impulsu zatrzymała samochód na skraju wąskiej drogi. Dalej pójdzie spacerem; dobrze zrobi to jej i dziecku.

Wysiadła z auta i ruszyła rażno naprzód. Gałęzie drzew zaczynała obrysowywać świeża zieleń, zwiastująca nadejście wiosny. Zapowiedź odnowy w przyrodzie i myśl o embrionie, który rozwijał się w jej ciele, wyzwoliły w niej przypływ młodzieńczego entuzjazmu i przywróciły wiarę w celowość tego, co robi. Odniesie sukces. Zawodowy i prywatny. Zaryzykowała tak bardzo przenosząc się do Prosper. Nie może przegrać.

Postanowienie dodało lekkości jej krokom. Skręciła i nagle stanęła w miejscu. Przed małym zaniedbanym domem stał obok wozu pani Lynam samochód jej męża.

Co Matt tu robił?

Zadzwoił do biura, dowiedział się, że pojechała do pani Lynam, i zdecydował, że spotkają się tutaj, by przeprowadzić wywiad, o którym wczoraj mówili?

Nie, niemożliwe. Nie dostała jeszcze listy pytań, a przecież obiecał. Na pewno nie wypytuje pani Lynam za jej plecami, tak żeby pozbawić ją możliwości pouczenia klientki.

Dlaczego więc nie idzie prosto do drzwi wejściowych, skoro uważa, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że Matt znalazł się tu w samym środku dnia? Dlaczego schowała się za żywoopłot?

Ledwie to pomyślała, gdy pojawili się Lottie i Matt. Wyszli frontowymi drzwiami na ganek. Matt miał marynarkę przeewieszoną przez ramię, trzymał ją na zagiętym wskazującym palcu. Drugim ramieniem obejmował Lottie w talii.

Jej klientka miała na sobie biały biustonosz o dość staroświeckim kroju i nie sięgająca kolan obcisła spódnicę. Jedno ramiączko biustonosza zsunęło się na ramię, odsłaniając pasek bladej skóry. Wtulona w niego, trzymała głowę opartą na jego piersi. Trudno byłoby powiedzieć, kto się na kim wspierał; sprawiali wrażenie, że jedno potrzebuje drugiego tak samo rozpaczliwie.

Doszli do schodków i Lottie nagle przystanęła. Odwróciła się i przywarła do niego. Puścił marynarkę; opadła nie zauważona na nie pomalowaną podłogę ganku.

Otoczyła ramionami jego szyję.

Położył dłonie na jej pośladkach i zaborczo przyciągnął ją do siebie.

Oparła udo wysoko na jego biodrze. Ich ciała przylgnęły do siebie.

Jej głowa opadła do tyłu.

Wyjęczał jej imię.

Ich wargi odnalazły się i zetknęły w namiętym pocałunku.

Rozdział dwudziesty

- Co się do diabła stało z twoimi włosami?

Obcięła je i teraz, wychodząc z łazienki, skrępowana dootknęła odsłoniętego karku.

- Było mi gorąco, przyklejały mi się do szyi. Nie mogłam sobie z nimi poradzić. - Spojrzała znacząco na okrągły łysawy placek tuż przy jego skroni. - Nawiasem mówiąc, akurat ty nie masz co wspominać o włosach.

Ale miał rację; jej wyglądały okropnie. Musiała jednak złapać za nożyczki po tym, jak zobaczyła swoją fotografię na pierwszej stronie gazety; zdjęcie prawdopodobnie pokazano również w telewizji. Miała nadzieję, że obcięcie włosów trochę ją zmieni.

- Dziecko płacze - powiedział.

Przeszła obok niego i otworzyła drzwi małego pokoju, w którym spał Kevin.

- Tak wyglądasz, że może cię nie poznać - stwierdził.

- Ale rozpozna mój głos. - Wyjęła dziecko z kojca i położyła na sekretarzyku, na którym je zwykle przewijała. - Masz mokro? O to chodzi?

Usłyszała cichy stukot kul. Stał tuż za nią. Boleśnie dootknięta złośliwą uwagą na temat obciętych włosów, zignorowała jego obecność, całkowicie koncentrując się na synku.

- Został obrzezany - zauważył.

- Tak.

- Z powodów religijnych?

- Po prostu tak uzgodniliśmy.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedziała zniecierpliwiona.

- Chciałem, żeby było jak u mnie czy inaczej?

- O co ci chodzi?

- No więc tak czy nie.

- A co, nie wiesz? - prychnęła drwiąco.

- Owszem, wiem. - Przyłożył palce do jej podbródka i zmusił, by odwróciła głowę. - A ty? Wiesz?

Nie byłaby bardziej oszołomiona, gdyby jej zadał ogłuszający cios. Wreszcie zdobyła się na drżący krótki śmieszek.

- Cóż za idiotyczne pytanie. - Próbowała wrócić do przewijania Kevina, ale złapał ją za nadgarstek i nie puścił, aż skapitulowała, podnosząc na niego znowu wzrok.

- A zatem, Kendall?

- Nienawidzę takich testów.

- Nienawidzę twoich kłamstw. Powiedziałaś, że jesteś moją żoną. Jeśli żona może coś wiedzieć o swoim mężu, to z pewnością to, czy został obrzezany. - Mówił z naciskiem, ale tak cicho, że ledwie słyszała jego słowa. Przewiercał ją wzrokiem, kreśląc jednocześnie od niechcenia wzory

we wnętrzu jej dłoni. - No? Zawsze kochaliśmy się przy zgaszonych światłach, tak?

- Oczywiście, że nie.

- Braliśmy chyba razem prysznic?

Chciała się odwrócić, ale szarpnął ją za nadgarstek. Rzuciła mu oburzone spojrzenie.

- Czasami.

- Więc z pewnością mnie myłaś. Pieściłaś. - Podniósł jej dłoń do ust i zaczął przesuwając wargami po jej wnętrzu. - Założę się, że wiesz, jak mnie dotykać, żebym zaczął szaleć.

Żołądek podszedł jej do gardła. Próbowwała przełknąć ślinę, ale w gardle jej zaschło. Słyszała łomot własnego serca.

- Nie uskarżałaś się - odparła ledwie dosłyszalnie.

- Czyli odpowiedź nie powinna sprawić ci trudności.

- I nie sprawia.

- Więc odpowiedz.

- To głupie.

- Możesz mi raz ustąpić.

Wiedziała, że jej głos zabrzmiał słabo i nieprzekonująco, ale on czekał. Musiała trafić.

- Tak. - Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

Przez chwilę więził spojrzenie Kendall podejrzliwym wzrokiem, ale wreszcie uwolnił jej nadgarstek. O mało nie zemdląca z ulgi. Kręciło jej się w głowie, była oszołomiona radością, że znów zyskała na czasie. Uniosła Kevina, pocałowała na dobbranoc i ułożyła w kojcu. Nakarmiła go, zanim poszła się wykąpać, i teraz mógł już iść spać. Okryła synka lekkim koczykiem, wyprostowała się i odwróciła.

Stał niepokojąco blisko. Położył ręce na jej barkach, przesunął wzrokiem po twarzy, a potem po włosach.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Tak okropnie? - spytała ze skrucą.

- W porównaniu z tym, jak było poprzednio ... tak, dość okropnie. Dlaczego sobie coś takiego zrobiłaś?

- Mówiłam ci.

- Mówiłaś nieprawdę, Kendall. Mogłaś upiąć włosy do góry, skoro było ci gorąco. Nie musiałaś się tak oszpecać. - Popatrzył na nią surowym, pytającym wzrokiem. - Miałaś zamiar dzisiaj odejść, prawda?

- Nie!

- Przestań mnie okłamywać. Jeśli nie masz nic innego do powiedzenia oprócz kolejnych kłamstw, lepiej w ogóle nie mów. - Przyciągnął ją do siebie. - Zaczynam żałować, że twoje kłamstwa nie są prawdą. Zaczynam żałować, że nie jesteś moja, tak straszliwie cię pragnę ... Do cholery z tym! ĘPocałował ją namiętnie.

Pozwoliła mu na to i odpowiedziała tym samym. Nagle dopuściła do siebie myśl, którą przez całe dni świadomie odsuwała - pragnęła go tak samo mocno, jak on jej. Z początku bała się go i pogardzała nim. Awersja do tego, co sobą reprezentował, nie pozwalała jej widzieć w nim mężczyzny. Trudno było jednak mieszkać z nim, spać obok i nie docenić, jak bardzo jest atrakcyjny. Zbyt była pewna, że okaże się niewrażliwa na jego urok fizyczny ... na swoje własne pragnienie.

Jej pożądanie nie było wyłącznie wynikiem działania hormonów. Jego ciało zdrowiało, ale w jego psychice wyczuwała głębokie wewnętrzne rozdarcie, zranione uczucia, które również trzeba było wyleczyć. Potrzebował miłości i ciepła, choć prawdopodobnie nawet sobie tego nie uświadamiał, nigdy by też o to nie poprosił. Potrącało to jakąś strunę w jej duszy; nie chciałyby nigdy więcej zobaczyć tego zaszczutego wyrazu w jego oczach.

Każdy kolejny dzień, godzina po godzinie, przybliżał ich do siebie. Od początku było to nieuniknione. Zamiast walczyć, podda się temu.

Przysunęła się jeszcze bliżej i wtuliła w niego. Jęknął i położył ręce na jej piersiach.

- Pozwól mi się dotykać - poprosił chrapliwie. Brodawki jej piersi stwardniały pod jego palcami. Na koscziuli pojawiły się pod wpływem pieszczot wilgotne miejsca. Spojrzał na nie, na swoje mokre palce i twarz mu stęzała z namiętności. Duże ciepłe dłonie ujęły jej głowę, kciuki przesuwaly się po policzkach i wargach. Schylił się, żeby ją pocałować, tym razem bardzo delikatnie - ledwie muskał ją ustami. Z każdym muśnięciem rozgrzewała się coraz bardziej. Wreszcie pocałował ją mocno, pieszcząc wnętrze ust językiem. Uczucie gorąca w podbrzuszu stało się nie do zniesienia. Czuła, jak nabrzmięwa, pulsuje, robi się wilgotna; nie pamiętała już, kiedy ostatni raz doświadczała takich doznań. Piersi nabrzmięwały, stały się wrażliwe; gorąco zapragnęła jego pocałunków. Wtopić się w niego. Wtopić.

- Kendall?

-Hmm ...

- Chodźmy do łóżka.

Do łóżka. Żeby mogli się kochać. Oczekiwał, że zachowa się jak żona.

Powrócił nie chciany rozsadek. Nie mogła przekroczyć pewnej granicy, jeśli nie chciała spowodować lawiny, która zagarnie ją i zetrze w pył.

Przecież nie zwariowała? Nie straciła pamięci? Przecież nie może!

- Przepraszam cię, nie mogę. - Odsunęła się od niego tak gwałtownie, że oboje omal nie stracili równowagi. Oparła się o komodę i wyciągnęła ramię, jakby tym gestem mogła go powstrzymać. - Proszę, nigdy więcej nie dotykaj mnie w ten sposób.

Twarz miał mroczną z pożądania. Zaklął chrapliwym, nieerównym głosem.

- Kendall, to nie ma sensu. Dlaczego nie możesz?

- Po prostu i normalnie, bo powiedziałam "nie". I to powinno wystarczyć.

- Nie mnie. Należy mi się jakieś wyjaśnienie.

- Właśnie go udzieliłam.

- Święty by się w tym nie połapał! - wrzasnął i Kevin zakwilił w proteście przez sen, a on przycisnął grzbietem dłoni skroń i powoli wypuścił powietrze. - Nie rozumiem. Skoro jesteście małżeństwem, skoro oboje tego chcemy ...

- Ja już nie chcę. I nie chciałam od dłuższego czasu.

- Dlaczego?

- Sprawileś mi ból.

- Ból? - Twarz mu pobleadła. - Uderzyłem cię?

Potrząsnęła głową.

- Nie fizyczny. Psychiczny. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Za dobrze to pamiętam. I wciąż boli. - Cierpienie nagle ożyło; zdrada stanęła jej przed oczami tak wyraziście, jak owego popołudnia przed domem Lottie Lynam. Przycisnęła do piersi skrzyżowane ramiona.

- Cholera! - Usta, które jeszcze przed chwilą tak uporrczywie ją pobudzały, wykrzywiła gorycz i żal. - Inna kobieta, tak?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kendall siedziała na ganku, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem, nieświadoma obecności wiewiórek, goniących jedna za drugą po drzewach, choć zawsze lubiła śledzić wzrokiem ich harce. Nie słyszała też drażniącego warkotu elektrycznej piły, dochodzącego z dalekiego sąsiedztwa, ani połaajanek i gniazdującej w pobliżu sójki.

Była otępiała od momentu, gdy zobaczyła, jak jej mąż kocha się z Lottie Lynam, okazując więcej namiętności, niż kiedykolwiek zaznała w małżeńskim łóżu.

Wyrzucała sobie, że nie stawiała im czoła. Mogła ich złapać na gorącym uczynku. Nie wyparliby się. Dlaczego nie okazała im całej pogardy, na jaką zasługiwali?

Bo właściwie nic nie było do zrobienia, można było tylko odejść chyłkiem, żeby lizać rany. Kiedy ich zobaczyła, stała jakiś czas, nie całkiem dowierzając temu, co widzi, jakby się spodziewała, że zaraz odwróca się do niej ze śmiechem: aha, tu cię mamy, ale sobie zakpiliśmy, niezły psikus.

Nie było to jednak żartem. Było tragicznie realne. Zafascynowana i przerażona, patrzyła na splecionych k9chanków. Kiedy już nie mogła tego dłużej znieść, wycofała się nie zauważona na zakurzoną wąską drogę. Zanim

dotarła do samochodu, ogarnęły ją mdłości i wymiotowała w rosnące opodal winorośla. Dojechała jakoś do domu, choć samej jazdy nie pamiętała.

Siedziała tak już od kilku godzin. Powoli złość zaczynała brać górę i stępiła nieco ból. Była gotowa zmierzyć się z mężem, z jego zdradą, choć nie bardzo wiedziała jak. Nie było to coś, co mogłaby zaplanować albo przećwiczyć.

A zresztą za późno. Właśnie przyjechał do domu. Samochód skręcił z głównej drogi i jechał długim podjazdem.

Dostrzegłszy ją siedzącą na ganku, mąż zatrąbił dwa razy klaksonem. Wysiadł, uśmiechnięty i uszczęśliwiony, że ją widzi. - Cześć! Dzwoniłem do biura, ale sekretarka mi powieedziała, że wyszłaś wcześniej. Gdzie byłaś?

- Miałam parę spraw do załatwienia.

Wbiegł po schodkach, postawił walizeczkę na ganku, poowiesił marynarkę na poręcz krzesła i pochyliwszy się, pocałował ją w czoło. Kosztowało ją wiele wysiłku, by się opanować i nie odwrócić od niego. Dobrze, że nie pocałował jej w usta. Nie wytrzymałaby.

- Miałaś ciężki dzień? - zapytał współczująco, spostrzegłszy, że nie reaguje zbyt entuzjastycznie.

- Zwyczajny. - Zwyczajny? Zdaje się, że odwrotnie, dość burzliwy. Zdradzona przez życiowego partnera i klientkę, której przyszłość od niej zależała.

Rozluźnił węzeł krawata i usiadł na krześle obok niej.

- Strawiłem większość dnia na dzwonieniu i szukaniu koogoś, z kim prowincjonalny wydawca, taki jak ja, mógłby porozmawiać o budżecie szkół publicznych. Ale oni tam w Columbi są zbyt zajęci, by udzielać wywiadów, chyba że jesteś z wielkiej stołecznej gazety. - Zdjął buty i skarpetki, oparł nogę na kolanie drugiej i zaczął rozcierać stopy. - Tata się do ciebie odzywał?

- Nie.

- Do mnie też nie. Ciekawe, czym jest tak pochłonięty.

Chyba pójdę i zadzwonię do niego.

Nim doszedł do drzwi, zatrzymała go, pytając: - Matt, kiedy dostanę listę pytań?

- Jakich pytań?

- Dla pani Lynam.

- Prawda! - Strzelił palcami. - Czyli akceptujesz mój pomysł? Mam zielone światło?

- Na wywiad czy pieprzenie jej?

Zabrzmiało to niezbyt elegancko, ale dało rezultat: znokautowała go. Miała ogłupiała minę.

- Nie trudź się i nie obrażaj mnie udawaniem głupka - oświadczyła głosem spokojniejszym, niż mogła tego po sobie oczekiwać. - Nie powtarzam ohydnych plotek zasłyszanych u fryzjera. Byłam dzisiaj u Lottie Lynam i widziałam was

w pełnym świetle dnia. Wszystko jest oczywiste. Nie ma miejsca na spekulacje.

Podszedł do barierki ganku, odwrócił się do niej plecami i zapatrzył na podwórko. Próbując zachować resztki cierppliwości, Kendall czekała na odpowiedź. Miała już na końcu języka złośliwą reprimendę, gdy wreszcie zwrócił ku niej twarz. Niedbale założył ręce na piersiach.

- To nie ma z tobą nic wspólnego.

Rozsądne, spokojnie wypowiedziane oświadczenie. W efekcie Kendall poczuła gwałtowny przypływ wzburzenia.

- Nic ze mną wspólnego?! - wykrzyczała. - Nic ze mną wspólnego? Jestem twoją żoną!

- Właśnie, Kendall. Na żonę wybrałem ciebie.

- A Lottie Lynam na kochankę!

_ Tak. Wiele lat temu. Wtedy nawet nie wiedziałem, że istniejesz.

- Wiele lat temu?

Odwrócił się od niej. Skoczyła z krzesła, złapała go za rękaw i zmusiła, by na nią spojrział.

- Odkąd z nią sypiasz, Matt? Chcę wiedzieć. Zniecierpliwiony strzepnął jej rękę.

- Od czternastego roku życia.

Oślupiała, cofnęła się o krok.

- No, lepiej ci z tą wiedzą, Kendall? Samopoczucie ci się poprawiło? Chyba nie. Trzeba było to zostawić tak, jak jest.

Tylko że on sam nie zostawił. Nie poprzestał na tej informacji. Uznał, że nie musi niczego zatajać, skoro odkryła jego romans.

- Między mną a Lottie coś się zaczęło, kiedy jeszcze byliśmy tylko ciekawskimi dziećmi. Fizyczność, przeznaczenie, naa. zwij to jak chcesz. Zawsze mnie do niej ciągnęło, a ją do mnie.

Kiedy mieliśmy po czternaście lat, zaspokoiliśmy naszą ciekawość. Taki był początek.

Kendall przycisnęła palce do warg, by powstrzymać ich drżenie. Gorzej, niż mogła się spodziewać. To nie był przelotny wyskok, błąd, który mógłby naprawić, a jeśliby wspomniał, to z żalem i wyrzutami sumienia. Łączyło

ich coś więcej niż romans. Ich związek trwał dłużej niż wiele małżeństw. Przygotowała się na walkę: spodziewała się najpierw zaprzeczenia, potem przyznania i prośby o zrozumienie i wybaczenie - ale na coś takiego nie była przygotowana.

- Po naszym pierwszym razie spotykaliśmy się potajemnie, kiedy tylko się dało. Umawiałem się z innymi dziewczętami. Ona wychodziła z innymi chłopakami. Wszystko po to, aby nikt się nie zorientował, co się dzieje. Lottie kupowała prezerwatywy, żeby aptekarz nie mógł donieść ojcu, ile ich zużywam, i w rezultacie zyskała reputację dziewczyny, która sypia z kim popadnie. Nikt się nie domyślał, że jestem jej jedynym kochankiem. Oczywiście nasze potajemne randki w końcu wyszły na jaw. Tata też się dowiedział. Kiedy zaapytał mnie, ile jest prawdy w tych plotkach, wszystkiemu zaprzeczyłem. Wyjechał na weekend, rzekomo na targi artykułów sportowych w Memphis, i niespodziewanie wtargnął do mojego pokoju, kiedy byliśmy z Lottie w łóżku. Wezwał jej ojca, a mnie spuścił łanie i zrobił wykład na temat sztuczek, jakimi posługują się dziewczęta w rodzaju Lottie, żeby usidlić chłopców takich jak ja. Potem wymienił nazwisko pewnej damy mieszkającej w Georgii i oświadczył, że z przyjemnością zapłaci, ilekroć zapragnę kobiecego towarzystwa. Mam się jednak trzymać z daleka od białej hołoty takiej jak Lottie. Nic dobrego dla ciebie nie wyniknie z zadawania się z tą dziewczyną, powiedział. Przez jakiś czas bałem się z nią spotykać, bałem się, że tata to odkryje. Potem wyjechałem do college'u. Lata mijały, wspomnienie blakło. Zrobiłem dyplom, wróciłem do Prosper i zacząłem załatwiać kupno gazety. Kiedy to się stało, poszedłem do agencji sprawdzić, co z ubezpieczeniem budynku i wyposażenia. Siedziała tam Lottie. - Zamilkł na moment, jakby wyobrażając ją sobie, siedzącą za biurkiem. - Spojrzeliśmy na siebie i to wystarczyło. Znaleźliśmy się w tym samym punkcie, w jakim się rozstaliśmy. Przez kilka lat było wspaniale. Potem poostawiła ultimatum: albo się z nią ożenię, albo zniknę na zawsze z jej życia. Nazwałem ją naciągaczką i przestałem się z nią widywać. Trzy miesiące później wyszła za Charliego Lynama.

- Tobie na złość. Skinął głową.

- Od tamtego dnia była naprawdę nieszczęśliwa.

- Wyjawszy chwile spędzane z moim mężem.

- To dzisiaj zdarzyło się wyjątkowo, Kendall. - Niecierpliwym ruchem przeczesał palcami włosy. - Nie byłem z Lottie od dnia naszego ślubu. Wyobraź sobie, jak się czułem, dowiedziawszy się, że będziesz jej bronić. Byłem bardzo niezadowolony, ale nic nie mogłem zrobić.

- Dlaczego poszedłeś do niej dzisiaj?

- Nie wiem - stwierdził z rozdrażnieniem. - Co za różnica?

- Dla mnie duża. Złamałeś małżeńską przysięgę. Masz mi to wyjaśnić. Chyba na to zasługuję.

Najwyraźniej zapędziła go w kozi róg; spoglądał na nią przygryzając wewnętrzną policzka.

- Nie da się tego wyjaśnić - mruknął w końcu. - W porządku?

- Nie, nie w porządku. - Kosztowało ją to wiele dumy, ale musiała zapytać: - Kochasz ją?

Zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Ale zawsze umiała ...

- Umiała co? - naciskała. - Cóż takiego dla ciebie robiła?

- Zaspokajała moją pewną potrzebę! - wrzasnął.

- Której ja nie zaspokajałam?

Zacisnął usta, nie zamierzając udzielać odpowiedzi, choć była oczywista i straszliwie urażała poczucie własnej wartości Kendall. Czy po dzisiejszym dniu w ogóle będzie w stanie uwierzyć, że Matt jej pragnie?

- Nie miałem zamiaru cię urazić - powiedział, jakby czytając w jej myślach.

- Trochę za późno, panie Burnwood. Właśnie mnie uraziłeś, i to mocno. Czuję też gniew, ale przede wszystkim zażenowanie. Skoro Lottie tak wspaniale spełnia twoje oczekiwania, dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

- Ożeniłeś? To poza dyskusją. Tata nigdy by na coś podobnego nie pozwolił.

- Co to znaczy: nie pozwoliliby? To Gibb dokonywał wyboru? Ty mnie wybrałeś czy on?

- Kendall, nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałem.

- Oszczędź sobie tego pouczającego tonu!

- Wpadasz w histerię.

- Nie w histerię. W furję. Cholerną furję. Wystrychnąłeś mnie na dudka! Zrobiłeś ze mnie idiotkę!

- W jaki sposób wystrychnąłem cię na dudka? - Rozłożył ramiona w geście urażonej niewinności.

- Umizgując się do mnie, udając miłość!

- Kocham cię, Kendall. Lata czekałem na idealną żonę i ty nią jesteś. Wybrałem cię, bo jest w tobie wszystko, czego szukałem.

- Coś jak dodatkowe wyposażenie samochodu. Poczekałeś na właściwy model, zanim kupiłeś.

- Mówisz od rzeczy, Kendall.

- Wydaje mi się to w pełni usprawiedliwione.

- Bo raz mi się noga powinęła? Bo spędziłem jedno popołudnie z byłą flama? Nie rozumiem, dlaczego jesteś tak zaszokowana i rozczarowana.

Nie wierzyła własnym uszom. Z kim miała do czynienia?

Znała go? A on ja? Czyżby nie wiedział, jak ważna była dla niej wzajemna lojalność? Nigdy o tym nie dyskutowali, ale przecież rozumiało się to samo przez się; bez słów było wiadome, że ona oczekuje wierności.

- A co, jeśli mnie się powinie noga? - spytała. - Jeśli przyłapiesz mnie z byłym kochankiem? - To zupełnie co innego.

- A czym się różni?

- Różni się - oświadczył lakonicznie.

- Nie ma osobnych reguł dla chłopców, a osobnych dla dziewczynek, Matt.

- Ta rozmowa przybiera absurdalny obrót. Nie zamierzam się w nią dłużej wdawać. Idę do domu się przebrać. - Chciał ją wyminąć, ale zagroziła mu drogę.

- Rozmowa nie jest absurdalna i ja zamierzam się w nią dalej wdawać. Widziałam cię z nią, Matt, widziałam was splecionych i szczerze mówiąc, obawiam się, że oszukujesz sam siebie co do swoich uczuć do Lottie. Nie sprawiało to wrażenia banalnego potknięcia, jak twierdzisz. Wprost przeciwnie. Nie mogę udawać, że nic się nie stało. Ani nie myśleć o tym, że dopuściłeś się zdrady. - Głos jej się załamał. Wzięła głęboki oddech, by powstrzymać wybuch płaczu. Jakakolwiek oznaka słabości podważy jej pozycję. Odzyskawszy panowanie nad głosem, oznajmiła: - Chcę, żebyś przeprowadził się do Gibba. Potrzebuję czasu, żeby się z tym uporać. Dopóki tak się nie stanie, nie chcę mieszkać z tobą pod jednym dachem.

Uśmiechnął się do niej blado, jakby jej naiwność wzbudziła jego sympatię.

_ Coś takiego nigdy się nie zdarzy, Kendall - powieedział miękko. - To mój dom. A ty jesteś moją żoną. Nie miałem zamiaru sprawić ci bólu. Przykro mi, że nas widziaałaś, pozostaje ci tylko o tym zapomnieć. - Odsunął ją na bok i podszedł do drzwi. - Idę z tatą do lasu. Wrócę raczej późno - poinformował ją ciepłym głosem, jakby nic się nie wydarzyło.

Rozdział dwudziesty drugi

Nie zajęło mu to nawet dwudziestu minut. Przebrał się, włożył wysokie buty, spakował myśliwski ekwipunek do breezentowej torby i wyszedł. Wyraźnie rozbawiło go jej nadaśanie i uchylenie się od pożegnalnego pocałunku.

Jeszcze długo po jego odejściu tkwiła zrozpaczona nieruuchomo na krześle na ganku. Nie wiedziała, co ją bardziej dotknęło: zdrada czy to, że zbył ją tak lekceważąco.

Spodziewał się, że mu wybaczy, bo pierwszy raz oszukał?

Pochwali go, bo tak długo opierał się pokusie? Jak śmiał ją tak zlekceważyć? Dlaczego nie podszedł do tego na serio, jak należało?!

Spakuje się i odejdzie, póki go nie ma! Coś takiego na pewno wreszcie zwróci jego uwagę. Dobrze mu to zrobi!

Ale w ten sposób pozwoli, by kierowała nią złość. Postawiła sobie za cel małżeństwo doskonałe. Nie może reagować gwałtownie, musi działać według starannie przemyślanego planu. Jego niewierność coś w niej zniszczyła i nigdy się z tego całkowicie nie otrząśnie. Ale wiedziała też, jak destruktywna może być złość i duma.

Najtrudniej przyjdzie jej zaakceptować fakt, że Matt kochał Lottie od lat i gdyby nie sprzeciw Gibba, ożeniłby się z nią.

Lottie nie była typem kobiety, który Gibb by sobie wymarzył dla syna. Nie pasowała do Burnwoodów. Gibb akceptował Kendal Deaton: kulturalną, wykształconą, poprawnie się wyrażającą, zrównoważoną młodą kobietę.

Jedynym niedostatkiem Kendal Deaton było to, że nie zaspokajała pragnień męża ...

Kto ją w końcu wybrał, Gibb czy Matt, zastanowiła się raz jeszcze. Przerazała ją myśl, że Gibb wywiera tak przemożny wpływ na Matta. Dopóki będzie cieszyć się względami teścia, wszystko w porządku. Ale niech mu tylko wejdzie w drogę, zrobi sobie potężnego wroga.

Odsunęła od siebie na razie tę myśl. Teraz musi postanowić, co z jej małżeństwem.

Czy chce je utrzymać? Tak, chce. Więc jak może tego dokonać?

Ma nad Lottie Lynam znaczącą przewagę w dwóch sprawach. Po pierwsze, Gibb tamtej nie akceptuje, a jego opinia wiele znaczy dla Matta. Po drugie, Lottie jest bezdietna, a ona nosi w sobie dziecko Matta.

Na myśl o tej sekretnej broni zamiast ulgi poczuła ból w sercu. Powinni świętować dzisiejszego wieczoru. Zdumiewać się cudem natury, darem ich miłości. Planować, jak urządzią pokój dziecienny, wybierać imię, snuć plany o świetlanej przyszłości ich dziecka. Tymczasem on wyszedł, zostawiając ją nieszczęśliwą, samą, z natrętnymi obrazami zdrady przed oczyma. Ruuszył do swoich spraw, niczym nie zaniepokojony.

- A niech cię cholera! - powiedziała.

Jak mógł sobie po prostu wyjść jakby nigdy nic? Nawet nie zdobył się na porządną walkę! Zerwała się z krzesła i wpadła do domu. Złapała torebkę. W parę sekund po podjęciu decyzji siedziała w samochodzie, pędząc po szosie.

Chciała pozostać żoną Matta. Stworzyć rodzinę. Należać do rodziny. Ale nie za cenę godności własnej. Nie będzie jej ignorował. Traktował jak popychadło. Nie pozwoli, żeby zlekceważył jej gniew, uznał go za przejaw urażonej ambicji. Jeśli chce utrzymać ich małżeństwo, musi przyznać się do winy. Dać słowo, że nie będzie więcej romansował z Lottie ani z nikim innym. Dochowanie wierności nie jest czymś, nad czym mogliby dyskutować. Jeśli przyzna, że zrobił źle, przebaczy mu.

Ale ma się to stać jeszcze dzisiaj.

Nie będzie czekała w domu na jego powrót jak posłuszna, uległa żoneczka. Umknął przed walką, więc ona mu ją wyda. Gibb z nim jest, wspaniale. Niech się wytłumaczy ze swego nikczemnego pozamałżeńskiego romansu z Lottie Lynam przed pełnym dezaprobaty ojcem.

Tutaj była całkowicie pewna bezwarunkowego poparcia Gibba.

Zanim dotarła do obrzeży Prosper, zaczęło zmierzchać. Szybko stało się dla niej oczywiste, że nie znajdzie Matta tak łatwo, jak sobie

wyobrażała. Światła miasta zostały daleko w tyle, a ona nie rozpoznawała krajobrazu. Była kiedyś w tych okolicach, na terenach dzierżawionych przez Gibba. On i Matt zbudowali tu małą górską chatę i mąż pokazywał ją z prawdziwą dumą. Żałowała poniewczasie, że nie zwróciła wtedy baczniejszej uwagi na otoczenie.

Przez zalesione wzgórza otaczające Prosper wiły się kręte, wąskie, mroczne polne drogi i ledwie parę z nich było oznakowanych. Tylko ktoś tutaj urodzony mógł odróżnić jedną od drugiej. Dla obcego przybysza wszystkie wyglądały jednako.

Pomyślała, że w końcu musi się natknąć na jakiś znajomy punkt, i jechała dalej. Ale kiedy minęła tę samą opuszczoną stodołę, którą widziała dziesięć minut temu, uznała, że jednak się zgubiła. Zatrzymała samochód na środku drogi.

- Cholera! - Łzy frustracji wypełniły jej oczy. Tak desperacko pragnęła go znaleźć! Im szybciej to przedyskutują, tym prędzej będą mieli za sobą i znowu zaczną wieść wspólne życie. Zirytowana, wysiadła z auta i rozejrzała się we wszystkich kierunkach, próbując przypomnieć sobie jakiś charakterystyczny szczegół krajobrazu. Otaczał ją gęsty, złowrogi las.

Wróciła za kierownicę i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Wcześniej czy później znajdzie się na drodze prowadzącej do Prosper. Właściwie to, że się zgubiła, może obrócić się na jej korzyść. Spróbuje się uspokoić, zanim stawi czoło Mattowi. Zyskała czas na rozważenie rozmaitych aspektów sprawy. Może zdoła odkryć, co skłoniło Matta do szukania towarzystwa byłej kochanki. Czy była temu w jakiś sposób winna?

Zwiększyła szybkość. Samochód wspinał się na wzgórze i wtedy dostrzegła w odległości mniej więcej pół mili czerwony błysk wśród koron drzew. W panice przyszło jej do głowy, że to pożar, ale szybko porzuciła tę przerażającą myśl - ogień płonął na ograniczonym obszarze i najwyraźniej się nie rozprzestrzeniał.

Im bliżej podjeżdżała w kierunku płomieni, tym bardziej znajomy wydawał jej się krajobraz. Rozpoznała, gdzie jest. Była tu w listopadzie na świnobiciu. Stąd przynajmniej знаła drogę do domu. Może Matt już wrócił, może wszystko sobie przemyślał ...

Zdjęła jednak nogę z pedału gazu i nacisnęła hamulec. Skąd ten ogień? A jeśli pierwsza myśl była słuszna? Jeśli ktoś zostawił tłące się nie dopalone drewno? Nie widziała żadnego samochodu, co uzasadniało przypuszczenie o nie wygaszonym ognisku. W takim razie cały las był zagrożony.

Zatrzymała się, ale nie wyłączyła silnika. Rozejrzawszy się podejrzliwie dokoła, otworzyła drzwiczki i wysiadła. W ciepłym wiosennym powietrzu unosił się silny zapach palonego drewna. Z lękiem zapatrzyła się na ciemny las. Nie lepiej wrócić jak najszybciej do miasta i zawiadomić szeryfa? A jeśli odkryją grupę nastolatków piekących kiełbaski albo rodzinę uwielbiającą jeść na świeżym powietrzu? Narobi zamieszania bez powodu. Następny incydent, który będzie włókł się za nią całe życie, jak to omdlenie, gdy szlachtowali świnie.

Wiedziała jednak, że nie wolno jej odejść, dopóki nie przeekona się, czy nie ma niebezpieczeństwa pożaru. Zebrała się na odwagę i zapuściła w las.

Nie była odpowiednio ubrana na taką wycieczkę: wciąż miała na sobie kostium, który włożyła do biura, rajstopy i buty na wysokich obcasach. Młode pędy jeżyn i winorośli, rozkrzewiających się po okresie zimowego spoczynku, wplątywały się jej we włosy, czepiały ubrania, zostawiały zadrapania na nogach. Coś zaszeleściło w leśnym gąszczu, ledwie parę jardów od niej, ale nie zatrzymała się, chcąc jak najszybciej rozpoznać źródło zagrożenia.

Nagle krzyk rozdarł powietrze.

Zastygła. Strach chwycił ją za gardło. Na litość boską, co to było? Zwierzę? Dziki kocur? Chyba tylko pantera mogłaby wydać taki dźwięk.

Nie, to krzyczał człowiek. Przerażliwie. Przerażająco. Boże święty, na co się natknęła?

Po pierwszym ostrym, pełnym bólu wrzasku przyszły naastępne; urywane okrzyki straszliwej męki.

Zelektryzowana tym wołaniem o pomoc zapomniała o własnym strachu. Rzuciła się na oślep w mroczną ciemność, zeszła z ubitej leśnej ścieżki, byle dobiec jak najprędzej na miejsce. Przedzierała się przez gęstwinę, nie zwracając uwagi na ukłucia bólu, gdy jej skórę rozdzierały gałęzie i ciernie, parzyły pokrzywy.

Zaraz otworzy się przed nią znajoma polana. Mogła już dostrzec spoza drzew błyski płomieni i rysujące się na ich tle sylwetki ludzi.

Było tam co najmniej dwa tuziny osób. Wszyscy krzyczeli.

Ale nie z przerażenia czy bólu.

Czując ulgę, zatrzymała się, żeby złapać oddech, i nagle zatroskała się: paniczny bieg przez las nie był czymś wskazanym w pierwszym trymestrze ciąży. Oparła rękę o pień drzewa, pochyliła się lekko i zaczęła głęboko oddychać.

Wyprostowała się, usłyszawszy nagły wybuch śmiechu. Ciekawość pchała ją, by zobaczyć cóż to za przedziwne zgromadzenie, a jednocześnie coś jej mówiło" że powinna zachować ostrożność, dopóki nie stwierdzi, kto i dlaczego krzyczał.

Zobaczyła, że grupa składa się z samych mężczyzn. Może była świadkiem studenckiej inicjacji? Uznała, że właśnie o to chodzi, gdy nagle rozpoznała znajomą twarz i aż się zachnęła.

Dabney Gorn. Co robił o tej porze w tym miejscu? I sędzia Fargo. Mieli jakieś spotkanie klubowe?

Wyłowiła także wzrokiem Hermana Johnsona, naczelnika poczty w Prosper, przewodniczącego rady szkoły, i pastora Boba Whitakera. Wszyscy bez wyjątku spoglądali na coś, co leżało na ziemi. Stali stłoczeni w kręgu i Kendall nie mogła dostrzec, nad czym się pochylali.

Omal nie wyskoczyła ze skóry, kiedy rozległ się kolejny krzyk. Herman Johnson odrzuciwszy głowę do tyłu wydał wibrujący, mrozący krew w żyłach wrzask, podczas gdy inni podnieśli do góry to, co spoczywało na ziemi.

Krzyż.

Z przybitym do niego Michaeliem Li.

Rozdział dwudziesty trzeci

Młody mężczyzna wisiał nagi.

Z miejsca, gdzie powinien mieć genitalia, tryskała ciemnoczerwona krew. Głowa zwisała bezwładnie na szczupłej piersi. Nie żył już albo był nieprzytomny.

Kendall nawet nie krzyknęła, sparaliżowana grozą. Patrzyła z niemym przerażeniem, jak jeden z oprawców podstawił złożone ręce pod prawą stopę Hermana Johnsona i uniósł go. Johnson złapał Michaela Li za włosy, podniósł jego głowę, siłą otworzył usta i wepchnął w nie coś.

Kiedy opadł z powrotem na ziemię, pozostali zaczęli wiwaatować. Gdy przestali, nastąpił moment niesamowitej ciszy. A potem zaczęli śpiewać hymn.

Kendall ogarnęła fala mdłości. Przełknęła ślinę z żółcią, żeby powstrzymać wymioty, i zaczęła ukradkiem się wycofywać, trzęsąc się ze strachu, by jej nie odkryto. Była świadkiem egzekucji dokonanej przez członków straży obywatelskiej na niewinnym chłopaku. Nie mieliby dla niej więcej litości niż dla Michaela Li, gdyby odkryli jej obecność.

Kiedy zyskała pewność, że nie mogą jej widzieć, odwróciła się i puściła szaleńczym biegiem, przedzierając przez drzewa i zupełnie nie dbając o hałas, który robiła. Nie mogli jej usłyszeć; wciąż śpiewali religijny hymn, wypaczając intencję tego, kto go napisał.

Omal nie upadła, pochwycona nagle w pułapkę winorośli.

Odruchowo położyła rękę na brzuchu. Musi uważać z powodu dziecka i biec wolniej. Ale musi się też spieszyć. Jeśli natychmiast powiadomi władze, aresztują ich w miejscu popełnienia tej odrażającej zbrodni.

- Boże święty! - westchnęła, myśląc o szoku, jaki to wywoła wśród mieszkańców miasta. W jaki sposób Herman Johnson, uważany powszechnie za nieznośnego gbura, zdołał skłonić co bardziej znaczących obywateli Prosper do uczestniczenia w czymś tak niehumanitarnym?

Starając się iść szybko, ale nie biegnąc już na oślep, próbowała odtworzyć drogę, którą tu przyszła, okazało się to jednak niemożliwe w mrokach lasu. Ciemność sprawiła, że nie dostrzegła obniżenia terenu, straciła równowagę i upadła ciężko na twarz. Na kilka sekund odebrało jej oddech i jakiś czas leżała łapiąc gwałtownie powietrze.

Dopóki nie pozbawił jej na nowo oddechu otaczający ją ohydny odór. Leżała rozciągnięta nie na ziemi, ale na czymś ubraniu. Podparłszy się na dłoniach, uniosła się i spojrzała w twarz Barny.

Właściwie część twarzy; połowy niemal już nie było. W pustym oczodole roiło się od robaków.

- Boże-boże-boże - pojękując bełkotliwie ze strachu, zdołała się wygramolić na czworakach na górę i zwymiotowała.

Wsparta na rękach i kolanach, popatrzyła na rozkładające się ciało, najwyraźniej pochowane w grobie zbyt płytkim, by uchronił je przed padlinożercami. Oddarły mięso ze szkieletu, ale to nie one go zabiły. Umarł zastrzelony. Pośrodku czoła widniał ciemny otwór po kuli.

Samobójstwo? Nieprawdopodobne. Nie przypadkiem ciało Bamy leżało niedaleko miejsca, gdzie dokonywano egzekucji. Kendall nie miała cienia wątpliwości, kto go zamordował.

Kolana tak jej drżały, że ledwie była w stanie dźwignąć się na nogi. Przystąpiła nad szczątkami Bamy i chwiejnie ruszyła na przełaj w kierunku drogi. Doszła do niej w końcu, choć zboczyła oczywiście od miejsca, w którym stał samochód. Zobaczyła go i podbiegając co parę jardów, dotarła do niego, zadowolona, że zostawiła silnik na biegu. Oszczędzało jej to trochę czasu, zresztą ręce tak jej drżały, że nie wiadomo, czy zdołałaby trafić kluczykiem w stacyjkę.

Jadąc coraz szybciej, zaczęła układać plan działania. Żeby dotrzeć do centrum, musi przejechać koło ich domu, może więc zatrzyma się i zadzwoni do szeryfa? Daj Boże, żeby Matt już wrócił. Był jej potrzebny. Po tym, co zobaczyła, przestało być istotne, że zdradził ją z Lottie Lynam.

Skupiła wzrok na drodze, mocniej ujęła kierownicę i próbo-

wała się całkowicie skoncentrować na tym, co ma zrobić, ale wyobraźnia wciąż podsuwała jej obraz krzyża z Michaeliem Li, a w uszach dźwięczały głosy mężczyzn, wiwatujących, gdy Johnson wpychał mu genitalia do ust.

I Bama. Przemili, nieszkodliwy Bama, prawiący każdemu uprzejmości i przepowiadający z niesamowitą dokładnością pogodę. Ponad wszelką wątpliwość dokonano na nim egzekucji, ponieważ stanowił skazę na wizerunku Prosper. Nie pracował, obrażał porządek publiczny, dawał zły przykład dzieciom ...

Boże święty, ilu innych pozbyto się lub ukarano w ten barbarzyński, nieludzki sposób?

Billy Joe Crook? Oczywiście. Ukradł, więc odjęto mu rękę. Kto by zakwestionował przypadkowość tego tragicznego wydarzenia? Z pewnością nie Billy Joe, który naraziłby się na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby ujawnił, że spotkało go nieszczęście z woli grupy samozwańczych sędziów.

"Oko za oko" - to było ich credo. Michael Li odważył się złamać tabu obcowania z białą dziewczyną. Wyrok? Kastracja i śmierć.

Wydała okrzyk zadowolenia, zobaczywszy zaparkowany przed domem wóz Matta. Pędząc po frontowych schodach wykrzykiwała jego imię. Kiedy wbiegła do holu, wyszedł z łazienki; brał prysznic, włosy miał wilgotne, wokół talii ręcznik.

- Kendall, gdzie byłaś? Wróciłem i nie zastałem cię w domu. Po naszej kłótni ...

- Matt, Bogu dzięki, jesteś! - Rzuciła się w jego ramiona i zaczęła szlochać z głową na jego piersi.

- Kochanie! - Przytulił ją mocno. - Wybaczysz mi? Zaczniemy od nowa?

- Tak, tak, oczywiście, ale posłuchaj, posłuchaj!

Odsunął ją od siebie i dopiero teraz zauważył, że nie rzuciła się ku niemu powodowana namiętnością.

- Co się, do licha, stało? Jesteś blada jak płótno. Co masz we włosach? - Wyjął z nich gałązkę i przyjrzał jej się z ciekawością.

- Matt, to było przerażające! - zaszlochała. - Nigdy bym w coś takiego nie uwierzyła, gdybym nie zobaczyła na własne oczy. Dopadli Michaela Li. Pewnie go nie znasz. Oni ... Opowiem ci w drodze. Ubierz się, a ja zadzwonię na policję. Podjadą tu, bo to po drodze. Zaprowadzę ich ...

- Kendall, weź się w garść. O czym ty, na litość boską, mówisz? - Miał czas przyjrzeć się jej dokładniej i teraz był niemal tak samo zaniepokojony jak ona. - Ty krwawisz. Gdzie się tak podrapałaś?

- Czuję się dobrze. Naprawdę. Po prostu jestem przestraszona.

- Kto cię skrzywdził? - zapytał gniewnie. - Bliźniacy? Jeśli te bydlaki ...

- Nie, nie ... ! - przerwała mu z krzykiem. - Matt, słuchaj! Zabili Michaela Li. Myślę, że nie żyje. Wykastrowali go ... tyle krwi wszędzie. Na ziemi, on pokrwawiony ... - Uwolniła się z jego objęć, przestąpiła nad kupką brudnego ubrania, które z siebie zdjął, i sięgnęła po telefon. Wystukała 911.

- Kendall, to bez sensu. O czym ty mówisz?

- O Michaelu Li - powtórzyła niecierpliwie. - Chłopaku fałszywie oskarżonym o zgwałcenie Kimberly Johnson. Bame też zabili. Natknęłam się na jego ciało, gdy uciekałam ... Halo? Czy to ... ? Nie, nie mogę czekać! - wrzasnęła do słuchawki załamującym się głosem.

- Kendall, wpadasz w histerię. - Matt podszedł do niej szybko.

- Nie, nie, przysięgam, że nie. - Przełknęła ślinę, usiłując zapobiec wybuchowi histerii, której właśnie zaprzeczyła. Zęby jej szczękały mimo woli. - Uspokoję się do przyjazdu policji. Zaprowadzę ich prosto w to miejsce.

- W jakie miejsce?

- Tam, gdzie było świniobicie. Dokonują morderstw na polanie, gdzie nikt nie zwróci uwagi na krew. - Nagle stało się to dla niej jasne. - Są przebiegli. I jest ich tak wielu. Ludzie, których znamy i nigdy byśmy nie podejrzewali.

- Co robiłaś w nocy sama w lesie?

- Pojechałam cię szukać. - Gorące słone łzy wypełniły jej oczy i pociekły po policzkach. - Musiałam się z tobą zobaczyć. Nie chciałam, by ta sprawa z Lottie tak się zaogniła, że już nie zdołalibyśmy tego naprawić. Nie byłam w stanie czekać, aż wrócisz do domu. Próbowałam cię znaleźć, ale się zgubiłam.

- Pogotowie policyjne, czym mogę służyć?

- Och, halo! - Pomachała Mattowi na znak, że ktoś wreszcie wrócił do telefonu. - Proszę mnie natychmiast połączyć z biurem szeryfa. Nazywam się ..

Wyrwał jej słuchawkę z ręki i odłożył na widełki. Zapatrzyła się na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego to zrobiłeś? Muszę o tym zameldować! Zaaprowadzę ich tam. Jeśli zaraz nie przyjadą .. .

- Nigdzie się nie wybierasz, tylko pod prysznic i do łóżka. - Poglaskał ją po włosach. - Wieczorem duchy straszą w lesie, jeśli nie jesteś przyzwyczajona do ciemności. Zgubiłaś się i ogarnęło cię przerażenie, kochanie. Zwyczajnie spanikowałaś. Gorący prysznic i kieliszek chłodnego wina, a zapomnisz o wszystkim.

- Nie spanikowałam! - Zdawszy sobie sprawę, że jej piskliwy ton potwierdza tę hipotezę, wzięła głęboki oddech. □ Jestem w pełni przy zdrowych zmysłach, zapewniam cię. Przeerażona, owszem, ale jeszcze nie zwariowałam.

- Nie sugeruję niczego takiego. Ale ostatnio byłaś w ogromnym stresie i ...

- Przestań traktować mnie z wyższością i posłuchaj. Matt, oni...

- Przede wszystkim wyjaśnij mi, kim są ci "oni", o których bez przerwy mówisz.

- Niemal wszyscy z jakąś władzą tutaj. Mogę wymienić tuzin wpływowych osób. - Zaczęła recytować nazwiska, ale przerwał jej znowu.

- Twierdzisz, że ci ludzie mają coś wspólnego z kastracją i ukrzyżowaniem? Nie wspominając o zamordowaniu zebraaka? - Uniósł brwi, robiąc sceptyczną minę. - Kendall, bądź rozsądna. Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę w te bajki.

- Wierzysz w nie. Przekrzywił głowę zdumiony.

- Nie wspomniałam ani słowem o ukrzyżowaniu. Rdreszcz ją przeszedł. Spojrzała na kupkę porzuconych na podłodze ubrań. W błoto, które oblepiło podeszwy butów, nawbijają się gałązek i sosnowych szpilek. Wy<:Zuła słaby zaapach dymu. Powoli podniosła na niego oczy. Obserwował ją spokojnie, z przejmą miną. - Byłeś tam, tak? - wyszeptala ochryple. - Jesteś jednym z nich. Gibb także.

- Kendall. - Wyciągnął rękę.

Odwróciła się, by uciec, ale dała ledwie parę kroków, gdy złapał ją za żakiet i zatrzymał.

- Puść mnie! - Sięgnęła do tyłu, próbując podrapać mu twarz, i poczuła coś w rodzaju satysfakcji, gdy jęknął z bólu.

- Nie opuści nas pani tak po prostu, panno Buttinsky. Wbiła mu łokieć w żołądek. Złapał się za brzuch, uwalniając ją. Rzuciła się do drzwi, ale znów był szybszy. Walczyli chwilę, nim zdołał przycisnąć jej ręce do boków. Twarz miał ściągniętą furia. Pochylił się i wykrzyczał jej prosto w twarz, pryskając kropelkami śliny:

- Chcesz rozmawiać z szeryfem? Z kimś wyższym rangą z policji? Dobrze. Znajdziesz ich wśród naszych.

- Kim jesteście?

- Brotherhood. Wymierzamy sprawiedliwość, bo tak zwana demokracja i prawo obracają się przeciwko nam. Wszystko działa na korzyść hołoty. Żeby wyrównać szanse, musieliśmy wziąć swoje sprawy w swoje ręce.

- Zabijacie ludzi?

- Czasami.

- Ilu ich było? I jak długo to trwa?

- Od dziesięcioleci.

Kolana się pod nią ugięły i upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

- Mieliśmy nadzieję, że do nas dołączysz, Kendall. Nie wygrasz z nami.

- Zakład? - Walnęła go kolanem w pachwinę.

Zaklął i zgiął się we dwoje. Kendall rozejrzała się wokół, chwyciła z komody wazon z różami i zamachawszy się z całej siły, walnęła go w głowę. Zwalił się jak podcięte drzewo i leżał bez ruchu. Patrzyła przez moment na nieruchome ciało, nie wierząc, że to zrobiła. Oddychała głośno i chrapliwie. Pomyślała o dziecku. Czy przetrwa tę noc? A ona?

Tylko wtedy, jeśli ucieknie.

Zdjęła obrączkę, cisnęła nią w Matta i rzuciła się biegiem do frontowych drzwi.

Do domu zbliżały się światła samochodu. Gibb wysiadł z pikapa, wszedł po schodkach i zapukał.

Kierując się nagłym impulsem, pobiegła do sypialni i poorwała szlafrok z szafy.

- Idę! - zawołała. Śpiesząc do wyjścia wsunęła ramiona w rękawy i otuliła się szczelnie materiałem, skrywając podrapane nogi i pobrudzone ubranie. W ostatniej chwili przypomniała sobie o zrzuceniu butów. Uchyliła drzwi i wyjrzała przez nie. - Och, cześć, Gibb! - Miała nadzieję, że przypisze jej krótki oddech czemuś innemu niż strach.

Buty miał ubłocone jak Matt, ubranie śmierdziało dymem.

Wracał wprost z krwawej egzekucji i uśmiechał się dobrotliwie. - Wy dwoje jeszcze nie w łóżkach?

Zerknęła przez ramię, niemal spodziewając się zobaczyć kroczącego chwiejnym krokiem Matta, rozcierającego ogromny guz na głowie.

A może nie żyje!

Miała nadzieję, że udało jej się ułożyć wargi we wstydlivy uśmiech.

- No nie. To znaczy ... miałam na myśli, że jeszcze nie śpimy. My ... no wiesz. - Uśmiechnęła się afektownie jak filmowa piękność z Południa. - Jeśli masz do niego coś naaprawdę ważnego ...

- Wątpię, żeby było ważniejsze od tego, co robicie zachichotał.

- Wiesz - powiedziała nieśmiało - akurat się godzimy.

Posprzeczialiśmy się trochę. - Tknięta nagłym przeczuciem, zapytała: - Nie wspominał ci o tym?

- Prawdę mówiąc, tak, chociaż nie powiedział, o co poszło. Wpadłem zobaczyć, czy mogę to jakoś uładzić. - Uśmiechając się szeroko, mrugnął do niej. - Widzę, że moja pokojowa misja nie jest potrzebna. No to uciekam do siebie i zostawiam was dwoje przy waszych zajęciach. - Wyciągnął rękę i uściśnął jej ramię, a ona złękła się, że znowu zwymiotuje. - Wracaj do męża. Dobranoc.

- Dobranoc.

Gibb odwrócił się i ciężkim krokiem zszedł po schodach.

Dla lepszego efektu zawołała za nim:

- Wpadnij na śniadanie, dobrze? Ślinka mi cieknie na samą myśl o twoich słynnych waflach.

- Będę o ósmej.

Patrzyła za jego samochodem, dopóki tylne światła nie znikły jej z oczu, po czym pobiegła do sypialni ..

Matt leżał tam, gdzie przedtem. Nie mogła się zmusić, żeby go dotknąć, nawet sprawdzić, czy puls mu bije.

Co za różnica. Żył czy był martwy, jej życie tutaj się skończyło.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Nazywam się Kendall Deaton Burnwood. To, co panu zamierzam powiedzieć, zabrzmii niewiarygodnie. Może pan pomyśleć, że jestem niespełna rozumu. Zapewniam pana jeddnak, że tak nie jest. - Przerwała, by pociągnąć łyżeczek coli, którą kupiła w automacie w motelu.

- Słucham panią.

Detektyw Braddock z FBI był śpiący i zirytowany. Niedobrze. Ale historia, którą mu opowie, powinna go zelektryzować tak, że się całkiem obudzi. Przedstawiła się jako obrońca z urzędu, mając nadzieję uprawdopodobnić w ten sposób swoje opowiadanie. Obawiała się, że może ją wziąć za kompletnego świra.

- Od prawie dwóch lat mieszkam i pracuję w Prosper.

Dzisiejszej nocy odkryłam grupę ludzi ze straży obywatelskiej, dokonujących okropnych morderstw. Należą do niej najbarrdziej wpływowi mężczyźni w miasteczku. Nazwali swoją orrganizację Brotherhood. Mój ... mój mąż jest jednym z nich. Wymierzają według własnego uznania kary wszystkim, którzy w ich mniemaniu na nie zasłużyli. Nie mogłabym stwierdzić, ilu ludzi wykończyli przez lata, ale dzisiejszej nocy byłam naocznym świadkiem morderstwa. - Opowiedziała o egzekucji Michaela Li i o tym, jak natknęła się na szczątki Barny. - Nie był przestępcą, ale podejrzewam, że i jego zabili - dodała, po czym opanowanym głosem opisała, czego była świadkiem, starając się mówić rzeczowo i dokładnie; zbytnia emocjonalność mogłaby osłabić wiarygodność relacji. - Polana leży głęboko w lesie w dość odległym miejscu. Odbywa się na niej świniobicie. I jak sędzę, nie tylko ... - Głos jej jednak zadrżał. Przerwała i wtedy zdała sobie sprawę, że po tamtej stronie panuje całkowita cisza. - Jest pan tam jeszcze?

- Jestem. Po prostu ... Cóż, proszę pani, nie zła historia.

Zawiadomiła pani o domniemanym morderstwie lokalną poolicję?

- Oni też w tym siedzą.

- Policja? Aha, rozumiem.

Najwyraźniej nic nie rozumiał. Zbywał ją. Co właściwie mogła powiedzieć, by go przekonać, że nie zetknął się z przypadkiem choroby umysłowej? Odrzuciła do tyłu włosy i pociągnęła kolejny łyk coli. Kłujący ból między łopatkami był wynikiem napięcia ostatnich godzin. Przejechała sto pięćdziesiąt mil, nim uznała, że może się zatrzymać. Cały czas spoglądała we wsteczne lustro.

Kiedy Matt oprzytomnieje i zaalarmuje pozostałych, że ich odkryła? A jeśli uderzenie wazonem go zabiło, kiedy odkrywają ciało? Miała nadzieję, że nie przed ósmą rano, kiedy to Gibb przyjdzie przygotować wafle. Spojrzała na zegarek. Było po drugiej. Czas szybko uciekał.

_. Uprzedzałam pana, detektywie Braddock, że to zabrmi niewiarygodnie.

- No więc musi pani przyznać, że wygląda na odrobinę naciąganą historię. Według naszej oceny Prosper jest bardzo porządną społecznością.

- Takie sprawia wrażenie, ale ta sielskość to kamuflaż. Niech pan zrozumie ... wiem, że codziennie wysłuchuje pan opowiadań szurniętych osobników, ale przysięgam: mówię prawdę. Widziałam tego chłopaka rozpiętego na krzyżu.

- Proszę się uspokoić, pani Burnwood. Daleko nie zajedziemy, jeśli pani wpadnie w histerię.

- Ani jeśli pan zignoruje moją opowieść.

- Niczego nie ignoruję .. .

- Więc co mam robić?

- Wymieniła pani parę ważnych osób - stwierdził z rezerwą w głosie. - Ludzi dysponujących władzą .. .

- Uważa pan, że o tym nie wiem? Z początku też wydawało mi się nieprawdopodobne, by byli w coś takiego zaangażowani, ale im dłużej myślałam, tym lepiej rozumiałam, że to ma sens. - Czemu pani tak twierdzi?

- Jest w tym mieście jakaś charakterystyczna atmosfera ... Nie potrafiłabym tego opisać słowami, ale wyczuwałam ją od początku, gdy tam przyjechałam. Jego mieszkańcy nie zachowują się tak ostentacyjnie jak skinheadzi ani agresywnie jak neonaziści, ale wyznają podobną filozofię.

- Byłoby to niepokojące.

- Bardziej niż niepokojące. Ale trudno się w tym zorientować. Nie od razu rozpozna pan, z kim ma do czynienia. To mężczyźni piastujący stanowiska, które dają władzę i budzą zaufanie, a nie wszczynający burdy osobnicy o ogolonych głowach albo ze swastykami na czołach. Nie noszą powłóczysstych szat i spiczastych kapturów. Nie zwołują mityngów, żeby wykrzykiwać rasistowskie hasła i głosić supremację białych. Ale być białym i anglosasem to jeszcze dla nich nie wszystko. Billy Joe Crook miał jasną skórę. Bama też.

- Billy Joe Crook?

Opowiedziała o młodocianym przestępcy i rzekomym wypadku.

- Według kryteriów członków Brotherhood nie wystarczy być białym, trzeba jeszcze być wybranym - stwierdziła z nie skrywaną pogardą.

Agent Braddock wypuścił ustami powietrze.

- Mówi pani rozsądnie, pani Burnwood. Nie sądzę, by pani to wszystko wymyśliła. Sporządzę protokół i zobaczymy, co się da zrobić.

- Dziękuję, ale biurokratyczne papierki niczego nie ukróca.

Nie będę bezpieczna, dopóki nie znajdą się za kratami.

- Zgoda. Jednak zanim zacniemy zgarniać podejrzanych, wyślę agenta, żeby przyjrzał się tej polanie. Gdybyśmy wezwali kogoś na przesłuchanie, pani męza na przykład, zaalarmowałoby to pozostałych. Mogliby się rozproszyć. Utajnić. Potrzebujemy konkretnych dowodów, zanim dokonamy aresztowań. Musimy działać dyskretnie.

Miał oczywiście rację. To był najlepszy sposób postępowania. Ale ona nie odetchnie swobodnie, dopóki jej mąż, Gibb i inni nie znajdą się pod kluczem.

- Kiedy pan chce zacząć?

- Jeżeli określi pani położenie tych miejsc, wyślę kogoś o świcie.

Opisała, gdzie znajdują ciało Bamy. Była prawie pewna, że Michael Li też już nie żyje. Ciekawe, jak wytłumaczą jego zniknięcie z miejskiego więzienia.

Relacjonując, jak walczyła z Mattem, powiedziała detektywowi Braddockowi, że pozbawiła go przytomności. Nie wspomniała o swoich obawach, że mogła go zabić. Będzie się tym martwiła, jeśli rzeczywiście zajdzie taka potrzeba.

- Gdzie pani jest? - zapytał. - Jeśli znajdziemy dowody potwierdzające pani zeznanie, będzie pani świadkiem koronnym i musi się znaleźć pod ochroną rządu.

- Miasto nazywa się Kingwood. - Podała mu numer autostrady biegnącej przez centrum. - Zatrzymałam się w motelu Pleasant View. Nie można go przegapić, jest tuż przy drodze. Pokój sto trzy. O której pan będzie?

- O dziewiątej.

Siedem godzin. Wytrzyma sama tak długo? Nie ma wyboru. Wezwała ich, a teraz musi czekać.

- Niech się pani nigdzie nie rusza i nie robi czegoś głupiego z powodu złej oceny sytuacji albo brawury - ostrzegł agent. - Jeśli to wszystko, co usłyszałem, jest prawdą, a zaczynam pani wierzyć, mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

- Niech mi pan wierzy, zdaję sobie sprawę. Jeśli mnie znajdą, zabiją bez litości.

- Cieszę się, że pani to rozumie. Proszę się nie oddalać

pod żadnym pozorem. Czy ktoś panią śledził? - Jestem pewna, że nie.

- Ktoś jeszcze wie, gdzie pani jest?

- Nie. Kluczyłam po drodze i nie zatrzymałam się, dopóki nie byłam całkiem pewna, że jestem bezpieczna. Do pana pierwszego zadzwoniłam.

- Dobrze. Przyjadę nie oznakowanym jasnoszarym wozem.

- Będę na pana czekać.

- Powinienem dotrzeć do dziewiątej i zabieram panią prosto do biura FBI w Columbii.

- Dziękuję, panie Braddock. - Rozłączyła się, nie zdjęła jednak ręki z aparatu. Może powinna zadzwonić do babci? Ale telefon o tej porze zaniepokoiłby starszą panią. A ten akurat śmiertelnie by ją przeraził. Podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Lepiej, żeby to było cholernie ważne!

- Ricki Sue, to ja.

- KendaII? - Głos przyjaciółki natychmiast zmienił się z niezadowolonego na zdumiony. - Co się ..

- Jest ktoś z tobą?

- A jak myślisz?

- Szczerze mi przykro. Nie prosiłabym cię o przysługę, gdyby to nie było niezwykle ważne.

- Co się dzieje? Stało się coś złego?

- Tak, ale za długo by było teraz wyjaśniać. Proszę cię, pojedź do babci i zostań z nią przez resztę nocy, dobrze? - Tak ... od razu? - spytała bez entuzjazmu.

- Natychmiast.

- Kendall, co do cholery ...

- Proszę, Ricki Sue. Wiesz, że nie prosiłabym, gdyby sytuacja nie była krytyczna. Zostań z babcią, dopóki nie oddzwonię. Zamknijcie porządnie drzwi i nie otwierajcie nikomu, nawet Mattowi czy Gibbowi.

- Co ...

- Nie odbieraj telefonu, jeśli nie odezwie się dwukrotnie.

To będzie znaczyło, że ja dzwonię. Dobrze, Ricki Sue? Ucałuj babcię i zapewnij ją, że w tej chwili jestem bezpieczna. Zatelefonuję, jak tylko będę mogła. Dzięki. - Rozłączyła się, nie dając przyjaciółce czasu na protesty i pytania.

Jeśli Matt żyje i zaczął ją wraz z Gibbem ścigać, zaczną poszukiwania od Tennessee. Życie babci było zagrożone, tak samo jak jej. I dziecka.

Nagle uderzyła ją myśl o tym, co ją czeka w przyszłości.

Jeśli wszyscy członkowie Brotherhood zostaną aresztowani i staną przed sądem, by odpowiedzieć za swoje zbrodnie, będzie głównym świadkiem w sprawie przynajmniej o jedno morderstwo. Przez miesiące pozostanie pod opieką rządu ... może lata, podczas gdy prokuratorzy będą badać szczegółowo dowody i przygotowywać linię postępowania. Samo to potrwa wieki. A potem jeszcze przełożenia rozpraw, odroczenia, apelaacje ... cała skomplikowana maszyna sądowa, puszczona w ruch, by uzyskać uniewinnienie. Ona i dziecko znajdują się w centrum tej kabały.

Dopóki sprawa nie zostanie zamknięta, jej życie będzie podlegało władzom. Cokolwiek zrobi, będzie kontrolowane. Na wszystko musi uzyskać zgodę władz. Będzie miała taki wpływ na kształt własnego życia, jaki ma marionetka.

Zakryła twarz dłońmi i jęknęła. Czy taką wyznaczono jej pokutę za to, do czego się posunęła, żeby dostać pracę w Prosper?

Kiedy agenci federalni zaczną grzebać się w życiorysie najważniejszego świadka, czeka ich wielka niespodzianka. Ich obowiązkiem jest dowiedzieć się wszystkiego o Kendall Deaton. Kiedy jej sekret wyjdzie na jaw, straci wiarygodność.

Złapała się w pułapkę i nikogo nie mogła o to winić, tylko siebie. Chciało jej się płakać, ale bała się, że jeżeli zacznie, już nie przestanie. Jeśli detektyw Braddock przyjedzie i zobaczy ją szlochającą niepoohamowanie, potraktuje ją jak kobietę, która posprzeczawszy się z mężem uroiła sobie bajeczkę mającą mu przysporzyć kłopotów.

Żeby się uspokoić i ulżyć obolałemu, napiętemu ciału, wzięła gorący prysznic, zostawiła jednak zasłone odsuniętą, tak by móc kontrolować wzrokiem sypialnię. Uciekła w tym, co miała na sobie. Włożyła z powrotem poplamiony i poszarpany kosztium i położyła się na łóżku. Choć wyczerpana, nie mogła zasnąć. Zapadała w drzemkę, budząc się na każdy, nawet najłżejszy dźwięk. Ku własnej irytacji bez przerwy spoglądała na zegarek.

To była długa noc.

- Coś słodkiego? Dostaliśmy dziś rano bułeczki na miodzie z rodzynkami.

- Nie, dziękuję, tylko kawę.

Było dopiero dwadzieścia po ósmej. Od szóstej Kendall przemierzała pomarańczowy puszysty dywan w motelowej sypialni, odliczając każdą wlokącą się minutę. Uznawszy, że nie jest w stanie pozostać w pokoju ani chwili dłużej i łaknąc filiżanki kawy, zdecydowała się złamać zakaz Braddocka i wyjść. Oglądając się co chwila przez ramię, czy nie widać członków straży obywatelskiej w gwałtownym pościgu, przeszła na drugą stronę autostrady do restauracji ..

Zapłaciwszy życzliwemu kasjerowi, wyszła niosąc ze sobą kawę. Przy rogu budynku spostrzegła budkę telefoniczną. Krótka rozmowa z Sheridan, tylko po to, by się upewnić, że wszystko w porządku. Mogła zadzwonić z pokoju w motelu, ale im mniej danych na jej rachunku, tym lepiej.

Weszła do staroświeckiej budki telefonicznej z zasuwanymi drzwiami. Pociągnęła je, a kiedy się za nią zamknęły, wystukała numer. Odczekała dwa sygnały, rozłączyła się i wybrała cyfry ponownie. Ledwie przebrzmiał pierwszy dzwonek, odezwała się Ricki Sue.

- Co jest? Odkryli coś? Masz kłopoty?

- Mam - odpowiedziała. - Ale nie z powodu, o którym myślisz. Jak babcia?
.

- Dobrze. Chociaż oczywiście trochę zaniepokojona. Obie byłybyśmy wdzięczne, gdybyśmy się dowiedziały, co się, do cholery, dzieje.

- Ktoś o mnie pytał?

- Nie. Gdzie jesteś, Kendall?

- Nie mogę długo rozmawiać ...

- Mów głośniej, dziecinko, ledwie cię słyszę, zupełnie jakbyś mówiła ze studni.

Z autostrady zjechał szary samochód i podjechał na parking przed motelem. Agent Braddock przybył trzydzieści minut wcześniej.

- Kendall, jesteś tam?

- Jestem. Nie rozłączaj się. - Oczy miała utkwione w sunącym wolno wzdłuż ponumerowanych drzwi aucie. Na przodzie siedziało dwóch mężczyzn. Braddock nie wspominał, że kogoś ze sobą zabierze, ale czyż agenci federalni nie pracują w parach?

- Kendall, babcia chciałaby z tobą rozmawiać.

- Nie, poczekaj, Ricki Sue. Weź coś do pisania, szybko!

Przystanęli pod drzwiami oznaczonymi numerem sto trzy.

Wysiadł wysoki, szczupły, siwiejący mężczyzna. Okulary przeciwsłoneczne, ciemny garnitur, biała koszula; typowy ubiór agenta federalnego. Rozejrzał się wokół i podszedł do drzwi. Zapukał, odczekał trochę i zapukał ponownie. Odwrócił się w stronę auta i wzruszył ramionami.

- Kendall!!! Odezwij się! Co się dzieje?

Mężczyzna siedzący po stronie pasażera wyszedł z samochodu. Gibb Burnwood.

- Ricki Sue, słuchaj uważnie, nie zadawaj pytań. Nie ma na to czasu. - Mówiła pośpiesznie, recytując jednym tchem skrótowo formułowane instrukcje, z oczami utkwionymi w dwóch mężczyznach stojących po drugiej stronie zatłoczonej autostrady o dwóch nitkach. - Zdażyłaś?

- Zapisalam stenografując. Ale powiedz mi ...

- Nie teraz. - Rozłączyła się.

Serce podeszło jej do gardła. Detektyw Braddock i Gibb

dyskutowali przed motelem. Jeszcze jej nie dostrzegli, ale tylko dlatego, że nie szukali jej wzrokiem. Jeśli spojrzą w kierunku restauracji, mogą ją zobaczyć.

Braddock wyjął coś z kieszeni i pochylił się nad klamką. Po paru sekundach pokój sto trzy stanął otworem. Obaj weszli do środka.

Otworzyła pchnięciem drzwi budki, wypadła z niej i weszła w alejkę między restauracją a sklepem spożywczym. Pobiegła przed siebie; nikt jej nie widział, jeśli nie liczyć kota pląddrującego pojemnik na śmieci w poszukiwaniu śniadania. Uliczka otwierała się na wąski parking biegnący wzdłuż rzędu sklepek. Tutaj właśnie zostawiła samochód. Wtedy wydawało jej się to cokolwiek melodramatyczne: przesadny środek ostrożności. Teraz dziękowała Bogu za swoją przezorność.

Wybierała drogę na chybił trafił, jadąc ani zbyt szybko, ani zbyt wolno i przestrzegając dozwolonej na terenie zabudowanym prędkości. Przejechała obok kompleksu mieszkalnego, minęła stadion piłkarski i dotarła do wiejskiej drogi, która mogła prowadzić wszędzie.

Albo do nikąd.

Rozdział dwudziesty piąty

Spotkały się w Chattanooga w motelu, którego nazwę Kendall wymieniła podczas krótkiej rozmowy telefonicznej dzisiejszego ranka. Babcia przytuliła ją mocno do swego kruchego ciała i pogłaskała po włosach.

- Moje dziecko, jestem chora ze zmartwienia. W coś ty się znowu wplątała?

- Oczywiście zakładasz, że ja jestem tego sprawczynią.

- Doświadczenie przeze mnie przemawia.

Roześmiała się i uścisnęła babcię. Ogromnie się ucieszyła na jej widok, ale jednocześnie doznała szoku, stwierdziwszy, jak bardzo posunęła się od czasu, gdy widziała ją ostatni raz. Na szczęście oczy patrzyły z ożywieniem i tak samo inteligentnie jak zawsze.

Ricki Sue omal jej nie udusiła w objęciach.

- No dobrze - powiedziała niezadowolonym głosem. hW nocy odciągnęłaś mnie od niezłego ogiera, rano wypluwałaś z siebie instrukcje jak pistolet maszynowy kule, a potem musiałam prowadzić tak długo, że półdupki mi zdrętwiały. Do cholery, chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Nie dziwię się, że jesteś zdenerwowana. Przepraszam cię za kłopoty i dziękuję z całego serca za wszystko, co zrobiłaś. Zrozumiesz, dlaczego cię popędzałam, gdy wam wszystko opowiem. To długa historia. Zanim zacznę, chciałabym się upewnić, czy nikt was nie śledził.

- Nakrażyłyśmy się po tym mieście, aż nas zemdliło. Jestem absolutnie pewna, że nie byłyśmy śledzone.

Usiadły we trójkę na łóżku i Kendall zaczęła swoją niesamowitą opowieść. Obie słuchały jak zahipnotyzowane, jeśli nie liczyć tych częstych momentów, gdy Ricki Sue mamrotała przekleństwa, by wyrazić niedowierzanie.

- Kiedy zobaczyłam Gibba z Braddockiem, zrozumiałam, że albo mi nie uwierzył i zadzwonił do najbliższych krewnych kobiety, którą podejrzewał o nerwowe załamanie, albo ... i to jest naprawdę przerażająca możliwość ... w biurze regionalnym FBI też są członkowie Brotherhood.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Ricki Sue. - Tak czy owak wpadłaś.

- Właśnie. Więc nie zaryzykuję ponownego telefonu do federalnych, dopóki nie znajdę się daleko stąd. Jak dotąd, jestem jedyną osobą spoza Brotherhood, która wie o ich nikczemnych praktykach. Mogę je ukrócić, więc będą mnie ścigać. Mam zamiar się ukrywać, aż tych drani aresztują, oskarżą i zamkną bez prawa wyjścia za kaucją.

- Zanim do tego dojdzie, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. - Babcia uścisnęła jej rękę; zatroskanie pogłębiło zmarszczki na jej twarzy. - Dokąd pojedziesz?

- Nie wiem, ale chcę, żebyś pojechała ze mną. Babciu, proszę - powiedziała błagalnie, widząc, że staruszka zamierza zaprotestować. - Może to trwać całe miesiące. Chcę, żebyś ze mną była nie tylko dla mojego, ale także dla twojego bezpieczeństwa. Mogą mnie dosięgnąć posłużwszy się tobą. Musisz się zgodzić.

Przekonywała ją blisko godzinę, ale bez rezultatu. Starsza pani była niewzruszona.

- Bezpieczniej dla ciebie, jeśli nie będziesz mnie ze sobą wlokła.

Kendall zwróciła się po pomoc do Ricki Sue, ale przyjaciółka jej nie poparła.

- To ty nie widzisz tego we właściwy sposób, dziecińko.

Rację ma babcia. Zmieniasz kolor włosów, nakładasz parę okularów, inne ubranie i już wyglądasz inaczej. Masz wiele możliwości, a kobiecie w wieku babci trudno się przeobrazić.

- Poza tym wiesz przecież, że chciałabym umrzeć we własnym domu, zostać pochowana przy dziadku i twoich rodzicach. Kiedy przyjdzie na mnie pora, nie chcę, by się to stało w nie znanym mi miejscu, nie chcę leżeć wśród obcych.

Nie znalazła na to argumentów, ale zaprotestowała, by babcia nie mówiła o śmierci jak o czymś bliskim.

Spały obie w jednym łóżku, a Ricki Sue pochrapywała na drugim. Leżały przytulone do siebie i szepcząc wspominały minione dni. Chichocząc przywoływały wspólnie przeżyte dobre chwile. Wzruszyły się, rozmawiając o dziadku i rodzicach; nikogo z nich Kendall nie pamiętała, znała ich wyłącznie z opowiadań babci, ale doskonale potrafiła ich wszystkich troje sobie wyobrazić.

- Biorąc pod uwagę ciosy, jakie na nas spadły, poradziłyśmy sobie całkiem nieźle, prawda? - Staruszka poklepała Kendall po ręce.

- Nie tylko nieźle, babuniu. Łaska boska, że miałam ciebie przy sobie. Kochałaś mnie bardziej, niż większość rodziców kocha swoje dzieci.

- Żałuję, że moja miłość nie była wystarczająca.

- Ależ była! - wykrzyknęła Kendall szeptem.

- Nie. Potrzebowałaś jak każde dziecko miłości i akceptacji matki i ojca, a oni nie mogli ci tego dać. - Położyła chłodną, suchą, naznaczoną starczymi plamami dłoń na policzku wnuczki. - Nie musisz nikomu nic udowadniać, kochanie. A już zwłaszcza im. Gdyby żyli, spełniłybyś wszelkie ich oczekiwania, i to z nawiązką. Nie bądź wobec siebie aż tak wymagająca, ciesz się życiem.

- Nie sądzę, by po tym, co się zdarzyło, czekało mnie wiele radości.

- Jakoś to przeżyjesz. - Starsza pani uśmiechnęła się jak zadowolona z siebie wróżka, która dostrzegła cudowne rzeczy w szklanej kuli. - Zawsze byłaś ciekawa i odważna i dobrze na tym wychodziłaś. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam cię w szpitalu, nie leżałaś śpiąc cichutko w kołysce, jak pozostałe dzieci, tylko rozglądałaś się wokół. Powiedziałam twojej matce, że jesteś wyjątkowa, i od tamtej pory nie zmieniłam zdania. Jej oczy rozbliły. - Jesteś niezwykła. Pisane ci są wspaniałe rzeczy. Przekonasz się, że mam rację.

I nie martw się o pokaźny uszczerbek na koncie. Gotówka leżała ukryta od lat w różnych miejscach w domu.

- Ej! Sprytna z ciebie starsza pani - oświadczyła Ricki Sue, poklepując ją po ramieniu. - Podoba mi się twój styl, babuniu.

Kendall ucieszyła rozwijająca się między obiema kobietami przyjaźń. Z ufnością powierzała babcię opiece Ricki Sue.

- Zadzwoń, jak tylko będę mogła - obiecała. - Ale prawdopodobnie nie porozmawiamy zbyt długo. Może założą podsłuch na wasze telefony. - Zobaczywszy ich przestraszone twarze, dodała: - Spodziewam się po nich naj gorszego. Zaachowajcie dużą ostrożność.

Ogarnęło ją pragnienie, by powiedzieć o dziecku, które w soobie nosiła, ale zwalczyła je. Wzmogłoby to tylko ich niepokój. Poza tym nie dowierzała własnej woli. Pewnie wymogłyby na niej, by nie wyjeżdżała w nieznaną; pokusa, by zostać, mogła się okazać zbyt silna.

Przyszedł nieunikniony moment rozstania. Kendall uścisnęła gorąco babcię, starając się zapamiętać zapach jej kruchego ciała.

- Kocham cię, babciu. Do zobaczenia naj wcześniej, jak to będzie możliwe.

Staruszka odsunęła ją od siebie i długo patrzyła jej w twarz. - Ja też cię kocham. Bardzo, bardzo mocno. Życzę ci szczęścia, dziecko.

Kendall wyczytała w jej smutnych oczach pożegnanie. Zdawszy sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie widzi ją po raz ostatni, zapragnęła przyłgnąć do niej i już jej od siebie nie puścić. Ale poszła za przykładem babci i postanowiła pożegnać się równie godnie jak ona; zdobyła się nawet na blady uśmiech.

Ricki Sue, która płakała głośno i niepowstrzymanie, oświadczyła w tym momencie, że nie życzy sobie żadnych bigotów z Południa ani wężących fedsów uganiających się za jej zaddkiem, i wyciągnęła Elvie Hancock za drzwi.

Kendall patrzyła z okna, jak odjeżdżają, a potem szlochała, aż gardło ją rozboleło. Czego mogła się lękać ze stony członków Brotherhood? Zanim ją wysledzą, serce jej pęknie, była tego pewna.

Ranek powitały trzy przybite kobiety w posępnym nastroju. Babcia wcisnęła wnuczce do ręki kopertę wypchaną banknotami. Kosztowało to Kendall wiele dumy, ale nie miała wyboru: musiała przyjąć pieniądze.

- Zwrócę ci je, gdy tylko gdzieś osiadę i dostanę pracę.

- Przecież wiesz, że wszystko, co mam, jest również twoje.

Porzuciła samochód na motelowym parkingu i za pieniądze babci kupiła starego gruchota od osobnika, który dał ogłoszenie w gazecie. Dojechała nim do Denver, gdzie wydał ostatnie kasznięcie i zgasł. Zostawiła auto na zatłoczonyj autostradzie, poszła pieszo do najbliższego McDonalda i jedząc big maca, przestudiowała rubrykę z mieszkaniem do wynajęcia. W starej części miasta znalazła dokładnie to, czego chciała. Jej gosspodyni była wdową, która uzupełniała rentę dochodami z wynajmu. Dom leżał w pobliżu filii biblioteki publicznej, gdzie KendaII dostała pracę.

Pracowała dużo. Nie nawiązywała znajomości. Nie założyła sobie nawet telefonu. Kiedy ciąża stała się widoczna, odpowiadała na uprzejme pytania z powściągliwością, która znieważała ciekawskich.

Żaden z jej telefonów do FBI nie wzbudził ani krztyny zainteresowania, nie mówiąc już o wszczęciu dochodzenia. Regularnie co kilka tygodni dzwoniła do coraz to innego biura i mówiła, czego była świadkiem w Prosper. Ale najwyraźniej zaklasyfikowali ją jako czubka. Skrupulatnie oglądała wiadomości i czytała gazety w nadziei, że dowie się o zdemaskowaniu działań straży obywatelskiej w Karolinie Południowej. Nic takiego nie nastąpiło.

Członkowie Brotherhood uszli przed odpowiedzialnością za popełnione morderstwa i nic nie mogła zrobić, nie ryzykując życia. Mimo to nie siedziała z założonymi rękami. Spędzała wolne od pracy godziny w bibliotece, gromadząc informacje. Miała dostęp do komputerowych danych i korzystała z tego. Stopniowo powstawała jej własna baza danych, złożona z dosssier oficyjeli Prosper, przypadków nie wykrytych morderstw, doniesień o zaginięciu osób i wszystkiego, co mogłoby pewnego dnia zaprowadzić członków straży obywatelskiej przed oblicze sprawiedliwości.

Dla ich własnego bezpieczeństwa nie powiedziała babci ani Ricki Sue, gdzie jest i co robi, dopóki więc sama nie zadzwoniła, nie miała pojęcia o śmierci starszej pani.

- KendaII, tak mi przykro - Ricki Sue popłakiwała, dzieląc się z nią tą wiadomością. - Boli mnie serce, że w taki sposób się o tym dowiadujesz.

- Była sama?

- Tak. Wpadłam ją rano odwiedzić, ale nie otwierała. Znalazłam ją w łóżku.

- Więc umarła we śnie. To prawdziwe błogosławieństwo.

Co mam zrobić z domem?

- Rozdaj ubrania tym, którym się przydadzą. Rzeczyosobiste i kosztowności zdeponuj w skrytce bankowej. Resztę zostaw jak jest i pozamykaj drzwi. Płać rachunki z konta. PUpoważniła Ricki Sue do podpisywania czeków już wtedy, gdy przeprowadzała się do Prosper.

Nie miała nikogo, z kim by mogła dzielić ból, przeżywała go więc w samotności.

Pracę przerwała na dwa tygodnie przed rozwiązaniem.

Przygotowała w tym czasie swoje małe mieszkanie na przyjęcie dziecka. Poród zaczął się wczesnym rankiem. Koorzystając z telefonu gospodyni wezwała taksówkę, żeby ją zawiozła do szpitala.

Dziecko urodziło się po południu. Zdrowy, radosny chłopczyk, który ważył osiem funtów i trzy uncje. Dała mu imiona Kevin Grant, po swoim ojcu i dziadku. Nie mogła pomicieć w sobie wszechogarniającej radości, musiała się nią z kimś podzielić.

- Dziecko!!! - wrzasnęła Ricki Sue, równie zachwycona wiadomością o narodzinach synka KendaII, jak i zła, że nie wiedziała o ciąży. - Nie

możesz teraz wrócić? Boże święty, jak długo zamierzasz wieść życie uciekinierki? Nie zrobiłaś nic złego!

Ku konsternacji KendalI nikt z Prosper nie usiłował jej odnaleźć ani poprzez Ricki Sue, ani przez babcię. Najwyraźniej Gibb przygotował jakieś wytłumaczenie jej nieoczekiwanego zniknięcia, ale dlaczego nie szukał zemsty? Bardziej niepokoiło ją, że zaniechali ścigania, niż to, że nie próbowali wywierać presji na ludzi, których kochała.

A może doskonale wiedzieli, gdzie jest, tylko wyczekiwali najbardziej odpowiedniego momentu, żeby uderzyć?

Mogli w każdej chwili wyłonić się zza najbliższego rogu, uważała więc, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Pogodziła się z myślą, że spędzi resztę życia z dala od świata, pod fałszywym nazwiskiem, zrezygnuje z kariery prawniczej i będzie wykonywać nudne, podrzędne prace, by zarobić n~ utrzymanie swoje i Kevina.

Nigdy nie robi kariery. Nigdy więcej nie wyjdzie za mąż.

Ricki Sue zaproponowała wprawdzie, że dowie się, czy cios, który zadała Mattowi w głowę, był śmiertelny, ale KendalI nie chciała wiedzieć. Jeśli umarł, będzie odpowiadać za zabójstwo. Jeśli żyje, wciąż jest jej mężem. Była załatwiona w obydwu przypadkach.

Tego popołudnia Kevin skończył trzy miesiące. Ułożyła go na pikowanej kołderce na trawniku przed domem wdowy. Denver cieszyło się wspaniałym, ciepłym dniem wiosennym. Niebo było czyste, ale Kendall doznała uczucia, że chmura przesłania słońce, gdy zobaczyła podjeżdżający rządowy samoochód. Zrobiło jej się chłodno; dni bezpiecznego wygnania się skończyły.

Jasnogranatowy wóz zatrzymał się przy krawężniku. Wyysiadło z niego dwóch mężczyzn i ruszyło w jej kierunku chodnikiem. Niski i krępy uśmiechał się uprzejmie. Wysoki nie. - Pani Burnwood? - zwrócił się do niej niższy.

Na tarasie pojawiła się gospodyni. Znała ją pod innym nazwiskiem i ze zdumieniem przyjęła twierdzącą odpowiedź.

- Agent Jim Pepperdyne, FBI. - Wyjął skórzany portfel z marynarki i otworzył go machnięciem ręki, by pokazać legitymację. Kiwnął głową w kierunku drugiego mężczyzny o surowo zaciśniętych ustach, noszącego nieprzezroczyście okulary przeciwsłoneczne. - Szeryf John McGrath.

Rozdział dwudziesty szósty

John McGrath obudził się i stwierdził, że odzyskał pamięć. Przebudzenie było raptowne i nie doświadczył stale mu ostatnio towarzyszącej ospałości i uczucia dezorientowania. Doskonale pamiętał całą swoją przeszłość; tę odległą i zupełnie bliską.

Wiedział, jak się nazywa, przypominał sobie dzieciństwo spędzone w Raleigh w Karolinie Północnej, numer, jaki nosił na koszulce w szkolnej drużynie futbolowej. Pracę dla FBI i incydent, który przed dwoma laty roztrzaskał jego życie w kawałki i zmusił do odejścia z biura stanowego. Pracę, którą ostatnio wykonywał. Także to, po co wysłano go do Denver.

Wypadku samochodowego nie pamiętał i prawdopodobnie nie miał sobie nigdy przypomnieć, ale jazdę w deszczu po śliskiej szosie i wyrastające nagle na drodze zwalone drzewo - tak. Również uczucie kompletnej bezradności w obliczu zbliżającej się katastrofy i zgodę na śmierć, gdy auto zsuwało się po zboczach. Pamiętał też moment odzyskania przytomności w szpitalu; obolałe ciało, obcy wokół i on sam dla siebie obcy.

Jeszcze żywszy był obraz Kendall patrzącej mu prosto w oczy i mówiącej: "To mój mąż".

Przyłożył ramię do czoła i zaklął cicho pod nosem; niestety pamiętał także wszystko, co się zdarzyło od tej chwili.

Zwłaszcza dzisiejszą noc.

Dzisiejszej nocy wpadł w bagno po uszy.

Dzisiejszej nocy poznał zmysłową stronę osobowości Kendall Burnwood.

Na poduszce obok niego nikt nie leżał, ale nie tak znowu od dawna - zachowała jeszcze ślad jej głowy. Doskonale pamiętał każde jej westchnienie, pomruk, smak jej skóry. Jęknął i przeciągnął dłońmi po twarzy.

Boże święty, czy zostało jeszcze cośkolwiek, czego by jego pamięć nie odsłoniła? Tym, co zrobił, zaprzeczył samemu sobie - Johnowi McGrathowi, takiemu, jakim był.

Zakrył oczy dłońmi, pocierając oczodoły. Jak wytłumaczy to Pepperdyne'owi? A samemu sobie? Jedno przynajmniej wiedział: nie zdradził innej kobiety. On i Lisa ...

Lisa. Lisa Frank. Jak wszystkie inne, także wspomnienie

o niej napłynęło dopiero teraz. I jak to pasowało do sytuacji, że nie pomyślał w pierwszym momencie o przyjemnych chwilach ich związku, tylko o kłótni.

Wrócił do domu z podróży do Francji, skąd eskortował z powrotem do Stanów zbiegłego zbrodniarza. Był wyczerpany, brudny, pod powiekami czuł piasek. Miał zamiar spać trzydzieści godzin bez przerwy. Wkładając klucz do zamka, łudził się, że Lisy nie ma w domu.

Była. Podminowana, w wojowniczym nastroju, bo jakiś pasażer pierwszej klasy zachowywał się jak prawdziwy świr.

- Przykro mi, że miałaś ciężki lot - powiedział starając się, żeby jego współczujący ton wypadł przekonująco. - Ja też się dobrze nie bawiłem. Idę pod prysznic. Chodźmy do łóżka odespać to wszystko.

Ale ustępliwość nie leżała w jej charakterze. Czekwała z ręcznikiem w ręce, aż wyjdzie z kabiny prysznic, a gdy wszedł do sypialni, leżała pod prześcieradłem, uśmiechając się uwodzicielsko.

Od momentu kiedy odkrył, jak zachwycające są różnice między chłopcem i dziewczynką, widok nagiej kobiety nie pozostawiał go obojętnym. Tej nocy zachowywał się jednak egoistycznie i Lisie zabrakło jego zwykłej dbałości i delikatności.

- John, musimy porozmawiać. - Pstryknęła wyłącznikiem lampki.

- Lisa, nie teraz, jestem wyczerpany. - Ton jej głosu sygnalizował temat: "nasza znajomość prowadzi donikąd", a on był naprawdę zmęczony. Zresztą nawet gdy nie był, unikał analizowania ich związku.

Nie zważając na jego zmęczenie i podły nastrój, zaczęła recytować znajomą litanię, wymieniając to, co uważała w ich związku za niezadowolające, a co jemu właśnie odpowiadało.

Nie widują się wystarczająco często, stwierdziła. Jako stewardesa dużej linii lotniczej nie ma stałych godzin pracy i długo przebywa poza domem. Jego praca również wymaga częstych podróży. Spędzają razem w domu akurat tyle czasu, by zaspokoić swoje seksualne apetyty, ale nie dość, by się do siebie przyzwyczaić. Jemu może coś takiego dogadza, ale ona chce czegoś więcej.

- Po prostu się nie angażujesz - utyskiwała.

Zapewnił, że to nieprawda, choć po cichu przyznawał jej rację. Zadowalał go układ między nimi; "układ", bo nigdy mu przez głowę nie przeszło traktować tego w kategoriach związku. Nie musiał inwestować zbyt wiele czasu, energii, wysiłku. I chciał, by tak zostało.

Lisa roztrząsała tę kwestię tak długo, aż się rozzłościł.

- Nie będziemy dłużej dzisiaj rozmawiać. - Zgasił lampkę i wtulił głowę w poduszkę.

- Skurwysyn - zamamrotała, ale udał, że nie słyszy. Następnego ranka obudził się przed nią. Patrząc na uśpioną Lisę, zdał sobie sprawę, że pozostała mu równie obca jak tego dnia, kiedy wymienili telefony podczas lotu, w którym brała udział. Znał dobrze jej ciało, ale nie ją. Podobnie jak ona nie znała jego. Nikt nie wiedział, co się kryje w duszy Johna McGratha. Powinien grać bardziej fair, ostrzec ją na początku, a nie czekać, aż sama to odkryje i dojrzeje do zerwania.

Z zadumy wyrwał go głos Kendall, śpiewającej kołysankę Kevinowi w sąsiednim pokoju. Chyba go karmiła, po raz pierwszy dzisiaj tego dnia. Wyobraził ją sobie, jak kołysze dziecko w ramionach, uśmiecha się do niego, wodzi koniuszkiem palców po drobniutkiej twarzyczce i jak promieniuje z niej macierzyńska miłość.

Taką właśnie zobaczył ją po raz pierwszy, gdy siedziała na trawniku przy tym domu w Denver. Kiedy Jim Pepperdyne się przedstawił, sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło; jakby wyczekiwała, że ją wreszcie znajdą i przestanie się tego bać.

Dali jej czas na spakowanie rzeczy własnych i dziecka, a potem poprowadzili do samochodu. Już miała wsiadać, gdy nagle się zawahała. Patrząc niespokojnie to na jednego, to na drugiego, spytała:

- Zabieracie mnie z powrotem do Karoliny Południowej?

- Tak, proszę pani - odparł Jim. - Musi pani tam wrócić.

W trakcie swej kariery John zaobserwował niemal wszelkie możliwe reakcje emocjonalne, do jakich zdolny jest człowiek. Badał odruchy, warunkowy i bezwarunkowy. Uważano go za eksperta w rozpoznawaniu najmniej szczych niezgodności mowy i ekspresji. Z zadziwiającą precyzją odróżniał prawdę od kłamstwa. Na tym polegał jego zawód. Zawsze respektowano jego zdanie jako znawcy ludzkich zachowań.

Kiedy Jim powiedział, że mają zamiar zabrać ją z powrotem tam, skąd uciekła, przycisnęła obronnym gestem dziecko do piersi, a jej oczy wypełniły się łzami. John McGrath był abbsolutnie pewien, że Kendall Deaton Burnwood całym sercem wierzy w to, co mówi:

- Skoro tak, zabijają mnie.

John pracował swego czasu z Jimem Pepperdyne'em Ruwalniali z rąk przestępców zakładników. Pepperdyne był wspaniałym agentem i jednym z nielicznych przyjaciół Johna. McGrath nie pracował już dla stanowego biura FBI, mimo to Jim poprosił go, by uczestniczył w przesłuchaniu pani Burnwood.

- Po prostu jako obserwator - rzucił od niechcienia, kiedy szli korytarzem do biura, gdzie czekała Kendall. - Może się to okazać całkiem interesujące. Niezależnie od tego chciałbym sprawdzić, czy jest godna zaufania, mówi prawdę czy kłamie jak najęta.

- Przecież już wiesz, że mówi prawdę.

- Musi jeszcze zeznawać tak przekonująco, by sędziowie

jej uwierzyli. To, co mówi, brzmi absurdalnie. Nie masz za grosz serca, nikczemniku - oznajmił, uśmiechając się. - Jesteś bardziej cyniczny i nieustępliwy niż większość sędziów. Jeśli zdoła ciebie przekonać, jesteśmy w domu.

- Wiesz, że to już nie moja działka - przypomniał mu McGrath, gdy stanęli pod drzwiami biura.

Pepperdyne położył dłoń na klamce i posłał mu wymowne spojrzeOle.

- Gówno prawda.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nikt jej nie pilnował. Synka zostawiła pod opieką agentki.

Zrzekła się obrony twierdząc, że sama będzie występować we własnym imieniu. Nie okazywała szczególnego niepokoju, naawet gdy Pepperdyne wręczył jej nakaz. Przebiegła go wzrokiem i podniosła na nich zdumione oczy.

- To wezwanie dla świadka - powiedziała.

- A czego się pani spodziewała? - spytał Pepperdyne. -

Wezwania w sprawie o morderstwo? - On nie żyje?

- Matt Burnwood? Żyje.

Zagryzła wargi, ale John nie mógłby powiedzieć, czy jej twarz wyrażała ulgę, czy konsternację.

- Myślałam, że go zabiłam.

- Jeśli panu Burnwoodowi zostaną udowodnione wysunięte przeciwko niemu zarzuty, prawdopodobnie pożałuje, że nie umarł.

- Chwileczkę ... - Dotknęła ręką czoła. Na jej twarzy malowało się niezrozumienie. - Czy to oznacza, że Matt został aresztowany i oskarżony?

- On, jego ojciec i wszyscy pozostali, których pani zaliczyła do członków tej szczególnej straży obywatelskiej. - Podał jej listę z nazwiskami. - Zarzuty są rozmaite: od wejścia w zмовę po dokonywanie morderstw, za co grozi im nawet kara śmierci. Ponieważ wśród oskarżonych znajdują się sędzia okręgowy i prokurator, mianowano na te stanowiska zastępców. Wszyscy siedzą w więzieniu, pani Burnwood. I nie będą mieli możliwości wyjść za kaucją.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziała cicho. - Wreszcie ktoś wziął moje telefony na serio.

- Od początku byłyby brane na serio, gdyby trafiła pani na właściwe biuro. - Pepperdyne usiadł na krawędzi biurka. □ Ktoś z wymiaru sprawiedliwości zwąchał, że coś w tym wszystkim śmierdzi. Zbyt wielu więźniów umierało lub doznawało urazów w więzieniu w Prosper, zapadały zbyt surowe wyroki.

- Czy to znaczy, że ich obserwowano?

- Tak. Jeszcze zanim została tam pani zatrudniona jako obrońca z urzędu. Ktoś od nas pracował nad tym. Niestety, zniknął bez śladu, nim zdołał uzyskać niepodważalne dowody. - Otworzył teczkę i wręczył jej fotografię. - Sądzę, że palli go rozpozna.

- Bama! O mój Boże!

Pepperdyne spojrzał na Johna. McGrath skinął głową; zdumienie Kendall Burnwood było szczere.

- Tej nocy, gdy widziałam, jak zabijali Michaela Li, odkryłam także jego zwłoki - powiedziała. - Nikt go nie widział już od jakiegoś tygodnia.

- Z naszego punktu widzenia wciąż jest osobą zaginioną.

Przeszukaliśmy okolicę, ale nie natrafiliśmy na grób, o którym wspominała pani w rozmowach telefonicznych. Byłaby pani w stanie go odnaleźć?

- Nie sądzą. Minał prawie rok. Zgubiłam się w ciemnościach, byłam dezorientowana i przerażona. Natknęłam się na jego ciało w panicznej ucieczce, by ocalić życie. Nawet gdybym was zaprowadziła w to miejsce, natura pewnie już dokonała dzieła zniszczenia.

- Nawet w tym wypadku jesteśmy zdolni uzyskać fizyczne dowody przestępstwa.

- Trudno mi uwierzyć, że Bama był agentem FBI. ŔPrzycisnęła palce do warg, by powstrzymać ich drżenie.

- Nazywał się Robert McCoy. Musieli go rozszyfrować i zapłacił za to życiem.

- Niekoniecznie. Brotherhood mogło się po prostu zabrać do wiosennych porządków i zdecydowali, że trzeba zamieść sądowe schody. Dla nich to wystarczający powód, żeby zaabić. - Wstała i podeszła do okna. Objęła skrzyżowanymi ramionami lekko zgarbione barki i John zrozumiał, jak bardzo jest przerażona i bezbronna. - Nawet sobie nie wyobrażacie, do czego są zdolni - powiedziała cicho.

- Mamy o tym całkiem niezłe pojęcie - oświadczył Pepperdyne. - Pamięta pani redaktora naczelnego gazety męża? - Spotkałam go tylko raz. Zmarł nagle tuż po naszych zaręczynach.

- Nie wierzymy w naturalne przyczyny tej śmierci, choć zostały potwierdzone protokołem zgonu. Ustaliliśmy, że nie zgadzał się z polityką wydawniczą pani męża. Ekshumowano ciało, żeby dokonać sekcji na polecenie sądu. - Pepperdyne spojrzał na nią ponurym wzrokiem. - Tak, proszę pani, w pełni doceniamy tę gromadkę.

- Obawiam się, że mają wtyczki w pańskim biurze. Agent Braddock ...

- Siedzi jak reszta. Wszystkim się zajęto.

- Tak? A skąd pan wie, że to się kończy na Braddocku? Ilu jest członków Brotherhood? Wie pan? - Wzburzona podniosła głos. - Zabijają mnie, jeśli będę przeciw nim zeznawać. Znajdą sposób.

- Damy pani ochronę. - Pepperdyne wskazał na Johna, a ona rzuciła mu spojrzenie jasno wyrażające niewiarę w jego możliwości.

- Nie jesteście w stanie mnie ochronić. Bez względu na środki, jakie podejmiecie. Żadne nie wystarczą.

- Pani zeznanie jest w tym procesie kluczowe, pani Burnwood.

- Kto poza tym świadczy przeciwko nim? - Roześmiała się szyderczo, wiedząc doskonale, że Pepperdyne nie wymieni innego nazwiska. - Tylko ja, tak? I naprawdę pan sądzi, że uzyska wyrok skazujący wyłącznie na podstawie mojego zeznania? Ich obrona zetrze mnie na pył. Oświadczają, że wymyśliłam przedziwną bajeczkę, żeby wyrównać rachunki z wrogaami, jakich sobie narobiłam w Prosper.

- A Matt Burnwood? Też jest wrogiem?

McGrath był zadowolony, że Pepperdyne o to pyta. Według protokołu, chciała rozwalić facetowi czaszkę kryształowym wazonem. Ciekawiło go dlaczego.

- Jest pani gotowa zeznawać przeciw niemu, pani Burnwood?

- Gotowa, tak. Problem polega na tym, że nie widziałam go na miejscu zbrodni. Ani mojego teścia. Choć tam byli. Wiem z pewnością.

- My też. - Pepperdyne otworzył inną teczkę i wskazał na dokumenty w środku. - Członkowie Brotherhood nie mogli dokonywać rytualnych mordów bez Gibba Burnwooda. Był ich założycielem i najwyższym kapłanem.

Wciągnęła szybko powietrze i powiedziała szorstko:

- Powinnam się była domyślić.

- Co pani wie o przeszłości teścia?

Przytoczyła parę faktów.

- Niewiele, prawda?

Pepperdyne zaczął mówić, zaglądając do grubej teczki zawierającej dossier Gibba Burnwooda:

- Jego ojciec służył podczas drugiej wojny światowej w marynarce. On i garstka innych zgłosili się na ochotnika do wykonania zadania specjalnego. Wszyscy zostali zabici w ciągu tygodnia, tylko on ocalał; przeżył osiem miesięcy na okupowanej przez Japończyków małej wyspie, jedząc surowe ryby, które łapał gołymi rękami. Udało mu się wyeliminować pięćdziesięciu Japończyków i nigdy nie został schwytany. Kiedy piechota morska przechwyciła wysepkę, został odesłany na okręcie do Stanów i pojechał do domu, gdzie okrzyknięto go bohaterem. Wojna skończyła się, zanim zdążył znowu wziąć w niej udział, co go tak straszliwie wpierdzieliło, że w październiku czterdziestego siódmego wyczyścił skrupulatnie strzelbę, włożył lufę do ust i nacisnął dużym palcem cyngiel. Młody Gibb, mimo popełnionego przez ojca samobójstwa, idealizował go i pragnął iść w jego ślady. Wstąpił do marynarki wojennej i służył w niej w czasie wojny z Koreą, ale skończyła się zbyt szybko, by spełnić jego oczekiwania. Na Wietnam okazał się za stary. Skoro przepadły mu wszystkie wspaniałe wojny, postanowił wszcząć prywatną, jednocześnie przyuczając do niej Matta. Podobnie jak ojciec należał do Ku-Klux-Klanu, ale wziął z nimi rozbrat we wczesnych latach sześćdziesiątych. Najwyraźniej ich metody były dla niego za subtelne. Zdecydował się utworzyć własne stowarzyszenie, zamkniętą grupę starannie dobranych ludzi, tak by zapewnić organizacji bezkarność. Zakładamy, że zaczęli działać gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Naturalnie cały czas przygotowywał Matta do kierowania grupą po jego śmierci. Deptaliśmy mu po piętach ponad trzydzieści miesięcy, mimo to nie zdobyliśmy żadnych konkretnych dowodów. Same poszlaki. Jest pani naszym największym atutem, pani Burnwood. Bez pani nie dostaniemy tego faceta. A jeśli on utonie, pociągnie za sobą resztę.

Kendall w milczeniu słuchała długiego wyводу Pepperdyne'a. Kiedy agent odłożył teczkę Gibba, powiedziała:

- Nie jest pan w stanie udowodnić, że brali udział w egzekucji Michaela Li. Mieli rok na zatarcie wszelkich śladów. Dobry obrońca, a wynajmą najlepszego, udowodni, że zeznaje tylko po to, by się zemścić na Matcie za romans z moją klientką.

- Miał romans z pani klientką?

- Tak.

Pepperdyne skrzywił się, podrapał po głowie i zasięgnął wzrokiem rady Johna.

- Pani Burnwood ma rację, Jim - odezwał się McGrath. - Jeśli to wyjdzie na jaw w sądzie, zrobią z niej kobietę, którą mąż wzgardził, co podważy jej wiarygodność.

- Jezu!

- To i tak nie ma znaczenia, panie Pepperdyne! - Nagle wybuchnęła złością. - Cała ta dyskusja jest bez sensu. Będę martwa, zanim dojdzie do procesu. Brotherhood nie mogłoby przetrwać trzydziści lat, gdyby nie bezgraniczna lojalność jego członków i ich rodzin. Myśli pan, że pozwolą mi żyć? Widziałam, jak wykastrowali i ukrzyżowali wspaniałego młodego człowieka, bo był Azjata i ośmielił się kochać córkę białego. Moja wina jest tysiąc razy większa w ich oczach. Zabijają mnie za to, że ich zdradziłam, nawet jeśli nie będę zeznawać. Zamordują bez litości, przekonani, że mają do tego prawo, bo co w tym wszystkim najbardziej przerażające, to ich wiara w słuszność sprawy, pewność błogosławieństwa bożego dla ich poczynań. Uważają się za bożych pomazańców. To, co robią, robią w imię Boże. Śpiewali hymn, gdy Michael Li wykrwawiał się na śmierć. Jestem heretyczką. Zabić mnie to święta misja ... Ale założmy, że dożyję momentu, w którym przyjdzie mi składać zeznania, i że zostaną uniewinnieni. Założmy, że dowody, które pan przedstawi, poparte nieprzekonującym świadectwem wzgardzonej żony, okażą się niewystarczające i członkowie Brotherhood odejdą wolno. Nawet jeśli Matt mnie nie zabije, oskarży o porzucenie i wystąpi o opiekę nad Kevinem. Zostanie mu przyznana.

Pepperdyne chrząknął zażenowany.

- Być może powinna się pani dowiedzieć, że Matt Burnnwood uzyskał rozwód. Na podstawie oskarżenia o użycie przemocy fizycznej.

- Bo uderzyłam go w obronie własnej?

- Założył sprawę - wruszył ramionami Pepperdyne. - Nie stawiła się pani w wyznaczonym czasie, więc sąd wydał wyrok zaocznie.

- Sędzia Fargo?

- Właśnie.

McGrath obserwował, jak Kendall ze zmarszczonymi brwiami przetrawia fakt, że jest wreszcie wolna, ale nie był w stanie odgadnąć, czy ten fakt ją w jakiś sposób poruszył. Jej pytanie wyjaśniło, co ją niepokoi.

- Czy mój eks-mąż wie o Kevinie?

- Nie od nas - odpowiedział Pepperdyne. - Nie wiemy o dziecku, dopóki pani nie odnaleźliśmy. Oczywiście nie można wykluczyć, że dowiedział się z innego źródła.

Opadła na krzesło, objęła dłońmi łokcie i zaczęła się kołysać.

- Nie cofnie się przed niczym, żeby mnie zabić i oddać Kevina członkom Brotherhood, których jeszcze nie wykryliście. Nie - oświadczyła dobitnie. - Nie wrócę. Nie mogę.

- Wie pani równie dobrze jak ja, że nie ma pani wyboru, pan Burnnwood - powiedział Pepperdyne. - Uciekła pani poza granice stanu, w którym popełniono liczne przestępstwa przeciwko prawu państwowemu i federalnemu. Uchylanie się od złożenia zeznań jest również traktowane jako przestępstwo. Za pół godziny ma pani umówione spotkanie u sędziego pookaju. Wyda nakaz zatrzymania na tej podstawie, że jest pani głównym świadkiem, i poleci odstawić panią pod eskortą do okręgu, w którym będzie prowadzone postępowanie sądowe. Może pani oczywiście zaangażować adwokata, jeśli takie jest pani życzenie.

- Jestem doskonale obznajomiona z prawem, panie Peppperdyne - powiedziała chłodno. - Zamierzam bronić się sama.

- Jesteśmy gotowi zaniechać postępowania przeciwko pani, jeśli pomoże pani udowodnić im winę. - Przerwał, dając jej czas na odpowiedź, ale milczała. - Jechała tu pani przekonana, że została aresztowana za popełnienie morderstwa. Wyobrażam sobie, jak pani ulżyło.

- Nie rozumie pan - stwierdziła smutno, potrząsając głową. - Dopilnują, żeby mnie zabito.

- Wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj - oświadczył Pepperdyne. John McGrath wiedział, że przyjaciel nie zlekceważył obaw

Kendall Burnwood. Ale był człowiekiem FBI, podporządkowanym polityce, jaką prowadziło biuro. Polecono mu wykonać zadanie i zamierzał je wypełnić.

- Mamy samolot o trzeciej. Zostanie pani przewieziona do Columbii i umieszczona w bezpiecznym miejscu do czasu pierwszego procesu. Będę towarzyszył pani do Dallas, a dalej szeryf McGrath wraz z kobietą funkcjonariuszką.

John poczuł się, jakby podłoga usuwała mu się spod stóp.

Wyszedł za Pepperdyne'em na korytarz i zaatakował go:

- O czym ty właściwie mówiłeś?

- To znaczy?

- Eskortuję ją do Columbii? Ja?!

- To tylko jednorazowa fucha, John. - Niewinny wyraz twarzy Pepperdyne'a nie był przekonujący.

- Nie moja. Miał tu być Stewart, nie ja. W ostatniej chwili zawiadomił, że jest chory, więc posłali mnie zamiast niego.

- Nie miałeś fartu.

_ Jim! - McGrath złapał przyjaciela za rękaw i zmusił, by przystanął i go wysłuchał. - Nie wiedziałem, że ona ma dziecko.

- Wszystkich nas to zdumiało, John.

- Nie mogę przyjąć tego zadania. Ja ... doprowadzi mnie to do szaleństwa. Przecież wiesz.

- Boisz się?

- Jak jasna cholera.

- Niemowlęcia?

Zabrzmiało to nonsensownie nawet dla niego samego. Ale było prawdą.

- Wiesz, przez co przeszedłem po tej wpadce w Nowym Meksyku. Wciąż śnię koszmary.

Pepperdyne mógł wyśmiać jego irracjonalne lęki, ale nigdy tego nie zrobił i John doceniał to. Teraz też zaczął dyskutować z przyjacielem.

- John, słyszałem cię prowadzącego układy z naj gorszymi sukinsynami, jakich Bóg stworzył. Przekonałeś terrorystów, by rzucili broń, mimo ich głębokiej wiary, że poddając się zamykają sobie drogę do rajów. Masz ogromną siłę perswazji.

- Kiedyś miałem. Już nie.

- Miałeś jeden zły dzień i źle ci poszło.

- Jeden zły dzień? Tłumaczysz to, co się stało, jednym złym dniem?

- Nie bagatelizuję tego, John. Ale nikt nie obarcza cię odpowiedzialnością. Zapewniam: nikt. Nie mogłeś wiedzieć, że ten maniak spełni swoje groźby.

- Ja powinienem to wiedzieć, nie uważasz? Po to mnie szkolono. Dlatego wypisuję sobie doktor filozofii przed nazwiskiem. Oczekuje się po mnie wycucia, do jakiego momentu można naciskać, a kiedy należy się wycofać.

- Jesteś najlepszy w tej robocie, John. I wciąż nam potrzebny. Mam nadzieję, że wcześniej czy później wybaczysz sobie Nowy Meksyk i wrócisz. - Pepperdyne położył rękę na ramieniu przyjaciela. - Masz nerwy ze stali. A teraz zupełnie poważnie, ile szkody może narobić bezzębne maleństwo?

Rozdział dwudziesty ósmy

Kiedy wchodzili w Denver na pokład samolotu, John, ogarnięty przemożnym przecuciem, że podróż skończy się klęską, przewidywał najgorsze.

Parę tygodni później, dopiero co odzyskawszy pamięć, Jeżał ze złamaną nogą i świeżą blizną na czaszce w łóżku, które dzielił z powierzoną mu więźniarką, i zastanawiał się, czy mógł coś zrobić, choć cokolwiek, by zmienić bieg wydarzeń.

Nie mógł odmówić wejścia na pokład samolotu. Pepperdyne uznałby go za kompletnego czubka, gdyby wziął przyjaciela na stronę i oświadczył, że ta podróż to zły pomysł, bo jego szósty zmysł wyraźnie ostrzega, żeby raz jeszcze przeanalizować sytuację i przygotować inny plan.

Pepperdyne miał zostać w Dallas, a John z Ruthie Fordham, uprzejmą Hiszpanką o łagodnym głosie, polecieć z panią Burnnwood i jej dzieckiem do Raleigh-Durham i stamtąd złapać samolot do Columbii.

Los pokrzyżował jednak ten plan podróży.

Wkrótce po starcie Kendall zaczęły dokuczać uszy. Szeryf Fordham zwróciła uwagę stewardesy na trapiącą jej podopieczną dolegliwość, a ta zapewniła, że gdy tylko nabiorą wysokości, ból przejdzie. Nie przeszedł. Kendall cierpiała straszliwe męki przez godzinę i czterdzieści minut, czyli przez cały lot. Wyczuwając zdenerwowanie matki, dziecko zaczęło się niepokoić i wreszcie rozpłakało się. Siedzący naprzeciwko John złapał poręcz fotela, modląc się w duchu, by niemowlę przestało wrzeszczeć. Ale im intensywniej tego pragnął, tym głośniej maleństwo zawodziło.

- Zamów sobie coś do picia - zaproponował Pepperdyne, zauważywszy krople potu na czole McGratha.
- Jestem na służbie.

- Pieprz zasady. Pozieleniałeś.

- Nic mi nie jest. - Było, ale utkwivszy wzrok w złączeniu na suficie, spróbował nie dopuszczać do świadomości płaczu dziecka.

Wydawało mu się, że samolot kołuje dłużej, niż leciał. Kiedy wreszcie stanął, John zaczął przepychać się wśród pasażerów, byle jak najprędzej dotrzeć do wyjścia. Ledwie weszli do terminalu, szeryf Fordham popędziła z Kendall do toalety. Pepperdyne trzymał dziecko i wyglądał dość zabawnie w roli niańki. Kiedyś John pożartowałby sobie z kawalerskiego braku wprawy przyjaciela, dziś jednak nie zdobył się nawet na uśmiech.

- Ten jej mąż, jaki on jest? - W ogóle go to nie obchodziło, chciał skupić uwagę na rozmowie, a nie dziecku w ramionach Jima.

- Nie miałem jeszcze przyjemności go zobaczyć. - Maleństwo przestało popłakiwać; Pepperdyne ostrożnie je kołysał. - Z tego, co wiem, zwolennik supremacji białych, noszący trzyczęściowe klasyczne garnitury. Przystojny, kulturalnie się wysławiający, wykształcony, dbały o maniery. Broń nie ma dla niego tajemnic, to adept szkoły przeżycia. Fanatyk do potęgi, wierzący, że ojciec ma Pana Boga w kieszeni. Gdy Gibb Burnwood mówi "skacz", pyta tylko, jak wysoko. - Przerwał na moment, zanim powiedział: - Wejdiesz im w drogę, jesteś zimny trup.

John rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Ona ma rację, John. - Pepperdyne wiedział, o czym myśli przyjaciel. - Jest sztywna denatka, jeśli oni obaj lub ich znajomki ją dorwą.

- Więc nie tylko baby-sitter jest wam potrzebna.

- Oczywiście, że nie. Burnwoodowie mogą siedzieć za kratkami, ale i tak mają długie macki. Nie o wszystkich ... może nawet o wielu z nich nie wiemy.

- Jezu!

- Nie spuszczaaj jej z oka. Każdy jest podejrzany.

Kilka minut później dołączyły do nich obie kobiety. Kendall wzięła od Pepperdyne'a dziecko. Szeryf Fordham powiedziała coś, co zmieniło bieg rzeczy:

- Pani Burnwood nie może wsiąść do innego samolotu, dopóki lekarz nie zbada jej uszu.

- Miałam ostatnio dolegliwości spowodowane alergią - wyjaśniła Kendall. - Jakaś infekcja musiała się wdać w uszy. Ciśnienie w kabinie samolotu wywołało okropny ból.

- To twoja parafia. - Pepperdyne zrzucił kłopot na Johna. McGrath odwrócił się do Kendall i po raz pierwszy spojrzeli sobie prosto w oczy. Właściwie nie mogliby wyjaśnić, dlaczego dotąd unikał patrzenia na nią wprost. Może bał się swojej reakcji.

Lisa wyprowadziła się, kiedy nie było go w domu, zabierając wszystkie swoje rzeczy i część jego. Nie zostawiła żadnej karteczki z wiadomością, numeru telefonu, ewentualnego adresu, nic. Nie dbał o to, żałował tylko, że nie może jej powiedzieć, iż za nią w ogóle nie tęskni. Cieszył się swoją samotnością. Na jakiś czas miał dosyć kobiet.

Ale w tej sprawie coś było ...

Patrzyła mu w oczy bez mrugnięcia. Od razu nabrał podejrzeń, że jest urodzoną kłamczuchą. Jej wzrok był zbyt nieruchomy jak na kogoś, kto nie ma nic do ukrycia. Tak bezgraniczną otwartość spojrzenia osiągało się po długim trenmgu.

Podejrzewał, że rzekomy ból uszu jest pretekstem do opóźnienia podróży. Może nawet chciała podjąć próbę ucieczki, wmieszać się na lotnisku w tłum pasażerów. Niemniej, ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że cierpi naprawdę, musiał zabrać ją na badanie i zmienić rezerwację na późniejszą.

Zaraz po wyjściu z hali lotniska Pepperdyne ich opuścił.

Żegnając się, poklepał Johna po ramieniu. - Baw się dobrze, chłopie.

- Odchrzań się - burknął McGrath w odpowiedzi.

Pepperdyne uśmiechnął się niewyraźnie i poszedł do następnej taksówki, a on usadowił się w pierwszej, wciśnięty między dwie kobiety i popłakujące dziecko. Kierowca nie mówił po angielsku, więc używając kilku podstawowych słów i gestów John wytłumaczył mu, że chcą jechać do najbliższego szpitala przyjmującego nagłe wypadki.

Kiedy dojechali na miejsce, zostawił szeryf Fordham z dzieckiem w poczekalni, a sam poszedł z Kendall Burnwood na badanie. Pielęgniarka zmierzyła jej temperaturę i ciśnienie, zadała kilka pytań i wyszła.

Siedziała na szpitalnej kozetce, jej stopy zwisały luźno. Włożył ręce do kieszeni spodni i odwrócony do niej plecami studiował kolorowy plakat przedstawiający układ krążenia człowieka, przyklejony taśmą samoprzylepną do ściany.

- Obawia się pan, że ucieknę?

- Słucham? - Odwrócił się.

- Przyszedł tu pan ze mną, ponieważ obawia się, że wybieg-

nę przez otwarte drzwi? - Uśmiechnęła się lekko, nie oczekując odpowiedzi. - Sądzi pan, że porzuciłabym dziecko?

- Nie wiem. A porzuciłaby pani?

- Nie - odpowiedziała krótko ze stwardniałą nagle twarzą.

- Mam panią ochraniać, pani Burnwood. Na tym polega moja praca.

- I na oddaniu mnie do dyspozycji władz Karoliny Południowej.

- Właśnie.

- Gdzie prawdopodobnie zostanie zamordowana. Nie widzi pan w tym ironii? Ochronia pan moje życie, by mnie zawieźć w miejsce, w którym będę najmniej bezpieczna.

Owszem, dostrzegał w tym ironię losu, ale do cholery, robił tylko, co do niego należało. Nie płacili mu za zastanawianie się nad "za" i "przeciw".

- Dopóki znajduje się pani pod moją opieką, nie mogę pani spuścić z oka - oświadczył stanowczo.

Wszedł lekarz, popatrzył z ciekawością na Johna, zerknął w kwestionariusz wypełniony przez Kendall, a potem zapytał:

- Pan Burnwood?

John pokazał lekarzowi legitymację.

- Szeryf? Naprawdę? Ona jest więźniarką? Co takiego zrobiła?

- Bolały ją uszy w samolocie - powiedział John, nie ukrywając rozdrażnienia. - Zamierza pan ją zbadać czy nie?

Lekarz osłuchiwał jej piersi, obmacał szyję i rzucił uwagę, że gruczoły są lekko obrzmiałe. Kiedy obejrzał uszy, stwierdził rozległą infekcję.

- Może podróżować samolotem?

- Nie ma mowy. Chyba że chce pan ryzykować pęknięcie bębenków.

Czekał w holu, aż pielęgniarka wstrzyknie jej antybiotyki.

Pojawiła się wreszcie i kiedy szli korytarzem w kierunku poczekalni, zdumiała go pytaniem:

- Myślał pan, że kłamię?

- Przemknęło mi to przez głowę.

- Oszczędziłabym sobie kłamstwa, które tak łatwo może wyjść na jaw.

- Czyli kłamię pani tylko wtedy, gdy ma nadzieję, że się pan upiecze.

- Właśnie, panie McGrath - oświadczyła, odwracając głowę, by na niego spojrzeć.

- Nie będzie tak źle.

- Łatwo ci powiedzieć. - McGrath był w kiepskim humorze i banały wypowiedane przez Pepperdyne'a mocno go irytowały. - To nie ty masz przejechać z nimi tysiąc mil.

Upewniwszy się, że obie kobiety i dziecko są bezpieczne w motelowym pokoju, poszedł zdać relację Jimowi, który nadzorował transfer Kendall do Columbii.

- Nie ma rady, John - tłumaczył Pepperdyne cierpliwie. - Według lekarza nie będzie mogła wsiąść do samolotu co najmniej przez miesiąc. Tyle nie możemy czekać. Podróż zabierze ci raptem trzy dni.

- Z powodzeniem dotrę w dwa.

- Nie z pasażerami, a zwłaszcza z niemowlęciem. Prawdopodobnie uda ci się zrobić trzysta mil dziennie. Nie jedziesz na piknik, ale też nie będzie to trwać wiecznie. - Ignorując zboląłą minę przyjaciela, wręczył mu mapę i plan podróży. €Wyruszyście rankiem. Pierwszy nocleg w Monroe w Luizjanie, drugi w Birmingham. Trzeciego dnia jesteście w Columbii.

Ciekawe tylko, czy do tego momentu dożyję, pomyślał John - Przynajmniej mam Ruthie Fordham - stwierdził, stając się dostrzec w tym wszystkim jakieś dobre strony. O ile w ogóle takie były. - Nieźle sobie z nimi obojgiem radzi.

- Będzie spała z panią Burnwood i dzieckiem. A ty zawsze w przylegającym pokoju, połączonym z ich sypialnią.

- Już nienawidzę każdej mili. - John spojrzał na plan podróży. - Myślisz, że można jej ufać? Nie robi czegoś głupiego?

- To znaczy nie ucieknie?

- Jest przerażona, Jim.

- Nic na to nie poradzisz. - Pepperdyne uśmiechnął się. - Więc jednak ją obserwowałeś, choćby wbrew sobie.

- Nie musiałem. Nawet ślepy kretyn by zauważył jej strach.

- Nie ruszy się bez dziecka. Raczej trudno by jej było walczyć z tobą i panią Fordham, żeby zwać z małym.

- Pewnie masz rację. Ale ta dziewczyna ma kupę odwagi i energii. I jeszcze coś powinieneś wiedzieć: to kłamczucha. - Kłamczucha? - powtórzył Pepperdyne ze śmiechem. O co ci chodzi?

- O to mi chodzi - przedrzeźnił go John - że wymyśla sobie różne bajeczki.

- Chyba nie wierzysz, że wymyśliła sobie ...

- Nie. Akurat o Brotherhood mówi prawdę. Wszystkie dowody, które dotąd zebrałeś, to potwierdzają. Ale na pewno trzyma coś w zanadrzu. Nie powiedziała nam wszystkiego. Jest w niej coś pokrętnego.

- Jak to u prawniczki.

Obsługujący w drugim końcu pokoju drukarkę agent prychnął, usłyszawszy bezceremonialną uwagę Pepperdyne'a. - Co, znalazł pan coś? - spytał Pepperdyne.

- Kompletnie nic.

- Sprawdzamy ją rutynowo - zwrócił się Pepperdyne do Johna - i wygląda na to, że pięła się coraz wyżej. Jeśli wziąć pod uwagę stosunek wygranych

spraw do przegranych, trzeba stwierdzić, że była całkiem skutecznym obrońcą z urzędu i nieeźle dawała popalić kolegom prawnikom w Prosper. Muszę przyznać, biorąc pod uwagę to, co wiem o ludziach zajmujących tam najwyższe stanowiska, że jest naprawdę ostra, skoro zdołała tak długo się utrzymać.

- Więc o co wam chodzi? - spytał John, wskazując ruuchem głowy komputer; wiedział, że FBI ma dostęp do zbioorów z informacjami nie tylko w kraju, ale i w świecie.

- Chyba jakiś wirus. Dane, które uzyskujemy, nie składają się w sensowną całość. Próbujemy to wyprostować.

- Daj mi znać, jeśli się czegoś dowiecie.

- Ha! - Pepperdyne uśmiechnął się. - Doktor McGrath się zainteresował?

- Nie masz powodu być złośliwy, Jim - powiedział McGrath zbierając się do wyjścia. - Natura ciągnie wilka do lasu, to wszystko.

- Możesz wrócić do roboty, kiedy tylko chcesz. Będę szczęśliwy, mogąc z tobą znowu pracować.

John wiedział, że przyjaciel mówi poważnie, i doceniał pookładane w nim zaufanie, niemniej musiał powiedzieć "nie".

- Zbyt duże napięcie. To, czym się teraz zajmuję, jest dużo mniej stresujące. - Spojrzał na mapę z zaznaczoną trasą podróży z Teksasu do Karoliny Południowej i dodał ponuuro: - W każdym razie do tej pory było.

Wspominając przeszłość, nieuchronnie musiał pomyśleć takkże o dniu wypadku. Wyjeżdżał z Birmingham w złym humorze, marząc, by wreszcie pozbyć się Kendall Burnwood i jej dziecka. Przewidywał, że dotrą do głównego miasta Karoliny Południowej przed zmierzchem. Ledwie zjedli śniadanie w kafeterii motelu, nie zważając na lekki deszcz, kazał im obu wsiąść do samochodu.

W miarę jak posuwali się na wschód, deszcz gęstniał. Do południa miał całkiem stargane nerwy. Cały czas mocno zacisnął dłonie na kierownicy i czuł już bolesne napięcie mięśni barków. Zaklął w duchu pod adresem kierowcy ciężarówki z przyczepą, która przejechała obok nich z prędkością, jak ocenił, ryzykowną nawet na międzystanowej autostradzie.

W pewnym momencie zauważył spowolnienie ruchu na wszystkich nitkach autostrady. W końcu zaczęli się ledwie toczyć. Wzmocnił natężenie głosu policyjnego radia, w które samochód był wyposażony, i słuchał ze wzrastającą niecierppliwością uwag, jakie wymieniano na temat wypadku i powstałego korka.

W wypadku zostało uszkodzonych wiele samochodów; był on konsekwencją utrzymującej się w całym południowo-wschodnim regionie kraju deszczowej pogody, powodującej lokalne powodzie i ryzykowne dla kierowców sytuacje.

Według wstępnej oceny McGratha do kolizji doszło wiele mil przed nimi. Ograniczono ruch tak, by na miejsce mogły dotrzeć karetki pogotowia, i John, niezależnie od współczucia, jakie żywił dla poszkodowanych, złościł się z powodu zwłoki.

Ruthie Fordham siedziała obok niego. Wręczył jej mapę i poprosił, by popatrzyła, czy nie ma innej drogi. Była, ale musieliby sporo nadłożyć. Zdecydował, że woli zrobić parę mil więcej, niż się wlec. Zjechali z autostrady na najbliższym rozjeździe.

W ten oto sposób znaleźli się na wiejskiej drodze, a los zesłał im zwalone drzewo. Jego decyzja, by zjechać z ustalonej trasy, kosztowała Ruthie Fordham życie. Nie mógł zawiadomić biura w Columbii o zmianie marszruty przez telefon komórkowy, ponieważ nie było sieci w tym rejonie. Policyjne radio aż trzeszczało od rozmów dotyczących wypadku i pomyślał, że nie będzie im dodawał kłopotów. Zamierzał zatrzymać się przy najbliższej budce telefonicznej, ale okazało się, że nie ma takich urządzeń przy publicznych wiejskich drogach. W konsekwencji nikt nie wiedział, gdzie się podzieli.

Jak długo czekali w Columbii z nadaniem komunikatów?

Do tej pory szukający ich ludzie Jima musieli już dotrzeć do szpitala w Stephenville. Ruthie Fordham nie żyła. Zastanawiał się, czy miała rodzinę. Jego partnerka zginęła niepotrzebnie. Dlatego że on popełnił błąd. Jeszcze jeden w karierze Johna McGratha.

Oczywiście Jim dowie się od lekarza o jego urazach. Ale to wszystko, o czym będzie wiedział.

Cholera, cwana była ta Kendall Burnwood! Analizując w tej chwili sytuację, musiał przyznać, że nie zostawiła za sobą najmniejszego śladu. Żadnej wskazówki, którą mogliby się posłużyć. Dla tych, którzy głowią się nad ich zniknięciem, wygląda to tak, jakby rozplynęli się w powietrzu.

Nagle zdał sobie sprawę, że przestała śpiewać kołysankę.

Słyszał szum wody w rurach biegnących we wnętrzu ścian ćodkręciła prysznic. Zyskał parę minut na zastanowienie, nim odkryje, że się przebudził.

Miała przebłysk geniuszu, kiedy oznajmiła, że jest jej mężem.

To ją upoważniało do decydowania w jego imieniu, dopóki on sam nie był do tego zdolny. Niemniej jedno kłamstwo pociągało za sobą nieuchronnie następne. Ale wymyślała je naprawdę zręcznie.

Zawsze odpowiadała na jego pytania relacjonując prawdziwe wydarzenia. Dzień ich ślubu, noc poślubna, zdrada małżeńska - wszystko rzeczywiste. Tylko że dotyczyło to jej pożycia z Mattem Burnwoodem. Zamiast wymyślać zdarzenia, trzymała się prawdy, niełatwo więc było ją przyłapać. Sprytne. Przy tym użyła jego własnego imienia na wypadek, gdyby przyszło jej się przejęzyczyć. Dobra była w kłamaniu.

Tak dobra, że John zaczął wątpić w szczerłość jej reakcji ostatniej nocy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ostatniej nocy znowu obudziły go majaki. Nie tak dokuczliwe jak poprzednio, ale wystarczająco denerwujące, by gwałtownie wyrwać go ze snu. Niespokojny, czując, że mu zbyt gorąco, wyplatał się spod wilgotnego, przyklepionego do skóry prześcieradła i usiadł.

Łóżko po stronie Kendall było puste, ale to go nie zaniepokoiło. Często wstawiała w nocy zajrzeć do dziecka. Instynktownie wrażliwa na potrzeby maleństwa, czasem odgadywała je nawet, zanim Kevin zareagował, co niezmiennie sprawiało Johna w zdumienie.

Opierając się na kulach, pokuśtykał przez hol do drugiej sypialni. Prowizoryczna kołyska była pusta. Pokój również. Ogarnęło go niemęskie przerażenie i dręczący żal. Wyśliznęła się? Była przez cały dzień dziwnie spokojna i uległa. Czy dlatego, że planowała kolejną ucieczkę?

Odwrócił się i podjął coś, co mogłoby uchodzić za bieg

o kulach. Dopadł do drzwi pokoju dziennego i zatrzymał się w miejscu tak gwałtownie, że omal nie przewrócił się jak długi.

Ciemności pokoju rozświetlały tylko promienie księżyca, przeświecające przez przejrzyste zasłony; falowały w otwartym oknie, wydymając się czasem do środka jak żagle na wietrze. Prawdopodobnie przyszła tu, zwabiona chłodnym powiewem.

Siedziała w fotelu bujanym, trzymając Kevina w ramionach.

Opuściła ramiączko koszuli nocnej, żeby go nakarmić. Maleńkie usteczka przyłgnęły do brodawki. Co parę sekund dziecko ssało pierś, wydymając pulchne policzki jak małe miechy koowalskie, a potem zapadało w bezruch.

Oboje spali.

Wspominając to teraz, John przyznawał przed samym sobą, że pożerał ją wzrokiem wprost nieprzyzwoicie, prostacko naaruszając jej prywatność, ale za żadne skarby nie mógł się zmusić do wycofania. Stał, sparaliżowany pożądaniem.

Nawet jej szpetna fryzura nie umniejszyła piękna tego obbrazka. Głowę miała opartą o fotel, światło księżyca oblewało wygiętą szyję i płytkie wgłębienia u jej podstawy. Rowek między piersiami niknął w cieniu. Kusząca dolina, którą chciałyby poznać. Wyobraził sobie, jak chowa twarz w piersiach Kendall, i zalało go tak przemożne pożądanie, aż mimowolnie jęknął.

Natychmiast się zmitygował, przestraszony, że ją obudził.

Jestem za stary, żeby się zakradać cichaczem popatrzeć na kobiece piersi, pomyślał. Idiotyczne, podniecać się sekretnie, tkwiąc w drugim końcu pokoju; niedojrzałe i jednostronne jak masturbacja.

Czuł niesmak do samego siebie, chciał odejść i nie był w stanie. Utkwił wzrok w jej ustach o pełnych wargach, których widok zawsze go rozpraszał, i gorąco zapragnął ich spróbować. Dotknąć bujnych piersi, zbadać nieznaną ład łona, poczuć na języku jej smak ...

Nagle przeraźliwy gwizd rozdarł ciszę. Natychmiast się przebudziła.

O mało nie wyskoczył ze skóry; jedna kula z trzaskiem uderzyła o podłogę.

Przez kilka sekund zastygli jak na tableau. Był podniecony, zażenowany i wściekły, że go przyłapała.

- Co to jest, do cholery?

- Czajnik - odpowiedziała bez tchu. Pośpiesznie poprawiła ramiączko. Dziecko skrzywiło się i wydało pomruk nieezadowolenia, kiedy wyjęła mu brodawkę z ust i uniosła je, opierając na ramieniu. - Nastawiłam go, zanim zaczęłam karmić Kevina. Dlaczego wstałeś?

- Cholernie gorąco, nie można spać.

- Zauważyłam wieczorem, że byłeś niespokojny. Chcesz herbaty? - Czajnik wciąż gwizdał furiacko. - Ziołowej. Bez kofeiny.

- Nie, dziękuję.

- Więc potrzymaj Kevina, dopóki nie zaparzę filiżanki dla siebie. - Podeszła do niego i oddała mu dziecko. Przemknęła przez hol i zniknęła w kuchni.

Przez jakiś czas stał nieruchomo. Zmuszał się, by nie myśleć, nie rejestrować żadnych doznań. Ale napływały i w końcu dopuścił je do świadomości, pozwolił, by pokonały barierę awersji i strachu.

Kevin był pulchnym dzieckiem, więc zaskoczyło go, że jest tak niewiarygodnie lekki. Równie mocno zdumiała go delikatność skóry. A może tylko taka mu się wydawała przez kontrast z jego owłosioną piersią. Wreszcie zdobył się na odwagę, by opuścić wzrok na dziecko. Zaniepokojony zobaczył utkwione w sobie oczy niemowlęcia. Wstrzymał oddech. To pewne, że zacznie wrzeszczeć, nie rozpoznawszy, kto je trzyma.

Tymczasem różowe usteczka rozwarły się w szerokim ziewnięciu, odsłaniając maleńki język i bezzębne dziąsła. Rozległy się trzy ciche baki, słabo wyczuwalne przez pieluszkę.

John ku swemu zdziwieniu zachichotał.

- Miałam przeczucie, że wy dwaj natychmiast dojdziecie do porozumienia, jeśli ci go kiedykolwiek zostawię.

Nawet nie zauważył, że wróciła, dopóki się nie odezwała.

Przeniósł na nią spojrzenie; obserwowała go znad parującej filiżanki, z której rozchodził się zapach pomarańczy.

- Jest w porządku.

- Nie udawaj. Jest cudowny. I lubi cię.

- Skąd wiesz?

- Puszczą banieczki ze śliny. Zawsze tak robi, kiedy czuje się szczęśliwy.

Rzeczywiście malec rozpryskiwał drobinki śliny po podbródku Johna i wesoło wymachiwał rączkami. Wyglądał na zadowolonego, jednak McGrath nie miał co do tego pewności.

- Lepiej go weź ode mnie.

Sprawiała wrażenie rozbawionej, ale nic nie powiedziała. Postawiła filiżankę na brzegu stołu, zabrała dziecko i zniosła do sypialni.

- Od razu znowu zasnął - stwierdziła po powrocie. - Dlaczego dorośli nie mają tego szczęścia?

- Za dużo rzeczy nam chodzi po głowie.

- A tobie co chodzi po głowie?

Wsluchiwał się w ton jej głosu, ale nie było w nim szyderstwa. Zadała pytanie najzupełniej poważnie, więc odpowiedział tak samo poważnie:

Coś mi chodzi. A raczej: utkwiło w mózgowicy.

Nie musiał wyjaśniać; jej oczy się zamgłyły, w głosie pojawiły się gardłowe nuty.

- Mnie to też często krąży po głowie.

Obawiał się, że go znów odepchnie, ale po tym, co usłyszał, musiał ją do siebie przyciągnąć. Oparła się delikatnie o jego pierś; jej palce zwiły pierścionki z porastających ją włosów. Uniosła do góry twarz. Puścił kulę, a gdy upadła, zanurzył palce w obciętych włosach, podtrzymując jej głowę.

Spragnione wargi Kendall rozchyliły się ulegle. Wnętrze ust miała jeszcze gorące od herbaty. Pieścił je zaborczo językiem, a kiedy wreszcie przestał, oparła policzek o jego pierś i powieedziała:

- Zwolnij, John, nie mogę złapać tchu.

- To dobrze - mruknął ochryple. - Oddychanie jest opcjonalne.

Roześmiała się cicho i przesunęła rękami po jego barkach. - Nie mogę uwierzyć! Dotykam cię. Tyle razy tak straszliwie tego pragnęłam.

- Więc dotykaj do syta.

Miał nadzieję na jeden długi, nie kończący się pocałunek.

Raz jej posmakować, żeby jakoś przeżyć tę noc. To, co mówiła, jak zareagowała, przekroczyło jego oczekiwania. Rzeczywistość rozпалиła go bardziej niż wszelkie fantazje, jakie snuł.

Kiedy się całowali, otoczyła ramionami jego szyję. Przesunął dłońmi po jej dołkach pachowych, wzdłuż żeber i po bokach piersi, czując ich podniecającą jędrność. Pochylił głowę i potarł kłującym policzkiem błądy wzgórek. Zaczął całować jej piersi przez cienki materiał nocnej koszuli, niecierpliwie je oswooodził, pieścił wargami, wnętrzem ust, językiem. Smakowały mlekiem i kobiecością, odurzyły go. Wziął brodawkę do ust i zaczął ją ssać.

- Boże! - jęknęła.

Jej przerywany głos, westchnienie; nie przypominał sobie, żeby słyszał bardziej pobudzające dźwięki. Pocałował ją w szyję. Skubał delikatnie zębami kark tuż przy postrzępionej linii obciętych włosów.

Powoli odwracała się do ściany, aż stanęła do niej twarzą i przycisnęła czoło do tapety w różyczki. Uniosła ręce ponad głowę i oparła przedramiona o ścianę.

Schwycił materiał koszuli i zbierając go w garści, podciągnął do góry. Wsunął dłoń za gumkę majteczek i zaczął ugniatać pośladki. Sięgnął jedną ręką do piersi, drugą przesunął po brzuchu, potem po wzniesieniu łonowym między uda. Była wilgotna. Pożądanie go oszołomiło. Pieścił ją dwoma palcami, a po chwili wsunął je w jej wnętrze. Doznał zadziwiającego wrażenia pełnej intymności, jakby otuliła go sobą, i wiedział, że nie zapomni tego do końca życia.

Przytulił się mocniej i przycisnął wyprężonego penisa do rowka między jej pośladkami. Muskał jedną ręką stwardniałą brodawkę piersi, delikatnie poruszając palcami drugiej w jej wnętrzu. Zaczęła napierać biodrami, dopóki jego dłoń nie znieruchomiała. Ręce na tapecie w różyczki zacisnęły się w pięści, biodra poruszały się rytmicznie. W milczeniu przeżyła gwałtowny orgazm. Kiedy przestała drżeć, wycofał dłoń, odwrócił ją do siebie i otoczył ramionami. Oparła się o niego, wyciszona, osłabła, jeszcze niespokojnie oddychając i pojękując na jego owłosionej piersi.

Uniósł palcami jej podbródek.

— Chciałbym cię zaprowadzić do łóżka, jeśli mogę. Zrozumiała. Podniosła kule, podała mu je i poprowadziła hołem do sypialni. Zsunął slipy i wszedł do łóżka.

Nieoczekiwanie się zawahała, nie pewna, czy zostać. Wygłądała przedziwnie dziewiczo, jakby przed chwilą nie dzielili niewiarygodnego seksualnego doznania.

Teraz rozumiał jej wahanie. Spędzili ze sobą niemal każdą chwilę ostatnich kilku tygodni, ale w gruncie rzeczy pozostali sobie obcy. Nie był jej mężem. Był kochankiem, którego właśnie poznawała.

Gdzieś w głębi duszy miał tego całkowitą świadomość już wtedy. Ale zignorował niewygodny wewnętrzny głos. Zamknął ucho na budząca poczucie wstydu świadomość. Zlekceważył intuicję, podpowiadającą, że to, co robi, jest złe. Wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie.

- Połóż się.

- Możesz ... z tym gipsem ... ?

- Żaden problem.

Ułożył ją na plecach. Zdjął nocną koszulę i cisnął na podłogę. Pieścił piersi i brzuch, wciąż pulsujący echami orgazmu. Uważnie śledząc twarz Kendall, poprowadził jej rękę ku swojemu kroczu. Na ułamek sekundy zawahała się, a potem przesunęła dłoń. I znowu.

Rozdzielił jej uda i pochylił się nad nią. Bładoróżowa blizna po cesarskim cięciu biegła na granicy włosów. Zmarszczył brwi i obwiodł ją palcami, jak pierwszej nocy, którą spędzili w tym domu.

- Jesteś pewna, że nic się nie stanie, jeśli ...

- Nic. - Uśmiechnęła się.

Z powodu gipsu musiał opierać się wyłącznie na łokciach. Nie odrywając od niej oczu, wszedł w nią zamierzenie powoli. Wniknął tak głęboko, jak to było możliwe. Objawszy jej głowę dłońmi, całował ją w usta. Kiedy wreszcie się od niej oderwał, wyszeptał:

- Kłamałaś, Kendall.

Posłała mu szybkie, przestraszone spojrzenie. Zaczął się poruszać; uderzał i wycofywał się w rytm ruchów jej bioder.

- Nigdy z tobą przedtem nie byłem - mówił szybko, próbując jeszcze się powstrzymać. - Tego bym nie zaapomniał.

- Tylko nie przestawaj. - Objęła go mocniej, falując pod nim.

- Pamiętałbym cię. To też bym pamiętał. Kim, na litość boską, jesteś? - wydyszał przez zaciśnięte zęby.

- Proszę, nie przerywaj. - Wygięła plecy w łuk.

Nie mógłby. Wspięli się razem na szczyt, przeżyli burzliwy orgazm, ich ciała były tak zgodne ... Nigdy czegoś takiego nie zaznał.

Kiedy się z niej zsunął, zmieniła pozycję i przywarła do jego piersi.

- Obejmij mnie - szepnęła. - Mocno.

Posłuchał z przyjemnością; przez tyle tygodni snuł fantazje, że jej dotyka, a nie tylko patrzy.

Nasycona, wymamrotała sennym głosem: - Dlaczego nie czułam się onieśmielona?

- A dlaczego miałabyś być? Jestem twoim mężem.

Nie odpowiedziała, bo zasnęła. Zastanawiał się teraz, czy po prostu nieświadomie głośno nie myślała. Dała upust swej zmysłowości z mężczyzną, z którym nigdy przedtem nie była, i chciała zrozumieć dlaczego.

On sam też chciałby to wiedzieć.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na zbyt osobiste rozważania.

Musiał przyjąć do wiadomości przynębiający fakt, że uprawiał seks z powierzonym jego pieczy głównym świadkiem. Amnezja niczego nie usprawiedliwiała. Wiedział. Cholernie dobrze wiedział, że cały czas kłamała.

Mimo to spał z nią. I było tak wspaniale, tak go to naładoowało, że jego pamięć zaskoczyła. Przypomniał sobie, że jest funkcjonariuszem federalnym. Że nie oczekuje się po nim zawierania intymnej znajomości z kobietami pozostającymi pod jego nadzorem. Każdy, kto pracował dla Wujka Sama, zachnąłby się na to.

Co ma teraz, do diabła, robić?

Żadne szkolenie - ani psychologiczne, ani na agenta FBI, ani szeryfa Stanów Zjednoczonych - nie przygotowało go na taką sytuację. Nie miał dokumentów, jakiegokolwiek światka potwierdzającego jego tożsamość. I gdzie miałby ewentualnie szukać kogoś, kto by ją potwierdził? Przecież nawet dobrze nie wiedział, gdzie się znalazł.

Na domiar wszystkiego miał złamaną nogę. Dokąd mógł zawędrować o parze kul? Kendall na pewno nie pozwoli, by położył łapę na kluczykach od samochodu. A nawet jeśli uda mu się je wykraść i wziąć auto, nie ma wątpliwości, że zanim wróci, jej już tu nie będzie. Ma wiele powodów, by spróbować wyśliznąć się jeszcze raz, a jest niewiarygodnie pomysłowa. Znajdzie sposób, żeby się rozplątać razem z Kevinem.

Gdzie, do licha, mogła wetknąć jego rewolwer? Oświadczyła, że tym razem go nie znajdzie, i jak dotąd miała rację. Szukał go wszędzie, gdy tylko nie było jej w pobliżu.

Strasznie była z siebie dumna, że wszystko planuje naprzód i niczego nie zostawia przypadkowi. Jak na razie szło jej łatwo z powodu jego stanu. Dobra, szeryfie Johnie McGrath, powieedział sobie, leżało się jak dętka, beznadziejnie wypranym z paamięci przez parę tygodni, ale teraz jest się z powrotem na służbie.

Wstał z łóżka i pokuśtykał do komody po czyste spodenki.

Slipy leżały zwinięte schludnie w szufladzie, skarpetki osobno. Typowo po żoninemu, pomyślał szyderczo i ze złością wsunął z powrotem szufladę. Nieoczekiwany hałas rozniósł się po domu jak wystrzał z armaty. Skrzywił się i zamarł, nasłuchując. Z ulgą usłyszał, że woda wciąż leci z prysznicza. Zostało mu jeszcze raz dane parę minut na szukanie broni.

Za sprytna była, żeby się go pozbyć. Nawet jeśli nie zamieerzała użyć rewolweru przeciwko niemu - a wciąż istniała taka możliwość, rozmyślał ponuro - zachowała go dla obrony.

Gdzieś w pobliżu mogli się czaić członkowie straży obywatelskiej. Nie zrezygnowałyby z rewolweru.

Przeszukał szuflady, starając się zostawić majtki i staniki poukładane w takim samym porządku. Nic nie znalazł, wrócił więc do łóżka i wsunął ręce pod materace, chociaż nie spodzieewał się, by powieliła jego pierwszy, tak bardzo nieoryginalny pomysł. Sprawdził na najwyższej półce w szafie. Pełzał po podłodze, badając, czy nie ma gdzieś obluzowanej deski. Szufflady w stoliku nocnym były puste.

Woda wciąż leciała z prysznicza.

Zdenerwowany, przeczesał palcami włosy. Co ma robić? Musi podjąć decyzję. Szybko. Natychmiast.

Pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła Kendall Deaton Burnwood, potwierdziło się: utalentowana kłamczucha. Miała dość inteligencji i tupetu, by zrealizować najzuchwalszy plan, nawet jeśli oznaczało to skonsumowanie wymyślonemu małżeństwa z mężczyzną, który był jej strażnikiem. Poza tym bała się nie tylko o swoje życie. Posunęła się do wszystkiego, żeby ochronić dziecko. Co jej zresztą nie uprawniało do porywania oficera policji federalnej. Złamała prawo tyle razy, że trudno

zliczyć. Miał obowiązek przekazać ją odpowiednim władzom. Właśnie to zrobi. Podejmie wszelkie kroki, jakie są do tego niezbędne.

Wyszedł do holu. Drzwi łazienki były lekko uchylone. Staarając się poruszać jak najciszej, dobrnął do nich i lekko poopchnął. Otworzyły się bezszelestnie na całą szerokość.

Stała przy umywalce. Świeżo umyte, wysuszone ręcznikiem włosy opadały wilgotnymi spiralami. Miała na sobie tylko majteczki. Jedno ramię trzymała uniesione nad głową - rozpylała dezodorant w pudrze pod pachą. Nuciała łagodnym głosem coś niemelodyjnego i nierozpoznawalnego.

Nie pozwolił sobie na uśmiech. Nawet na cieplejszą myśl. Jezu, uda mu się przez to przebrnąć?

Ale właśnie to było konieczne. I cholernie trudne. Być może była to najtrudniejsza rzecz w jego karierze. Obu karierach.

Mimo wewnętrznego sprzeciwu zmusił się, by dać krok do przodu. Obawiał się, że może zobaczyć go w lustrze, ale nie zobaczyła, nawet gdy stanął tuż za nią. Powoli wysunął kulę spod ramienia i mocno ją schwycił. Drugą ręką złapał Kendall za ramię i obrócił twarzą do siebie.

Rozdział trzydziesty

_ Co to znaczy zniknęła? -: Gibb Burnwood nie przyjął dobrze tej wiadomości. Jego oczy rzucały złe błyski, głos brzmiał zjadliwie.

Nie zrobiło to wrażenia na adwokacie Burnwoodów. Siedział skrzyżowawszy bocienie nogi, długie wąskie dłonie trzymał splecione na udzie - elegancki, opanowany dżentelmen z Południa.

Wyglądał, jakby nigdy w swoim życiu nie zaznał fizycznego

wysiłku. Był ubrany w nieskazitelnie skrojony garnitur, w mankietach koszuli błyszczwały spinki z diamentową główką. Włosy miał wypomadowane, paznokcie wypolerowane. Jego zniewieściałość przyprawiała Gibba o ból żołądka. Nie tolerowałby Quincy'ego Lamara ani sekundy, gdyby nie cieszył się reputacją całkowicie skorumpowanego prawnika i najprzebieglejszego obrońcy, jakiego można było wynająć. Wielu kanciarzy z Południa zawdzięczało mu wolność.

_ Jak się wy dostała? Kiedy? - pytał Gibb.

_ Według moich informacji zniknęła ponad dwa tygodnie temu.

_ Dwa tygodnie! - zagrzemiał Gibb. - I teraz się o tym dowiadujemy?! Dlaczego nie od razu?

_ Nie ma powodu, żeby pan na mnie krzyczał, panie Burnwood. Przekazuję panu wszystkie informacje natychmiast po ich otrzymaniu.

Lamara słuchało się przyjemnie, tak jak popijało whiskey. I podobnie jak trunek miodopłynny głos adwokata wydawał się nieszkodliwy. Potrafił nim ukołysać sędziów i świadków, zanim dał im tęgiego łupnia.

- Panią Burnwood aresztowano w Denver i przewożono pod eskortą do Karoliny Południowej, gdzie miała wziąć udział jako świadek w panów procesie.

- Źle, że się z nią rozwiodłem - odezwał się po raz pierwszy Matt.- Nie byłaby zmuszona zeznawać przeciwko mnie.

- Jestem pewien, że nikt jej nie zmuszał - głos Lamara zabrzmiał niezwykle łagodnie. Przerwał, żeby strzepnąć wyyimaginowany pyłek z rękawa. - Gdzieś po drodze pani Burnwood im się wymknęła i ...

- Im? Uciekła dwóm szeryfom Stanów Zjednoczonych?

- Pozwoli mi pan kontynuować - Lamar popatrzył na niego - czy będzie mi pan bez przerwy przerywać? - Przepraszam - powiedział Matt sztywno.

Prawnik nie odmówił sobie niemego komentarza. Posłał Gibbowi pełne nagany spojrzenie, mówiące, że powinien lepiej wychować syna. Gdyby nie to, że Gibb równie mocno jak Matt chciał usłyszeć, w jaki sposób Kendall zniknęła, udusiłby adwokacine gołymi rękami.

- Jednym z tych szeryfów była kobieta - wyjaśnił Lamar i opowiedział, jak musieli się zdecydować na jazdę samochodem i spędzenie kilku nocy w podróży z powodu zainfekowanych uszu Kendall. Na koniec dodał: - Myślę, że ta kobieta była niezbędna, aby zapewnić pani Burnwood bezpieczeństwo i prywatność podczas karmienia dziecka.

Gibb i Matt spojrzeli na siebie i jednocześnie zerwali się z krzeseł. Gibb odczuł przyjemność na widok przerażenia adwokata, gdy chwycił go za lawendowy krawat i zmusił, by uniósł się z krzesła.

- Co pan powiedział?

Strażnik więzienny pośpieszył na pomoc, sięgając po rewolwer w kaburze na biodrze.

- Puść go! - krzyknął.

Gibb puścił Lamara. Prawnik opadł ciężko kościstymi pośladkami na drewniane krzesło. Wyciągnął szyję, jakby się upewniał, że wciąż tkwi na niej głowa.

- Wszystko w porządku - zapewnił strażnika, przygładziwszy włosy. - Mój klient jest trochę podenerwowany. To się więcej nie powtórzy.

Funkcjonariusz odczekał, by się upewnić, że adwokat rzeczywiście panuje nad sytuacją, a potem wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Kendall ma dziecko?

- Chłopiec czy dziewczynka? Ile ma?

Ignorując ich pytania, Lamar przyglądał się Gibbowi z groźbą w nieruchomych jak u gada oczach.

- Jeśli pan jeszcze raz mnie dotknie, pójdę sobie, a pan będzie się smażył na krześle elektrycznym razem ze swoimi faszyzującymi bigotami. Rozumiemy się, panie Burnwood?

Syczące nuty w jego głosie wywołałyby u zwykłego człowieka gęsą skórę, ale Gibb nie uważał się przecież za kogoś przeciętnego. Pochylił się nad stołem tak mocno, że jego twarz niemal dotknęła wąskiego nosa Lamara.

_ Tylko mnie nie strasz, pedziu pierdzielony. Nie robi na mnie wrażenia twój modniutki garniturek, wybrylantynowane włosy ani jedwabny krawat. I nie podoba mi się to gówno. Wyciągnął goździk z butonierki adwokata i zmiażdżył go w garści. - Tak samo mogę zgnieść ciebie. Powiesz mi, co chcesz wiedzieć o dziecku, które ma przy sobie moja synowa, czy mam ci rozdrapać gardło pazurami i sprzedać na przynętę dla ryb? Rozumiemy się, panie Lamar?

Quincy Lamar, znany z rozmiękczenia nawet najbardziej wrogostawionych świadków, stracił mowę. Rzucił wzrokiem na Matta i zobaczył w utkwionym w siebie kamiennym spojrzeniu potwierdzenie gróźb ojca. Wystające jabłko Adama na szyi prawnika poruszyło się, gdy próbował przełknąć ślinę.

_ Pani Burnwood urodziła chłopca - powiedział wreszcie.

Wyciągnął ze skórzanej walizeczki kopię aktu urodzenia i podał ją swoim klientom. - Sądzę, że dziecko jest...

_ Moje - oznajmił dobitnie Matt, sprawdzivszy datę urodzenia. - Jest mój!

Gibb otoczył go ramieniem i mocno poklepał po plecach. - Jestem z ciebie naprawdę dumny, synu. Bóg okazał miłosierdzie, wreszcie dał mi wnuka. - Ich radość szybko jednak zgasła. Gibb walnął pięścią w stół. - Ta suka!

- Słuchaj pan - zwrócił się Matt do Lamara - chcę mojego syna. Niech pan zrobi wszystko, co trzeba, żebym go odzyskał i zatrzymał. Wystąpiłem o rozwód nie wiedząc, że ona jest w ciąży. Usiłowanie morderstwa, porzucenie, i na dobitkę jeszcze zataiła przede mną fakt, że mam syna. Bez trudu powinienem uzyskać wyłączną opiekę nad dzieckiem.

- Panie Burnwood, proszę być rozsądnym. - Lamar rzucił nerwowe spojrzenie na Gibba. - Został pan oskarżony o popełnienie wielu poważnych przestępstw. Powinniśmy się skoncentrować na uwolnieniu pana od tych zarzutów, zanim podejmemy jakiegokolwiek postępowanie prawne przeciwko pańskiej żonie.

- Nikt nie jest nam w stanie udowodnić, że braliśmy z tatą udział w zabijaniu tego chłopaka, Li. Albo to wysrane z palca oskarżenie dotyczące tego typu Barny.

- Ten typ Bama był agentem FBI - przypomniał poważnym głosem prawnik.

- Kimkolwiek był, nie mamy z tym nic wspólnego. Nie strzelaliśmy mu w głowę ani nie ukryliśmy ciała gdzieś głęboko w lesie. Zresztą nie znaleziono ciała, więc nie ma nawet pewności co do tego, czy nie żyje. To włóczęga. Przywędrował do miasta, wywędrował z miasta, na jedno wychodzi.

- A co ze zniknięciem Michaela Li z więzienia?

- Najwyraźniej znikł. Jego ciała też nie odnaleźli. I nie odnajdą. Gdzieś się przyczaił i nie ujawni się, bo będzie odpowiadał za gwałt. Tak więc

tato i ja zostaliśmy oskarżeni o dwa morderstwa, które nigdy nie miały miejsca.

- W takim razie jak pan wytłumaczy to, co pani Burnwood opowiedziała władzom? - spytał Lamar.

- Zgubiła się w lesie, wpadła w histerię, miała halucynacje.

I jednocześnie dostrzegła możliwość zemścić się na mnie za romans z Lottie Lynam.

Szczęki Gibba się zacisnęły. Reagował tak za każdym razem, gdy Matt wspominał o Lottie. Wiedział, że ich romans zaczął się na nowo niemal tego samego dnia, kiedy Matt znowu ujrzał Lottie. Uważał to za coś niepojętego, żeby jego syn, posłuszny i podporządkowujący się mu we wszystkich innych ważnych sprawach, miał taką słabość do tej rudej wywłoki.

Nie podobało mu się to zupełnie, ale dla świętego spokoju przymknął oko. Zresztą Lottie była mężatką i nic szczególnie groźnego nie mogło z tego wyniknąć - jak na przykład nie chciane dziecko. Lata temu Gibb zadbał o to, by nie doszło do nie planowanej ciąży.

Kiedy zorientował się, że jego szesnastoletniego syna zaślepiła namiętność do dziewczyny z "białej hołoty", złożył wizytę jej ojcu. Ten zgodził się, że obaj powinni dopilnować, by ich szalone dzieciaki nie narobiły sobie kłopotów, i za siedem-

dziesiąt pięć dolarów zobowiązał się wrzucić małą pastylkę do mleka córki. Gibb zapewnił, że jest całkowicie nieszkodliwa; dostał ją wprost z rąk lekarza. Pigułka wywołała u Lottie kurcze, które ten sam lekarz zdiagnozował jak objaw zapalenia wyrostka robaczkowego. Łapówka lekarza pochłonęła dwieście dolarów, Gibb musiał też opłacić operację, w czasie której usunięto Lottie całkowicie niepotrzebnie wyrostek robaczkowy i podwiązano jajowody. W ten sposób Gibb otrzymał gwarancje, że Lottie nie da życia bastardowi Burnwoodów. Po dziś dzień uważał, że nigdy nie wydał pieniędzy na lepszy cel.

Dopóki ich romans nie kolidował z małżeństwem Matta i obowiązkiem spłodzenia męskiego spadkobiercy, Gibb nie widział wielkiego problemu w wizytach syna u Lottie, gdy jej mąż pijaczek wyjeżdżał z miasta.

Ale przecież nie chciał, żeby stało się to publiczną tajemnicą.

Matt Burnwood miał przejąć przywództwo Brotherhood i nie mogło wyjść na jaw, że podkochuje się w białej wywłoce. To by zepsuło wizerunek Burnwoodów. Poza tym, jeśli Matt mógł odstąpić od przestrzegania surowego kanonu reguł Brotherhood, to inni też mieliby prawo żądać, by uczyniono dla nich wyjątek. Zakaz wchodzenia w związki z niższymi od siebie i przedstawicielami innych ras był regułą numer jeden, tabu Brotherhood.

Z tego właśnie powodu Gibb nie dopuszczał myśli, by romans jego syna wyszedł na jaw w czasie procesu. Quincy Lamar sugerował jednak, by Lottie dała Mattowi alibi na tę noc, gdy Michael Li jak kamień w wodę zniknął w tajemniczy sposób z okręgowego więzienia.

Gdyby pani Lynam zeznała pod przysięgą, że Matt odwiedził ją owej nocy, być może udałoby się przeciągnąć na stronę oskarżonych wahających się

sędziów przysięgłych. Lamar doradzał przyznanie się do pomniejszego przestępstwa. Cudzołóstwo było grzechem, ale nie karano go śmiercią. Przynajmniej w Ameryce.

Ojciec i syn dyskutowali nad tą możliwością, ale niczego nie ustalili. Gibb optował za trzymaniem całej sprawy w tajemnicy, jak długo się da. Romans z Lottie nie należał do najbardziej świetlan,ych dokonań Matta i jeśli stanie się publicznie wiadomy, ludzie mu tego nie zapomną. Inna rzecz, że ich linia obrony opierała się na zaprzeczaniu i Gibb zdawał sobie sprawę, jak głupio byłoby nie wykorzystać wszelkich, choćby naj przykrzejszych możliwości oczyszczenia SIę z zaarzutów.

Ale teraz dowiedział się, że ma wnuka. To zmieniało proporcje. Co innego stawało się najważniejsze. Na czym innym należało się skupić. Być może powinien zrewidować swój pogląd co do posłużenia się Lottie Lynam.

Chociaż błędził myślami gdzie indziej, Gibb śledził jednocześnie dyskusję Matta z Lamarem. Kiedy stwierdził, że ich słowne utarczki prowadzą donikąd, odezwał się:

- Mój syn usiłuje panu wytłumaczyć, że chcemy mieć dziecko u siebie, panie Lamar. Należy do nas w świetle prawa.

- Otóż to - zgodził się Matl.

Lamar uniósł obie ręce z dłońmi skierowanymi w ich stronę, jakby chciał odeprzeć ewentualny atak.

- Mówię to dla waszego dobra, panowie. Obawiam się, że karmicie się nierealnymi nadziejami.

Jego słowa nie zmniejszyły jednak zdecydowania Matta.

- Zrobię wszystko, co trzeba, żeby odebrać jej mojego syna. Jest zupełnie nie przygotowana do tego, by wychować Burnwooda. Nie będzie z niej dobrej matki, skoro nie potrafiła być nawet dobrą żoną. Dałem jej wolną rękę w robieniu kariery, ale sama ją zniweczyła, robiąc sobie wrogów z kolegów prawników. Nie skąpiłem pieniędzy. Traktowałem ją dobrze i nie uchylałem się od obowiązków, jakie niesie ze sobą małżeństwo. Może pan spytać, kogo chce. Usłyszysz pan, że byliśmy doskonałą parą. I w jaki sposób mi odpłaciła? Opowiadając niegodziwe kłamstwa o mnie i ojcu. Napadła na mnie w naszym własnym domu i zostawiła w nadziei, że umrę. Porzuciła mnie. A teraz, z górą po roku, dowiaduję się o synku. Ma trzy miesiące, a ja nawet nie wiedziałem, że istnieje! Jakiż z niej potwór! Pozbawić ojca syna!

Quincy Lamar, wysłuchawszy cierpliwie, co jego klient ma do powiedzenia, zatrzymał spokojnie swoją skórzaną walizeczkę i wstał.

- Wspaniałe przemówienie, panie Burnwood. Przekonuje.

Sposób wygłoszenia też robi wrażenie. I co za zaangażowanie. Przekonał mnie pan nie tylko co do swej niewinności i niesłuszności oskarżeń o zbrodnie, które panu przypisują, ale także co do tego, że padł pan ofiarą niesłychanej wprost perfidii pani Burnwood. Zobaczmy, jak pan wypadnie w krzyżowym ogniu pytań. - Zapukał w drzwi, sygnalizując koniec spotkania. Czekając, aż strażnik je otworzy, dodał: - Dopóki pani Burnwood nie może przedstawić swojej wersji, nikt nie poddważy pańskiej chwytającej za

serce historii. Ale kiedy ją znajdą, a może być pan pewny, że federalni przetrząsną każdy skraaweczek Południa, próbując odszukać pańską żonę, to i owo trzeba będzie prawdopodobnie w tym opowiadaniu zmienić.

Wyszedł. Gibb i Matt mieli zostać za parę chwil odprowadzeni do osobnych cel.

- Tato, mam syna! Syna! - zawołał Matt.

- Wspaniała wiadomość, synu. - Gibb objął go ramieniem. - Jestem poruszony. Ale świętować będziemy później. Teraz nie ma na to niestety czasu. Nie ufam temu lalusiowaatemu pedziowi ani na jotę.

- Też mi się nie podoba. Chcesz wynająć kogoś innego?

- Wszyscy oni są niekompetentni w taki czy inny sposób - odparł Gibb potrząsając głową. - Działają pokrętnie i potrafią być nielojalni, nawet jeśli należą do rodziny Čoświadczył oschle. - Nie powinniśmy polegać ani na nim, ani na nikim innym. Musimy myśleć i działać na własny rachunek.

- Do czego zmierzasz, tato? - Matt spojrzał zaintrygowany na Ojca.

- Czas wziąć nasze sprawy we własne ręce.

Lottie ponownie przeczytała list. Był konkretny i bezcereemonialny. Zmiała arkusik papieru i rzuciła na podłogę. Zakławszy, podeszła do okna i wyjrzała na zanedbane podwórze. Jego wygląd mówił wyraźnie: tu mieszka biała hołota. Charlie był nie tylko pożałowania godnym mężem, ale i dostarczał pożałowania godnych środków na utrzymanie. Nigdy nie mogła sobie pozwolić na upiększenie mieszkania i jego otoczenia.

Ale czego się właściwie spodziewała? Że małżeństwo cudownie odmieni jej życie?

Urodziła się wśród białej hołoty i zawsze miała wśród niej żyć. Zdawała sobie z tego sprawę. I Charlie też. A także Matt. Właśnie tak ją nazwał, gdy pierwszy raz się do niej odezwał.

Byli w czwartej klasie, kiedy zasadził się na nią po szkole.

Zeskoczył z nisko rosnącego konara drzewa i przestraszył ją śmiertelnie, zagradzając drogę.

Myślisz, że seksowna z ciebie gówniara, co rudzielcu? - prowokował. - Nic podobnego. Tata mówi, że jesteście biedna biała hołota i nigdy nie powinienem się z takimi jak ty zaadawać.

- A ja mówię, że z ciebie i twojego taty gówniani bogacze. Moje szczęście, że nie muszę się z tobą zadawać, Matcie Burnnwood. Zjeżdżaj mi z drogi. - Usiłowała go wyminąć, on jednak dał szybko krok na bok i złapał ją za ramię.

- Gdzie się tak śpieszysz?

Chciał ją pocałować, ale walnęła go kolanem w krocze i uciekła.

Dopiero po paru latach zebrał się na odwagę, żeby znowu spróbować. Tym razem pozwoliła się pocałować. Od tego dnia byli zawsze wyczuleni na

obecność tego drugiego, a zarazem świadomości faktu, że nic poważnego między nimi nie jest możliwe. Już jako dzieci wyczuwali, że należą do innych kast. Chadzali odrębnymi ścieżkami - dosłownie i w przenośni - które nigdy nie miały się skrzyżować.

Nie przeszkadzało im to flirtować ze sobą, wabić się naawzajem rozkwitającą seksualnością, nie poznana do końca aż do pewnego omdlewającego od żaru letniego popołudnia, kiedy spotkali się przy strumieniu na wzgórzu. Rozebrani do bielizny, swawolili w wodzie. Matt zaproponował zawody, kto dłużej wytrzyma pod powierzchnią.

Wygrał oczywiście i zażądał w nagrodę, żeby zdjęła biustonosz i pozwoliła mu popatrzeć na swoje piersi. Wyczuła za jego arogancją niepewność, która wydała jej się urocza.

Odpięła stanik.

Patrzył przez długą chwilę, a potem zaczął jej dotykać.

Delikatnie i niepewnie. Dlatego właśnie pozwoliła mu posunąć się tak daleko, jak nigdy nie pozwalała innym chłopcom. Wkrótce ona też go dotykała.

Byli niezręczni i nie czuli się swobodnie. Matt był niezdarny i zbyt spięty, a ona chciała mu się tylko przypodobać. Ale zapamiętała przejmujące dreszczem gorąco skóry, przyspieszone, krzyżujące się ze sobą oddechy, łomot serc, westchnienia, radość odkrywania. Ich namiętność była niekłamana, przepełniała ich radością. Nie czuli wstydu i było to całkowicie niewinne.

Lottie oparła czoło o brudną szybę, łzy pociekły jej po policzkach. Od tamtej pory kochała Matta Burnwooda do szaleństwa. Na zawsze.

Dlatego pozwalała mu się wykorzystywać, dlatego tak ulegle odpowiadała na jego požądanie. Zaspokajała nie tylko seksualne potrzeby Matta. Podejrzewała, że związek z nią był wyrazem jego buntu przeciwko Gibbowi Burnwoodowi. Osiągnął wszystkie cele, jakie mu ojciec wyznaczył. Żył tak, jak się tego spodziewano po potomku Burnwoodów. Zawsze postępował, jak należało. Pozwolił sobie tylko na jeden wyskok: romans z Lottie Lynam.

To, że musieli zachować swój związek w tajemnicy, podnosiło jego atrakcyjność w oczach Matta. Gdyby akceptowano ją w kręgach, w jakich obracali się Burnwoodowie, przestałby się nią interesować już wiele lat temu. Przychodził do niej, ponieważ była dla niego absolutnie nieodpowiednią osobą.

Na swój sposób nawet ją kochał. Tylko że nie umiał nikogo pokochać bardziej niż ojca. Obdarzał Gibba ślepa lojalnością i wyłącznie dla niego był zdolny całkowicie się poświęcić.

Z tego właśnie powodu trochę współczuła Kendall Deaton, która poślubiając Matta promieniowała zupełnie bezsensownym optymizmem. Nie umiała też pogodzić się z tym, że jeśli chodzi o uczucia męża, nie ona znajduje się na pierwszym miejscu, i chyba dała to odczuć teściowi. Matt, jeszcze zanim się rozwiódł, wielokrotnie uskarżał się, że Kendall zbyt otwartością przynosi sobie szkodę.

Co z tego wynikało dla Lottie? Kim dla niego była? Poddnóżkiem? Powolną, nie uskarżającą się na nic, usłużną koochanką?

Oczywistą odpowiedź na te pytania zawierał list, który doostała dzisiaj od Matta. Pochyliła się, podniosła go z podłogi, rozwinęła i położywszy na kuchennym stole wygładziła załamamą.

Matt jej potrzebował. Teraz. Rozpaczliwiej niż kiedykolwiek dotąd i prawdopodobnie jak nigdy w przyszłości.

Rozejrzała się po pokoju, po starych, zniszczonych meblach, suficie z zaciekami, popatrzyła na wytartą, skrzypiącą przy każdym kroku drewnianą podłogę.

To zupełnie jak moje życie, pomyślała smutno.

Po wyjeździe Kendall z miasta proces Lottie został przełożony do czasu zatrudnienia nowego obrońcy. Od razu poprosił o odroczenie sprawy, ponieważ musiał zapoznać się z przypadkiem, zweryfikować, co dotąd ustalono w trakcie dochodzenia, przygotować własną linię obrony. Sąd przychylił się do jego prośby. Zważywszy na liczbę czekających w kolejce nie rozstrzygniętych spraw, mogły minąć miesiące przed wyznaczeniem daty rozprawy.

Lottie chciała mieć to jak najprędzej za sobą. Niezależnie od wyroku, jaki miał zapaść, jej życie po zabiciu Charliego toczyło się jakby w zawieszaniu. Nie była uwięziona, ale i nie wolna. Nie miała męża, dzieci, rodziny, która by się nią interesowała. Miała dom, ale nie był to dom w prawdziwym tego słowa znaczeniu - dawał tylko schronienie. Była poza nawiasem społeczeństwa.

Przez całe swoje życie zaznała szczęścia tylko w ramionach Matta Burnwooda. Znała jego wady, wiedziała, że kierował się uprzedzeniami, ale go kochała.

Przeczytała jeszcze raz list z więziennej celi. Prosił ją w nim o szczególną przysługę. Jeśli mu ją wyświadczy, ryzykuje życie.

Z drugiej strony, gdy się pomyśli, jak wygląda to życie, nie miała nic do stracenia.

Rozdział trzydziesty pierwszy

- Uciekli! - ogłosił sensacyjną wiadomość zastępca szejryfa, którego jedynym obowiązkiem było wskazywanie drogi i udzielanie informacji osobom mającym coś do załatwienia w Sądzie Okręgowym w Prosper.

Nie odznaczał się zbyt dużą bystrością. Ledwie zaliczył egzamin wymagany przed podjęciem pracy. Ale jednak go zaliczył i teraz z dumą nosił uniform koloru khaki i plakietkę z nazwą biura. Szttywny kołnierzyk koszuli luźno otaczał przeraźliwie chudą szyję, drżącą podstawę małej, spiczasto zakończonej głowy.

Nazywał się Lee Simon Crook i był kuzynem Billy'ego Joe i bliźniaków.

Luther Crook szykował się właśnie do perfekcyjnego uderzenia, gdy do sali bilardowej wpadł Lee Simon i wyrzucił z siebie wiadomość, z którą biegł przez dwie przecznice. Luther nie uderzył perfekcyjnie i stracił

szansę odzyskania dziesięciu dolarów, które poprzednio przegrał. Klnąc, odwrócił się do krewniaka z rękami zaciśniętymi w pięści, gotów do bijatyki.

- Lee Simon, ty gówniany gnojku! Spiorę cię na kwaśne jabłko! Miałem ustawiony ...

- Zamknij się, Luther - warknął Henry. - 'Coś ty powiedział, Lee Simon? Że kto tam uciekł?

- Oni. Z więzienia.

- Kto, dupku żółędny? - Luther złapał kuzyna za rękaw munduru i obrócił nim dokoła. - Bu ... Bu ... Burnwoodowie.

- Co ty, do cholery, gadasz?!

- Przysięgam na Boga. - Nakreślił krzyż na zapadniętej piersi. - Jakies dziesięć minut temu. Piekło się tam zaczęło i w całym tym zamieszaniu wysłem i poleciałem szybko, jakem tylko mógł, żeby wam to przekablować.

Nawet w środku dnia salę bilardową zapełniał tłumek mężczyzn, zabijających czas pić piwa i utyskiwaniem na opieeszałość poczty, która bezustannie spóźniała się z czekami z opieki społecznej.

Rzuciwszy kuzynowi groźne spojrzenie spode łba, Henry zaciągnął go do ciemnego, zadymionego boksu w kącie sali i pomachał na Luthera, by się do nich przyłączył.

- Zamierzasz przerwać grę? - spytał przeciwnik Luthera. Bliźniak rzucił na wojłok następny dziesięciodolarowy banknot, odłożył kij bilardowy i wśliznął się do boksu. Usiadł koło brata, tak że obaj mogli patrzeć wyszydzanemu od dzieciństwa kuzynowi prosto w twarz.

Prostacy bracia przemieniali w piekło każdą rodzinną wizytę niewydarzonemu dziecku brata ojca, które spłodził z trzecią żoną. Tymczasem ich nieustanne znęcanie się odniosło nieoczekiwany skutek: zaowocowało bezprzykładną miłością, uwielbieniem i lojalnością Lee Simona wobec stryjecznych braci. To, że bliźniacy rozmijali się często z prawem, podsycalo tylko jego podziw.

- Powiedzieliście, że bym miał na oku, co się tamuj wyraabia - wskazał kciukiem w kierunku sądu. - No to i miałem, ale nie liczyłem, że takie atrakcje się zdarzą.

- Co się stało?

- Zerwali się. Matt i starszy pan. W biały dzień.

- Jak? Uziemili strażnika?

- Pobudzili, chciałeś powiedzieć - zarechotał Lee Simon.

- Co znowu?

- Pani Lottie Lynam ...

- Co? - zapytali bliźniacy chórem.

- No więc przez ostatnie parę dni przychodziła odwiedzać Matta całkiem regularnie. Przynosiła z kawiarni cheeseburgery i ciasto z kremem ananasowym. Pisma i książki, i takie tam bzdury. - Pochylił się nad stołem i przybrał wyraz twarzy "między nami mężczyznami". - Wiecie, jak dobrze jest zbudowana. Ciskała się po kiciu jak królowa Saba. Wszystkich podniecała, sami wiecie. Strażników też. Nawet mnie. Pewne jak cholera, może człowiek być w mundurze, ale pod spodem jest mężczyzną, no nie?

- No, ta to ma zderzaki, że o mało gały nie wyskoczą. Źrodołczył Luther i dodał niecierpliwie: - Gadaj dalej, co?

- No więc Lottie przyszła dzisiaj w naprawdę dopasowanej sukience. - Lee Simon oblizał kąciki ust, w których wciąż gromadziła się mu ślina. - I postarała się, żeby każdy ją dobrze zauważył, szczególnie stary Wiley Jones. - Odchylił się z powrotem na oparcie siedzenia. - Willy wpuścił ją do pokoju widzeń, a ona się potknęła i rozsypała całą torebkę. Klękała na czworaki i zaczęła zbierać cały ten bałagan, a Willy'emu jak mi mówili, gały wyszły na wierzch. Podobno nie miała majtek, ale to może być plotka. Albo pobożne życzenia, nie?

- Przejdiesz wreszcie do rzeczy?

- Dobra, w porządku. Ale nie chciałem niczego pominąć. - Lee Simon odetchnął szybko. - Wiecie, ile wszyscy robią zamieszania koło Gibba Burnwooda? Że niby kapitalny z niego chłop, i tak dalej. Większość strażników uważa, że i tak dostał porządnego kopa, więc za bardzo się przy nim i przy Matcie nie spinali, można powiedzieć. Tak że kiedy pani Lottie upuściła tę torebkę, Willie zaraz ruszył się od drzwi jej pomóc. Jak zbierał te jej szminki i gumy do żucia, Matt z Gibbem, bo już tam na nią czekali, przeszli zwyczajnie przez drzwi, gładko jak po maśle. Lottie podziękowała Willy'emu, a potem powieedziała, jakby jej tchu brakło, coś jak: "Święty Boże, nie mogę się w takim stanie pokazać ludziom!" Przygłodziła włosy, przeesunęła rękami z góry do dołu po sukience, sami wiecie, żeby to ją niby wygłodzić ... i poleciała do damskiej toalety, gdzie czekali Matt z Gibbem. Zamknęła za sobą drzwi, oni się przebrali w rzeczy, co je tam przedtem zostawiła, i wszyscy troje razem poszli do frontowych drzwi, wsiedli do samochodu i tyleś ich widział. Kupa ludzi ich zobaczyła, jak wychodzili z sądu. Śmieli się, ściskali ręce i mówili, że ich wypuścili za kaucją i czy to nie wspaniałe, sprawiedliwość jednak zwyciężyła? I takie tam. Maja jaja te Burnwoody. A Willie, biedny stary jołop, nawet się nie zorientował, co się stało. Cały czas siedział na krześle i czekał, kiedy pani Lottie wróci odświeżona, i marzył sobie o tym, co zobaczył u niej pod sukienką. Taki był trzaśniejęty, że nawet się nie spostrzegł, że jego więźniowie sobie poszli!

~ Gdzie są teraz?

- Jak dawno temu uciekli?

- Spokojnie, krewniaczy. Zara do tego dojdę. Pewnie dobrze by mi zrobiło, jakbym zwilżył gardło. - Zerknął w stronę baru.

Henry dał znak barmanowi i ten postawił przed zastępcą szeryfa piwo.

- Nie wolno mi pić, jak jestem na służbie, ale w całym tym harmidrze nikt nie zauważy, że czuć ode mnie. - Siorbnął piwo spod piany. - Nie widziałem tego osobiście, ale mówią, że ten agent FBI, ten Pepperdyne ...

ale nawisko, co? Mówią, że jak go doszła wiadomość o ucieczce, cholernie się wkurzył. Pytał się, jak to możliwe, żeby do pilnowania takich więźniów wyznaczylu starego kretyna. I kto go tam postawił. Mówią, że jakby słowa mogły zabijać, to oni wszyscy tam, nawet razem z jego własnymi ludźmi, byliby sztywni na amen. Cholernie się wściekł.

- W jaki sposób Lottie wywozła ich z miasta? - spytał Henry.

- Myśla, że czekał już na nich inny samochód. Nimem tu przyznał, słyszałem, jak mówili, że znaleźli auto pani Lottie pod mostem. Ale nikt ich nie zauważył, kiedy się przesiadali. Sprawdzili wszystkie samochody Burnwoodów. Musieli trzymać ten wóz w jakimś miejscu, o którym nikt nie wiedział. Odjechali już spory kawałek, takie jest moje zdanie.

- Dokąd?

- Każdy by chciał wiedzieć. - Lee Simon wrzucił guzowatymi ramionami.

- Nikt się nie domyśla? - dopytywał się Luther.

- No, chodzą gadki po sądzie. Różne plotki. - Siorbnął głośno kolejny łyk piwa. - Właściwie wszyscy mówią, że pojechali zastrzelić eks-żonę Matta. Dlatego ten Pepperdyne rzuca kurwami. To ona powiedziała, że zabili tego Chińca, co to zwiął z więzienia. Że obcięli mu fujare, a potem go ukrzyżowali - wyszeptał.

Henry i Luther wymienili spojrzenia wyrażające pogardę dla głupoty ludzi strzegących prawa.

- Podobno wymknęła się szeryfom, którzy ją wieźli do nas, żeby tu zeznawała? - zapytał Henry.

- To prawda. Nikt nie wie, gdzie ona jest. - Zastępca szeryfa znowu zniżył głos. - Założę się, że też byście chcieli wiedzieć.

- Masz całkowitą rację, Lee Simon. Jesteś mądrzejszy niż ładniejszy.

Rozpromienił się, usłyszawszy pochwałę z ust starszych, roztropniejszych i ważniejszych kuzynów.

- Mama mi mówiła, że macie pretensję do pani Burnwood, bo przez nią Billy Joe wylądował w więzieniu. Mówiła też, że wasza mama jeszcze nie doszła do siebie.

Kiedy Billy Joe wydobrzezał dostatecznie, został przewieziony do centrum rehabilitacyjnego, gdzie zaopatrzono go w protezę. Zanim zdażył nabyć biegłości w posługiwaniu się nią, zaatakował rehabilitanta. Używając sztucznego ramienia jak maaczugi, zadał mu kilka groźnych ciosów w głowę. Tym razem sądzono go jako osobę pełnoletnią i właśnie odsiadywał karę. Jego nieszczęściu był oczywiście winny obrońca z urzędu, czyli Kendall Burnwood, która w ten sposób po raz drugi naraziła się rodzinie Crooków.

- Przenigdy nie powinniśmy jej ufać - stwierdził Henry gorzko, wykrzywiając wargi. - Co dupy mogą wiedzieć o prawie?

- Nic. Ni cholery - zgodził się Luther. - Inaczej mały nie siedziałby w więzieniu.

- I miałyby prawą rękę - dodał Henry.

Lee Simon osuszył kufel i beknął donośnie, żeby zrobić wrażenie na kuzynach.

- Lepiej już pójdę. Pewnie byście chcieli usłyszeć ostatnie wieści.

Bracia pożegnali go z roztargnieniem. Luther wstał i przeesiadł się na miejsce zwolnione przez Lee Simona; chciał patrzeć bratu w twarz. Spoglądali na siebie ponad stołem, aż w końcu Luther spytał:

- Co o tym myślisz, Henry?

- A co ty myślisz?

- Pierwszy zapytałem.

Henry uderzał palcami w podbródek, jakby był uczniakiem zastanawiającym się nad wyjątkowo skomplikowanym prawem fizyki.

- Piekielna hańba, jeśli ktoś inny ... nawet Gibb i Matt, zabije tę Burnwood, zanim my to zrobimy.

- Piekielna, jak jasna cholera - zawtórował mu Luther.

- Nigdy więcej bym się nie odważył popatrzeć w lustro.

- Chodzi o godność rodziny.

- O dumę.

- Przysięgliśmy mamie, że odpłacimy tej Kendal Burnwood za wszystko, co zrobiła Billy'emu Joe.

- Nie powinna nadebrać Crookom na odcisk.

- Ale jak mamy dotrzymać danej mamie przysięgi ... ?

- Musimy znaleźć ją pierwsi. - Henry wygramolił się z boku i machnął na brata, żeby szedł za nim. - Zobaczymy, co mama na to.

Mama uważała, że pomysł jest wspaniały. Dała im nawet dodatkową podniecie do działania: coś, o czym sami nie pomyśleli, ale co doskonale przystawało do ich motywów. Ze złym błyskiem w oku powiedziała:

- Kto wie, co zrobi starszy pan Burnwood, jeśli rozwiążecie ten problem za niego. Ma kupę forsy, nie?

Henry oczywiście pierwszy pojął, o co mamie chodzi. Mrugnął do brata.

- Będzie skłonny wypłacić trochę gotówki, skoro mu oszczędzimy tłumaczenia się w sądzie - stwierdził.

Kiedy rozniosła się wiadomość o Brotherhood i Crookowie dowiedzieli się o działającej wśród nich organizacji, ogarnęła ich złość - tylko dlatego, że zostali pominięci. Według nich była to wspaniała idea: przestrzegać czystości rasy i oczyścić Prosper z obcych, nie mogli więc zrozumieć, by ktoś chciał za to karać.

Nie przyszło im oczywiście do głowy, że to sędzia Fargo kazał pozbawić Billy'ego Joe ramienia, żeby dać jemu i Kendall nauczkę. Nie spodziewali się również, że postanowiono im wymierzyć specjalną karę za to, że ośmielili się grozić Burnnwoodom. Bracia z Brotherhood odłożyli ją na później wyłącznie dlatego, że mieli pilniejsze sprawy do załatwienia.

Crookowie niesłusznie zatem obarczali Kendall winą za nieszczęścia, które na nich spadły. Planowali zemstę od dnia, w którym zabrano Billy'ego Joe. Listy z pogroźkami, wybicie szyby, martwy szczur - to wszystko było tylko na rozgrzewkę. Podobnie jak zdemolowanie jej biura. Poprosili wtedy o pomoc Lee Simona, który przemycił ich do gmachu sądu po godzinach urzędowania. W rewanżu nastroczyli mu kobietę, która za dwadzieścia dolarów zgodziła się spędzić z nim noc. Uważali, że nie przepłacili, a ich kuzyn nie posiadał się z radości.

Planowali, tak jak to wymyśliła mama, nękać Kendall Burnnwood, dopóki nie dotknie jej nieszczęśliwy "wypadek". Tuż przed śmiercią miała się dowiedzieć, że to właśnie bracia Crook wywarli na niej zemstę. Niestety przed wielkim finałem wyjechała z miasta w nieznaną.

Henry i Luther upili się dla większego animuszu i podpalili stodołę, żeby się lepiej poczuć.

Nie zapomnieli oczywiście, że przysięgali zemstę, a ich nienawiść do Kendall Burnnwood nie przygasła przez rok, który minął od jej zniknięcia. Kiedy usłyszeli, że odnaleziono ją w Kolorado i zostanie przewieziona do Karoliny Południowej, uczcili wiadomość pijatyką i zdeflorowaniem dwunastoletniej siostrzenicy. Ledwie zdołali pozbierać się po kacu, gdy doszło do nich, że wymknęła się dwóm szeryfom i znowu znalazła na swobodzie. Pograżyło ich to ponownie w głębokiej rozpacz.

Wieści przyniesione przez Lee Simona na nowo pobudziły w nich chęć zemsty. A mama nakreśliła wizję, jak sobie mogą przy okazji napchać kabzę. Zasiedli wszyscy w kuchni przy stole z butelką bimbru, żeby dopracować plan i wypić za jego pomyślne przeprowadzenie.

- Słyszałem, że ma dzieciaka - zauważył Luther, marszcząc brwi. - Co z nim zrobimy, jak ją zabijemy?

- Kretynie skończony! - Mama trzepnęła go w szczękę. - Przywieziecie go tutaj starszemu panu Burnnwoodowi! Zapłaci wam w dwójnasób za odzyskanie wnuka.

Bracia uśmiechnęli się do siebie. Jak przychodzi do robienia interesów, mama jest nie do przebiccia.

Rozdział trzydziesty drugi

- Czy to nie dziecko?

- Hmm? - Kendall się poruszyła.

- Słyszę, że Kevin płacze.

- I tak spał dłużej, niż się spodziewałam. - Wstała i włożyła szlafrok. - Masz coś przeciwko temu, że bym go tutaj przyniosła?

- Nie ...

Co wywołało u niego tę awersję do dzieci, zastanawiała się idąc do pokoju Kevina. Śniąc koszmara wołał do Pepperrdyne'a, żeby przestały płakać. Słyszał płaczące dzieci we śnie? Jaki to miało związek z jego pracą? Co go tak nękało? Co się zdarzyło?

To tylko kilka z miliona pytań, jakie chciałaby mu zadać, gdyby okoliczności ułożyły się inaczej. Jak na ironię, amnezja Johna McGratha chroniła ją, choć w kruchy i niepewny sposób, przed zdemaskowaniem, lecz jednocześnie stanowiła nieprzekraczalną barierę. Nic nie wiedziała o jego pochodzeniu. Nawet tego, kiedy przypadają jego urodziny ani jak ma na drugie imię.

Nie znała go, chociaż tak blisko z nim była.

Znała wszystkie odcienie jego głosu; wysokość, timbre - ale nie przekonania czy zasady, jakimi się kierował. Znała wszystkie blizny na jego ciele, ale nie wiedziała, kiedy i jak powstały. Jej palce zbadały każdy skrawek jego skóry, ale nie miała pojęcia, ile kobiet go pieściło.

Może nawet był żonaty.

Natychmiast odsunęła od siebie tę niewygodną myśl. Nie może sobie pozwolić na rozważania, czy on kogoś kocha, czy kogoś zdradza, śpiąc z nią. Zresztą nie odpowiadał za to, co robił, skoro był dotknięty amnezją.

Wina leżała wyłącznie po jej stronie. To ona pod wpływem impulsu oświadczyła, że jest jej mężem, sądząc, że dzięki temu genialnemu pomysłowi zyska na czasie. Ale nie planowała, że go porwie i będzie żyła u jego boku przez kilka tygodni. Nie planowała też, że on zmieni się przebywając z nią i Kevinem, że złagodzi to jego charakter, stanie się mniej ponury, miłszy.

A już na pewno nie planowała, że się w nim zakocha. Rankiem, po nocy, kiedy pierwszy raz się kochali, przeżyła chwilę paniki. Wśliznął się niepostrzeżenie do łazienki i stanął przy umywalce tuż za nią. Chwytał ją szorstkim ruchem i oddwrócił twarzą do siebie. Była pewna, że odzyskał pamięć, tak dziko żarzyły się jego oczy.

Pomyliła gniew z namiętnością. Jego gwałtowny pocałunek uspokoił ją. John nigdy nie uchyliłby się przed wypełnieniem swoich obowiązków i gdyby wróciła mu pamięć, byłby wściekły. Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby ją odwieźć do Karoliny Południowej. Zdawała sobie z tego sprawę i wolała o tym nie myśleć.

Przewinęła Kevina i wróciła z nim do łóżka. John podparł się na łokciu i patrzył, jak układa dziecko przy piersi. Maleńkie piastki uderzały w jej ciało, usteczka na oślep szukały brodawki. Przywarły do niej łapczywie, kiedy tylko je na nią naaprowadziła.

- Żarłoczny z niego jegomość - zauważył John.

- Ma dobry apetyt.

- Dlaczego zrobili ci cesarskie cięcie?

- Bronił swojej niezależności jeszcze przed urodzeniem - odparła z uśmiechem i pogładziła dziewczęce kędziory na główce synka. - Nie chciał przyjąć właściwej pozycji. Położnik próbował go przekreślić, ale Kevin nic sobie z tego nie robił. Sądzę, że przez próżność. Wolał nie popsuć pięknego kształtu swojej główki.

John wyciągnął z wahaniem rękę i dotknął skroni Kevina; pod delikatną skórą mocno bił puls. Ostrożnie nakrył dłonią główkę dziecka.

- Jest ładny ...

- Dziękuję.

- Podobny do ciebie.

- Tak?

- Tak. A ty jesteś piękna.

Ich oczy się spotkały.

- Naprawdę?

- Tak.

- Zwłaszcza moje włosy, co?

- Może zapoczątkujesz nową modę. - Jego oczy powędrowały ku wystrzępionym kosmykom. - Koafiura ci la John Deere.

- Któż to taki?

- Nieważne - odparła, śmiejąc się cicho.

- Racja, nieważne. I tak jesteś piękna.

Wiedziała, że naprawdę tak myśli. Według niej on też był piękny. Nie klasycznie, ale jego twarz przykuwała uwagę, była bardzo męska, z wyrazistymi brwiami i mocno zarysowaną kwadratową szczęką. Dziwne, że uważała go za tak pociągającego, różnił się przecież zdecydowanie od Matta, którego uznawała za najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego spotkała w życiu. Matt był wysoki, szczupły, John równie wysoki, ale mocniej zbudowany. Matt miał blond włosy, John czarne z nitkami siwizny. Patrycjuszowskie rysy Matta były niemal zbyt regularne, by wydać się interesujące. Na twarzy Johna wycisnęło swoje piętno życie i przydawało jej to charakteru.

Uwielbiała jego fascynujące, zielono-brązowe oczy, zmieniające kolor w zależności od nastroju.

Zachowywał się bardzo chłodno, ale to tylko dodawało blasku jego rzadkim uśmiechom i gorzkim żartom. Miał jakieś zahamowania, które przypisywała niezbyt szczęśliwemu dzieciństwu. Zgadzała, że nie obdarzano go czułością, gdy dorastał. Nie nauczył się okazywania uczuć i emocji i przysparzało mu to wiele trudności w kontaktach z ludźmi. Ale był zdolny do przeżywania głębokich uczuć i wiedziała, że potrafi się nimi kierować. Wspomniawszy, jak świetnie poradził sobie z napasstującymi ją nastolatkami, pomyślała, że wda się w każdą awanturnę, żeby obronić ją i Kevina.

Był twardy, ale potrafił też być niezwykle delikatny, jak dziś w nocy, kiedy gubiła się w jego błędzących po jej rysach oczach jak w leśnej mgłę.

- Robiłaś to w ten sposób przedtem? - spytał zgrzytliwym głosem.

- Co?

- Pieściłaś mnie?

Poczerwieniała gwałtownie i chowając twarz na jego ramieniu, potrząsnęła głową.

- Dlaczego nie?

- Nigdy przedtem tego nie chciałam. - Odsunęła twarz i popatrzyła mu prosto w oczy.

Wpatrywał się długo w jej źrenice we właściwy sobie przenikliwy sposób, potem przyciągnął ją do siebie, objął mocno i skrył jej głowę pod swoim podbródkiem.

- Dobrze to robiłam? - spytała po chwili nieśmiało.

- Och, tak - potwierdził, jęknawszy cichutko. - Bardzo dobrze.

Trzymając ją w objęciach, pieścił jej plecy i biodra, rozzniecając na nowo pożądanie. W końcu podniósł ją i posadził na sobie.

- Tak też nigdy z tobą nie byłam - przyznała.

- Po prostu bądź sobą. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz. - Otoczył dłońmi jej twarz, kciukiem obwiodł wargi, rozdzielił je, pieścił językiem. Opuścił ręce na jej piersi i przykrył dłońmi sutki. Ugniatał je i gładził, stwardniałe, a ona poruszała się coraz gwałtowniej.

- Jezu - wyszeptał, obejmując jej talię, by ją przytrzymać i poprowadzić.

Wsunął dłoń między ich ciała, środkowym palcem zaczął delikatnie masować niewielki wzgórek i Kendall doznała tak intensywnej przyjemności, że wydawało jej się, jakby zaraz miała umrzeć.

Teraz doznawała przyjemności równie intensywnej, ale chyba pełniejszej. Karmiła Kevina, a John na nią patrzył; niemal uwierzyła, że naprawdę są rodziną. Zawsze tego chciała i nigdy nie stało się jej udziałem: mężczyzny, który by ją kochał, dziecka, rodziny. Jakby los, wodząc ją po krętych ścieżkach, nie chciał spełnić jej niezbyt wyszukanego marzenia.

To nie mogło trwać długo. John w każdej chwili mógł odzyskać pamięć. Mogli też odkryć miejsce ich pobytu agencji federalnej i aresztować ją za porwanie oficera federalnego. Albo - co najbardziej przerażające - mogli ich znaleźć Burnnwoodowie.

Byli tropicielami. Umieili iść po śladach zwierzyny. Trofea zakończonych sukcesem pościgów wisiały wypchane na ścianach domu Gibba. Identyfikowała się z tymi biednymi stworzeniami, które nieostrożnie przecięły pole

widzenia Burnwoodów i bała się, że będzie kolejną zdobyczą, a Kevin wpadnie w ich szpony.

Tak czy owak, nie miało być szczęśliwego zakończenia tej historii. Najlepsze rozwiązanie, na jakie liczyła, oznaczało wymknąć się Johnowi, nigdy więcej go już nie zobaczyć i uciekać do końca życia.

Musi go zostawić natychmiast, zanim on odzyska pamięć, zanim sobie uświadomi, że jest jej strażnikiem. Z pewnością poczuje dla niej pogardę, kiedy zrozumie, że nieświadomie grał wyznaczoną przez nią rolę. Uczyniła rzecz niewybaczalną: pozwoliła, by się opiekował nią i Kevinem, całkowicie świaadoma tego, że wkrótce porzuci go i będzie musiał samotnie stawić czoło konsekwencjom jej dwulicowości. Znienawidzi ją jednak, nie tylko z zawodowych powodów, przede wszystkim z osobistych.

Miała nadzieję, że uda jej się zniknąć na dobre, że nie doświadczy jego pogardy. Tego nie wytrzyma. Boże, niech nigdy nie przyjdzie mu do głowy, choćby przez sekundę, że kochała się z nim tylko dla jeszcze jednej paskudnej manipulacji.

Ale jak miała znaleźć w sobie siły, żeby go opuścić, kiedy tak na nią patrzył? Kiedy trzymając rękę na jej policzku, tak długo i mocno całował?

Zdławiła szloch, ujęła jego głowę i pocałowała go z całym żarem, zrodzonym przez miłość i strach. Otoczył ich oboje ramionami, ją i ssącego pierś Kevina. Pragnęła, żeby te słodkie chwile doskonałej intymności nigdy się nie skończyły.

Było to jednak niemożliwe. Musiała odejść. Ale jeszcze nie tej nocy.

Rozdział trzydziesty trzeci

- Co z nami będzie, Matt? Czym to się skończy?

- Nie martw się, Lottie. - Przesunął ręką po krzywiźnie

jej biodra. - Tata się wszystkim zajmie.

- To chyba normalne, że się martwię, Matt. - Odsunęła się od niego i usiadła. - Złamałam prawo. Uciekam.

- Tata wszystko załatwi.

- Ten twój tata to maniak. Nie widzisz tego? - Przesunęła

dłonią po kasztanowych włosach i zaśmiała się bezrado śnie. - Szy ... !
Może cię usłyszeć.

Spojrzał nerwowo na ścianę odzielającą ich pokoje. Nocoowali w obskurnym motelu - nędzne pokoje przedzielały ciennkie ściany, na podłodze leżała wytarta wykładzina - miejscu spotkań nielegalnych kochanków, którzy nie mieli zbyt wiele pieniędzy.

Ale on i Lottie nie byli nielegalnymi kochankami. Właśnie dopełniała się ich historia miłosna, trwająca od czasu, gdy zaczęły się w nich burzyć hormony. Już teraz wiedział, że dziewczyna, której pożądał, wyrosła na kobietę, którą kochał.

Dwa dni temu dodała do listy przestępstw, które popełniła, udzielenie pomocy w ucieczce z więzienia. Mimo to Matt Burnwood nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy. Był z Lottie. Jawnie. I ojciec to aprobował.

Zdawał sobie sprawę z tego, że robi na niej, i najprawdopodobniej na wszystkich innych ludziach, wrażenie człowieka naiwnego, ufając ojcu tak bezgranicznie. Naprawdę jednak wierzył, że Gibb uładzi wszystkie sprawy. Powiedział, że się wszystkim zajmie, a na jego słowie można było polegać. I nigdy się nie mylił. Odkąd Matt pamiętał, ojciec miał zawsze rację. I był uosobieniem prawdziwego Amerykanina.

Zupełnie jak dziadek. Matt nie znał go wprawdzie, ale wiedział o nim wszystko od Gibba. O jego niezrównanej sprawności żołnierskiej. Ojciec znał każdy szczegół wojskowej kariery dziadka na Pacyfiku Południowym i często opowiadał, w jaki sposób przeżył, choć miał tak nierówne szanse.

Gibb wierzył, że jego ojciec nie podlega żadnym ocenom.

Matt również ślepo ufał swemu ojcu. Nigdy nie zdarzyło się, by Gibb źle nim pokierował.

No, może pomylił się w ocenie Kendall.

To on nalegał, żeby Matt ją poślubił. Twierdził, że będzie doskonałym parawanem dla poczynań Brotherhood. Uważał, że dzięki niej swobodniej dojdą do indywidualów podkopujących fundamenty, na jakich opiera się Ameryka. Teoretycznie poślubienie obrońcy z urzędu było rzeczywiście wspaniałym pomysłem, nie docenili jednak niezależności Kendall. Poza tym nie była skorumpowana ani powolna ich życzeniom, jak tego oczekiwali. Co prawda, tu akurat ona zaawiniła, nie Gibb.

Matt uważał, że ojca często nie doceniano. Miał obsesję na punkcie sprawowania władzy. Jeśli go zlekceważono, nie zapominał tego; nigdy też nie wybaczał afrontu. Jeśli wszedłeś mu w drogę, zostawałeś jego wrogiem na całe życie. Był apodyktyczny i obstawał przy swoim, kiedy uważał, że ma rację. Raz coś postanowiwszy, trwał przy tym z nieugiętą zawziętością.

W oczach Matta cechy te były zaletami, nie wadami. Wszystko zależało od punktu widzenia. Inni mogli mówić o ojcu, że jest zbyt radykalny, ale on widział tylko jego konsekwencję, odwagę i oddanie sprawie. Gibb nigdy nie odstąpił od tego, w co wierzył. Matt chciałby być tak silny jak ojciec i dziadek.

Chociaż gdyby taki był, na pewno nie umiałby pokochać tak bardzo Lottie. A jeśli miłość do niej oznaczała słabość, nie zamierzał jej przewycięzać.

- Proszę, nie denerwuj się - wyszeptał, przyciągając ją znowu do siebie.

Opierała się z początku, ale w końcu pozwoliła wziąć się w ramiona. Pocałował ją w kark; uwielbiał smak jej skóry. Wszystko w niej uwielbiał. Tyle razy oglądał jej ciało, i nigdy nie znalazł w nim najmniejszej skazy. Była doskonała.

Z wyjątkiem jednego: nie mogła mieć dzieci. Gdyby nie to, prawdopodobnie postawiłby na swoim i powiedział ojcu, że jest kobieta, jakiej zawsze pragnął, i ożenił się z nią.

- Po prostu tego nie widzisz, prawda, Matt? - Uśmiechnęła się smutno.

- Że jesteś piękna? Oczywiście, że widzę. Wszyscy to widzą.

- Przeszedłeś pranie mózgu, kochany, i nawet o tym nie wiesz. - Zawahała się, ale jednak zapytała: - Matt, czy to prawda, co mówią o tobie, twoim ojcu i innych? Że zabijaliście według jakiegoś rytuału ludzi? Że okaleczyliście przed ukrzyżowaniem tego chłopca, Li?

- To nie ma nic wspólnego z nami, Lottie - pocałował ją.

- Ale czy to zrobiliście?

- Cokolwiek zrobiliśmy, mamy błogosławieństwo Boga.

- Więc to prawda - wyszeptała. - Jezu, Matt - jęknęła. - Nie rozumiesz, że kroczymy prosto w przepaść? - Jesteś pesymistką. - Cmoknął ją w czubek nosa.

- A ty głupcem.

- Skoro naprawdę tak myślisz, dlaczego pomogłaś nam uciec? Dlaczego z nami pojechałaś?

- Ty idioto. - Zanurzyła palce w jego włosy, zaciskając je na nich tak mocno, aż jęknął z bólu. - Biedny, głupi, piękny idioto.

Zobaczył łzy w jej oczach.

- Bo cię kocham - wyznała gorącym szeptem. - Jedynej radości w całym moim parszywym życiu zaznałam kochając się z tobą. I będę cię kochać do końca.

Opadła na materac i pociągnęła go za sobą.

Zakręciła kurki prysznicza i wyszła z brodzika. Sięgnęła po cienki, wytarty ręcznik i w tym momencie wyczuła czyjaś obecność. Odwróciła się i krzyknęła przerażona.

- Dzień dobry, Lottie - powiedział Gibb. - Dobrze spałaś?

- Co ty tu robisz?

- Na pewno dobrze spałaś. Zmęczyłaś się cudzołożąc z moim synem.

- Wyjdź stąd. - Przycisnęła skąpy ręcznik do ciała. Szczękała zębami. - Jeśli Matt cię tu zastanie ...

- Nie zastanie. Przecież wiesz, że poszedł po kawę i paczki. Zajrzał do mojego pokoju przed wyjściem, żeby zapytać, co bym chciał. Jak zwykle uważający i posłuszny syn. Chyba że chodzi o ciebie.

Pogratulował jej brawury, z jaką odegrała swoją rolę w czasie ich ucieczki, pochwalił za odwagę i wytrwałość w realizowaniu zuchwałego

planu, ale nie brzmiało to szczerze. W jego oczach nie było śladu ciepła, gdy do niej mówił. Drżała nie tylko dlatego, że stała mokra i naga. Bała się go.

Zawsze skóra jej cierpła na jego widok. Już jako mała dziewczynka, kiedy ojciec zabierał ją do jego sklepu, czuła się nieeswojo w obecności Gibba Burnwooda. Jej awersja była instynktowna, pierwotna. Domowe zwierzęta okazują czasem niektórym członkom rodziny niechęć bez żadnego wyraźnego powodu; podobnie zmysły Lottie ostrzegały ją przed czymś odrażającym w psychice Gibba Burnwooda, choć wiedziała, że nikt poza nią niczego podobnego nie odczuwał. Teraz, po ostatniej rozmowie z Mattem, zrozumiała przyczynę swojej niechęci. Był złym człowiekiem, który wychował syna według własnego, spaczonego kodeksu postępowania, opartego na bigoterii i przemocy.

- Przepraszam, ale chciałabym się ubrać. - Starła się mówić spokojnym głosem, wiedząc, że Gibb ze swoim instynktem myśliwego natychmiast wyczuje jej strach.

- Po co? Zawsze byłaś dumna ze swojego ciała. W każdym razie przed moim synem pyszniłaś się nim przez lata. Był chory z pożądania. Dlaczego nagle udajesz skromną?

- Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie podoba mi się to wszystko. Zapewniam cię, że Mattowi też by się nie podobało. - Wiem lepiej, co dobre dla Matta.

- Zrobić z niego mordercę? To uważasz za najlepsze dla własnego syna? To ma być miłość?

Uderzył ją mocno w twarz. Zatoczyła się na umywalkę i złapała za zimną porcelanową miskę, by się uchronić przed upadkiem. Ściany łazienki zachwiały się, błyski zieleni przecięły zapadającą zasłonę czerni. Parę sekund później poczuła ból. Jej mózg znów zaczął pracować.

- Ty dziwko! Kim ty jesteś, żeby mi udzielać świętoszkowatych pouczeń?! - Chwytał ją za ramię i zmusił, by uklękła.

- Proszę, nie - szepnęła. - Cokolwiek ... - Wiedziała jednak, że na nic nie zda się błaganie, zamknęła więc oczy i zaczęła się modlić po raz pierwszy w życiu. Modliła się o łaskę utraty przytomności.

Gibb złapał pełną garść jej mokrych włosów i zadarł głowę do góry. Ból, jaki jej zadał, i upokorzenie były zbyt silne, żeby mogła zemdleć.

Matt, stosując się do wskazówek Gibba, znalazł zatłoczony, nowocześnie urządzony sklep, gdzie kasjerzy i klienci zbyt byli zaabsorbowani, żeby zwracać uwagę na kogokolwiek. W saamoobsługowym barze napełnił kawą trzy plastikowe filiżanki i wziął przy kasie pół tuzina paczków. Nikt na niego nawet nie spojrział.

Tata zawsze ma rację, pomyślał.

Otworzył kluczem drzwi motelowego pokoju, który zajmowali z Lottie.

- Tata? Cześć - powiedział, zauważywszy Gibba siedzącego na jedynym znajdującym się w pomieszczeniu krześle. - Nie spodziewałem się ciebie

tutaj. Dokładnie, jak mówiłeś ... _ Nagle krzyknął i upuścił papierową torbę, którą przyniósł.

Plastikowe filiżanki wypadły, parząca kawa rozprysła się na jego spodniach, ale on nie czuł tego.

- Zamknij drzwi, synu.

Matt patrzył, zdjęty grozą, na łóżko, w którym leżała Lottie - naga, rozkrzyżowana, martwa. Otwarte oczy zastygły w wyrazie przerażenia. Miała podcięte gardło. Musiało to stać się niedawno, bo z rany wciąż powoli sączyła się krew; przeeścieradło było jasnoczerwone. Krew z przeciętej arterii trysnęła również na ścianę za łóżkiem, ochlapując kiepski obrazek przedstawiający dereń w rozkwicie.

Gibb podniósł się, obszedł sparaliżowanego zgrozą syna i cicho zamknął drzwi. Jedna filiżanka z kawą pozostała nieetknięta. Podniósł ją z podłogi, odemknął pokryweczkę i pociągnął łyceczek. .

Matt ruszył chwiejnie naprzód i rzuciłby się na ciało Lottie, gdyby Gibb go nie złapał.

_ Nie było innej rady, synu - oświadczył łagodnym, spokojnym tonem. - Sam wiesz. Z zimną krwią zabiła męża. Oskarżyła go o gwałt i zastrzeliła we śnie. Jakiż to przykład dla innych kobiet? Czy chcemy, aby nasze kobiety powzięły przekonanie, że mają prawo zabijać mężów, gdy ci egzekwują należne im małżeńskie prawa, mężów sprawujących daną im przez Boga władzę nad nimi? Brotherhood już dawno ją naaznaczyło, jednak z szacunku dla ciebie przełożyli wykonanie wyroku. W gruncie rzeczy oddałem jej przysługę. Działiałem szybko i byłem miłosierny. Umarła robiąc to, co najbardziej lubiła.

Matt popatrzył na ojca oczami pustymi jak oczy Lottie.

- To prawda, synu. Umarła pode mną. Wypróbowałem ją. Jak szatan naszego Pana na pustyni. Ale w przeciwieństwie do Jezusa zawiodła. - Spojrzał na ciało.

Matt się nie odzywał. Oprócz okrzyku wywołanego szokiem na widok martwej Lottie nie wydał żadnego dźwięku.

- Wijąc się i błagając jak prawdziwa rozpustnica, rozchyliła dla mnie nogi. Zwiodła mnie na pokuszenie, tak jak wiodła na pokuszenie ciebie przez całe lata, i zgrzeszyłem. Możesz jeszcze zobaczyć moje nasienie, zmieszane z twoim. Tylko prawdziwa dziwka zdolna jest popełnić czyn tak odrażający.

Matt patrzył nieruchomo na obscenicznie rozciągnięte ciało. Gibb położył mu rękę na ramieniu.

- Piekło ją spłodziło, synu. To nierządnicą z piekła rodem.

Gdybym jej nie powstrzymał, dalej rozniecałaby pożądanie w mężczyznach, a ciebie znieprawiała. Nie mogłem na to pozwolić.

- Ale ... - Matt przełknął ślinę.

- Pomyśl o swoim synu. Twój syn będzie z nami. Jego też by splugawiła.
- Ona ... nie. Była dobra.
- Matt, mylisz się. Wiem, jak trudno ci to teraz zrozumieć, ale z czasem przyznasz mi rację. Pamiętasz, jak było z twoją matką?

Matt skinął niemo głową.

- Kochałem tę kobietę, synu. Z całego serca kochałem Laurelann, ale przekroczyła granicę. Odkryła prawdę o Brotherhood i miała zamiar odsłonić ją ludziom, którzy nie są w stanie pojąć naszej misji. Musiała zamilknąć. Płakałem, Matt. Ty też płakałeś. Pamiętasz?
- Tak, ojczce.
- To była bolesna konieczność. Byłeś jeszcze chłopcem, ale nawet ty rozumiałeś, że to konieczne. Prawda, synu?
- Tak, ojczce.

- W końcu ból przygasł, jak przepowiadałem. Twoja dusza ozdrowiała. Uświadomiłeś sobie, że nie tęsknisz już tak mocno za matką. Wierz mi, synu, znacznie lepiej dla ciebie, że ta skaza na twoim życiu znikła. Być może twoje małżeństwo by przetrwało i w ogóle nie miałibyśmy kłopotów, gdybyś nie był z tą dziwką. Wierzę, że Kendall otworzyłyby się w końcu oczy i zaakceptowałyby Brotherhood. Ale duma nigdy nie pozwoliłaby jej zaakceptować Lottie. I całkowicie słusznie. Popełniłeś cudzołóstwo, synu, choć wiem, że to nie twoja wina. - Wskazał na zwłoki. - Szatan stworzył to ciało, żebyś płonął z pożądania. Winna jest ona. Kusiła cię ponad twoją wytrzymałość. Więc jej nie oplakuj. - Poklepał Matta po plecach. - Zanieśmy rzeczy do samochodu. Nie pozwóllmy, by ta sprawa przeszkodziła nam w tym, co musimy zrobić: w znalezieniu twojego syna.

Rozdział trzydziesty czwarty

Dom stał spory kawałek od drogi i można się było do niego dostać tylko wąską zwirowaną aleją obramowaną gęstym szpaalerem krzewów. Gałęzie drzew tworzyły ponad nią rodzaj baldachimu, zatrzymującego światło księżyca.

Zważywszy na cel ich wyprawy, dom nie mógł stać w lepszemu miejscu.

Było sporo po północy. Co najmniej od godziny nie pojawił się na drodze żaden samochód. Z wyłączonymi światłami przejechali kilkakrotnie przed aleją, zanim wreszcie zatrzymali wóz i zgasili silnik. Siedzieli w ciszy, czekając na jakikolwiek sygnał, że zauważono ich przyjazd. W ciągu godziny nic się nie wydarzyło.

- Myślisz, że jest w środku?
- Nie dowiemy się, dopóki sami tam nie wejdziemy. Przecież nam tego nie ogłoszą.

Ciemności skrywały ich sylwetki, gdy wysiedli z samochodu i zaczęli się skradać brzegiem alejki, trzymając jak najbliżej bujnego listowia; dwa wydłużone cienie wśród tysięcy innych. Trzydzieści jardów od ganku przykucnęli za krzewami i przyjrzyli się uważnie domowi, który należał kiedyś do Elvie Hancock. Porozumieli się ruchami rąk i rozdzielili. Jeden poszedł na prawo, drugi na lewo. Unikając odsłoniętych miejsc,

przeemykali się w cieniu okalającego posiadłość lasu. Dotarli na tył domu z przeciwnych kierunków i spotkali się przy składziku.

- Słyszałeś coś albo widziałeś?

- Nic. Cicho jak w grobowcu.

- To nie znaczy, że nie ma jej z dzieckiem w środku.

- I z tym szeryfem?

- Może.

Wymienili niezdecydowane spojrzenia.

- Gotowy? - spytał w końcu jeden drugiego.

- Idziemy.

Przygotowali się na konieczność wyłamania zamka w tylnych drzwiach, ale były otwarte. Zaskrzypiały słabo, gdy je poopchnęli. Wśliznęli się do spiżarni, a stamtąd bezszelestnie do kuchni.

Była czysta i wysprzątana. Przy zlewie stały porządnie ustaawione talerze, ani śladu nieporządku na blatach. Jeden z inntruzów otworzył lodówkę, ale gdy zapaliło się światło i silnik zaczął brzęczeć, pośpiesznie ją zamknął.

- Co to było? - Kendall usiadła na łóżku.

- Co?

Przebudziła się z niewytłumaczalnym uczuciem strachu.

- Słyszałeś coś? - wyszeptała.

John uniósł głowę, nasłuchując, ale w domu panowała cisza. - Nic. Co to był za dźwięk?

- Nie wiem. Przepraszam, że cię obudziłam. Pewnie mi się śniło.

- Coś przerażającego?

- Chyba tak.

Położył znowu głowę na poduszce i potarł nosem jej nagie ramię.

- Z dzieckiem wszystko w porządku?

- Tak.

Po ostatnim karmieniu zostawili Kevina razem z nimi w łóżku. Spał przytulony do piersi Kendall, która leżała tyłem do Johna, z pupą przyklejoną do jego brzucha, z udami przyciśniętymi do jego ud. Obejmował mocno i ją, i Kevina. Mając go tak blisko, czuła się bezpieczna i chroniona.

Była zadowolona, że rewolwer pozostaje poza jego zasięgiem. Nienawidziła broni. Twarz Bamy stanowiła ponure memento. Nigdy sama nie wystrzeliła, choć Matt wielokrotnie ofiarowywał się, że nauczy ją tej sztuki. Ale nie zawaha się zabić, jeśli trzeba będzie ocalić Kevina albo Johna.

Poruszali się bezszelestnie po domu już co najmniej pięć minut, wciąż nie wiedząc, czy ich ofiara właśnie tu się schroniła. Przemierzali ukradkiem pokoje, ale nie sposób było stwierdzić, czy ktoś w nich ostatnio przebywał. Gdyby użyli latarki, może znaleźliby jakieś osobiste drobiazgi potwierdzające ich domysły, ale obawiali się, że zdradzą w ten sposób swoją obecność.

Strawili jeszcze kilka następnych minut na bezowocnych poszukiwaniach i wreszcie jeden odwrócił się do drugiego, przesadnie wzruszając ramionami. Tamten pokazał gestem, że powinni skierować się do sypialni; jeśli ktoś był w tym domu, to o tej porze najprawdopodobniej właśnie tam się znajdował.

Ruszyli jeden za drugim przez hol. Troje drzwi prowadziło do dalszych pokoi. Doszli do pierwszych i już mieli je otworzyć, gdy pierwszy potknął się o coś i ledwie zdołał utrzymać równowagę. Ukląkł i podniósł jakiś przedmiot.

Pluszowy miś.

Pokazał go swemu partnerowi. Uśmiechnęli się do siebie.

Pierwszy wskazał lekko uchylone drzwi po przeciwnej stronie holu. Drugi kiwnął aprobująco głową.

Kendall wsunęła do otworu automatu odpowiednią liczbę monet. Uzyskała połączenie międzymiastowe i aparat po drugiej stronie linii zaczął dzwonić. Ścisnęła słuchawkę spoczną dłonią.

- Bristol i Mathers - usłyszała po drugim dzwonku głos Ricki Sue.

- To ja, ale nie daj tego po sobie poznać. Możesz mówić?

- Jezusie święty, żyjesz! Byłam chora ze zmartwienia. Świetnie mnie odchudziłaś, jak nic dotąd w życiu.

- Wiedziałam, że się martwisz, ale nie mogłam wcześniej ryzykować telefonu. Teraz też nie powinnam.

- Naprawdę porwałaś szeryfa Stanów Zjednoczonych? - zapytała Ricki Sue cicho, ale z naciskiem.

- W pewnym sensie.

- Co to ma znaczyć? Porwałaś czy nie? I gdzie, do diabła, jesteś?

- Nie powiem ci tego ze względu na twoje bezpieczeństwo. Nie możemy też długo rozmawiać. Telefon jest prawdopodobnie na podsłuchu.

- Jestem o tym przekonana. Sheridan aż się roi od agentów federalnych i wszyscy szukają ciebie, dziecinko. Kendall nie była zdziwiona. Niemniej, usłyszawszy na własne uszy potwierdzenie swych obaw, zupełnie upadła na

uchu. - Byli także u nas kilka razy - mówiła Ricki Sue. - Wgryzali się we wszystko, co dotyczy Kendall Deaton.

- O mój Boże!

- Zostawili nawet paru facetów w domu babci.

- W domu? - Kendall zrobiło się niedobrze; babcia nienawidziła, gdy ktoś naruszał jej prywatność. - Głupio i niepotrzebnie. Wiadomo, że to pierwsze miejsce, gdzie będą mnie szukać, więc nie pojawiłabym się tam nawet w pobliżu.

- Nie tylko fedszi założyli, że się tu zjawisz. Ostatniej nocy włamali się tam dwaj mężczyźni, najwyraźniej szukając ciebie. - Dwaj mężczyźni? Co za jedni?

- FBI zastawiło pułapkę, ale bez powodzenia. Tamci uciekli, zanim ich rozpoznano. Biegli do samochodu pod gradem kul, który by nieboszczyka podniósł do góry, ale wygląda na to, że uszli cało.

- Ale kto ...

- Tylko nie wpadnij w panikę, dziecinko, ale to mógł być twój mężulek ze swoim tatusiem.

- Siedzą w więzieniu - zaprotestowała Kendall słabym głosem.

- Już nie. Uciekli trzy dni temu.

Kendall natychmiast się rozłączyła, nadal jednak trzymała obie ręce jak przyklejone na słuchawce, jakby linia telefoniczna łączyła ją z życiem. Bała się odwrócić, obawiając się, że Gibb i Matt ją obserwują, uśmiechając się z zadowoleniem do siebie.

- Przepraszam, czy pani już skończyła?

Wzdrygnęła się mimowolnie i szybko zerknęła przez ramię.

Przed budką czekał zniecierpliwiony mężczyzna w stroju do baseballu.

- Och, przepraszam pana.

Odeszła ze spuszczoną głową. Nie zauważyła niczego podejrzanego w otoczeniu stacji obsługi. Ktoś tankował bennzynę, a inny klient wsuwał monety do otworu automatu z paapierosami. Dwóch mechaników stało pod samochodem ustaawionym na podnośniku hydraulicznym i rozmawiało z jego właścicielem. Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na panienkę w džinsach i tenisówkach. Najwyraźniej nie przypominała obrońcy z urzędu, Kendall Burnwood, za którą rozesłano listy gończe.

Policja całego Południa szukała auta, którym Kendall wydoostała się ze Stephenville. Ruchomy cel na drodze. Podejmowała ogromne ryzyko, ilekroć do niego wsiadała; musi się jeszcze wiele nauczyć o tym, jak się odbywa polowanie na człowieka i jak łatwo można dać się złapać.

Pośpieszyła do wozu. Przede wszystkim musi jak najszybciej zmienić tablice rejestracyjne. Gorąco we wnętrzu odbierało oddech, mimo to drżała wjeżdżając na autostradę prowadzącą do domu.

Domu?

Tak. Dla niej i dla babci był to dom, taki sam jak ten w Sheridan. Dziadek odziedziczył go po swoim wuju. Nie zdążył się nim zbyt nacieszyć, umarł wkrótce potem, ale Kendall i babcia przyjeżdżały tu każdego lata.

Ledwie ogłoszono w szkole ostatni dzień zajęć, jechały na wieś i spędzały tam leniwie dni pełne błogiego spokoju. Wędtkowały, robiły przetwory z owoców kupowanych na przydrożnych straganach lub po prostu leniuchowały, ciesząc się własnym towarzystwem. Czytały na głos wieczorami, splatały wianki ze stokrotek, siedząc na ganku, i urządzały sobie pikniki w ulubionym miejscu przy wodospadzie.

Nigdy nie przyjmowały gości. Nikt nigdy nie został zaproszony, by do nich dołączyć. Przyjaciele wiedzieli, że obie opuszczą Sheridan w czerwcu i wrócą dopiero po Labor Day, jednak żaden z nich nie wiedział, gdzie się znajduje ich saamotnia. Dlatego właśnie Kendall uznała ten dom za bezpieczną kryjówkę.

Ale teraz, kiedy Gibb i Matt byli na wolności, w jakim miejscu mogła się czuć bezpieczna?

Pepperdyne musi szaleć. Zniknął mu świadek i jego przyjaciel, John McGrath, a teraz również główni podejrzani. Agent specjalny zrobił na Kendall wrażenie całkiem miłego człowieka, choć na pozór gburowatego. Nie mogła mieć pretensji, że wykonywał to, co do niego należało. Ale też postara się ze wszystkich sił, żeby nie złapał jej ponownie.

Z drugiej strony wolała, żeby Pepperdyne ją aresztował, niż żeby Gibb i Matt ją znaleźli. A znajdą na pewno. Przeżyje tylko wtedy, jeśli uda się jej trzymać od nich z daleka, dopóki ich nie złapią i nie osadzą z powrotem w więzieniu. Musi odejść z Kevinem jeszcze dzisiejszej nocy.

Ale co z Johnem?

Wciąż chodził o kuli, choć właściwie był całkiem zdrowy.

Mogła go z czystym sumieniem zostawić. Problem polegał na tym, że tego nie chciała.

Kochała go. Czyż jednak nie był to dodatkowy powód, by go opuścić? Dopóki z nią przebywał, jemu także groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie pozwoliliby Burnwoodom położyć łapy na niej ani na Kevinie, zwłaszcza teraz, gdy przywiązywał się do nich z każdym dniem mocniej. Nie może dopuścić, by zginął w ich obronie. Nie mieli przed sobą wspólnej przyszłości, ale skoro ma spędzić resztę życia bez niego, chciałyby przynajmniej mieć świadomość, że nie umarł.

Co powinna zrobić? Oddać się w ręce policji?

Natychmiast odrzuciła tę myśl. Ricki Sue powiedziała, że agenci FBI odwiedzili biuro i grzebali w jej przeszłości. Jeśli coś znaleźli, jej wiarygodność legła w gruzach. Zostanie uznana za świadka, na którym nie można polegać, jaki więc będą mieli z niej pożytek? Na dodatek mogą ją oskarżyć o porwanie Johna i wsadzić do więzienia. Albo zostawia ją bez żadnej ochrony na łaskę Matta, Gibba i ich popleczników.

Jedynym wyjściem to znów zniknąć. Wyrzucała sobie, że zostawiła Kevina z Johnem. Gdyby miała dziecko przy sobie, po prostu pojechałaby dalej. Serce jej się rozdzierało na strzępy na myśl, że miałyby go tak zostawić, nawet bez spojrzenia na pożegnanie, ale jeszcze ciężiej jej będzie odejść, gdy zobaczy Johna znów.

Jednak musi.

- Kto spieprzył sprawę?

Agenci milczeli pod bezlitosnym wzrokiem swego zwierzchnika. Ledwie śmieli oddychać.

- No?! - Od wrzasku Pepperdyne'a zadrżały szyby w oknach posterunku policji w Sheridan, gdzie założył swoją kwaterę główną po wyjeździe z Prosper.

- Mieliśmy oko na dom od czasu, gdy zniknęła, ale nic się nie wydarzyło - odważył się wreszcie przemówić jeden z dwóch wywiadowców, którzy brali udział w wydarzeniach tej nocy.

- Więc?

- Więc dlatego ... hm ... spieprzyliśmy - dokończył niezręcznie.

- Poza tym - wtrącił drugi bojaźliwie - nie celowaliśmy zbyt dokładnie w obawie, że to pani Burnwood. Albo szeryf McGrath.

- Właśnie - zawtórował mu pierwszy, ciesząc się z tego mizernego pretekstu. - A gdyby to byli naprawdę oni i w dodatku z dzieckiem?

- Taa, na pewno to byli właśnie oni. Albo Czerwony Kappturek z Wilkiem. Tego nie wiemy, prawda? Zdaje się, że nie zidentyfikowaliście napastników. Nie macie nawet marki ich samochodu.

- To nie była pani Burnwood - oświadczył kategorycznie jeden z wywiadowców. - Zdecydowanie dwaj mężczyźni.

- Dwaj mężczyźni. To znacznie zawężyło pole poszukiwań.

Możliwe, że Batman i Robin. - Pepperdyne odetchnął głęboko, wypuszczając wraz z powietrzem strumień nieprzyzwoitych wyrazów. - Spędzicie teraz obaj godzinę na strzelnicy, położonej w najgorętszym i najbardziej wystawionym na działanie słońca miejscu tego hrabstwa. Postrzelacie sobie, aż się wam zacznie dymić z rączek. Bo ostatniej nocy nie wcelowalibyście nawet w dupę słońca.

Jeden z agentów nieostrożnie pozwolił sobie na uśmiešek.

- Śmieszne, tak?! - zaryczał Pepperdyne. - Zostaniecie tam dwie godziny! I wynocha, zanim się naprawdę wkurwie!

Wyszli gęsiego, zamykając za sobą drzwi. Zostawszy sam, Pepperdyne opadł na krzesło i przeciągnął dłońmi po twarzy. Optymizm, jakim napełniło go zidentyfikowanie samochodu, którym Kendall odjechała ze Stephenville, zgasł.

Nieźle dawało mu to wszystko popalić - od początku, od momentu, kiedy mylnie założyli, że mają wirusa w komputerze. Gdyby operator nie zlekceważył uzyskanych informacji, Ruthie Fordham wciąż by żyła, a Kendall Burnwood nie zniknęła wraz z Johnem. Kiedy udało im się odkryć błąd w rozumowaaniu i rozwikłać zagadkę sprzecznych danych, McGrath zmierzał już ku swemu przeznaczeniu. Nie udało im się skontaktować z nim przez telefon komórkowy. A potem wpadł na zwalone drzewo i stracił pamięć.

Jezu, co za paskudny splot okoliczności.

Ucieczka Burnwoodów z więzienia w Prosper to następna katastrofa. Musiał odnaleźć Johna i Kendall Burnwood przed tymi maniakami. Mogło nie pójść łatwo. Ukrywała się w Denver przez rok, zanim wpadli na jej ślad.

Nie była na tyle głupia, aby wracać do rodzinnego miasta, ale najwyraźniej ktoś założył, że tak będzie, skoro szukano jej w domu babki zeszłej nocy.

Wiadomość o wczorajszej ucieczce włamywaczy zaniepokoiła i zdenerwowała Pepperdyne'a; był przekonany, że to Gibb i Matt Burnwoodowie.

Spojrzał na leżącą przed nim fotografię Kendall Burnwood, którą rozesłano po całym kraju. Potem zerknął na zdjęcia z miejsca zbrodni, które przyniesiono godzinę temu. Żołądek mu się skręcił na widok nagiego, skrwawionego ciała Lottie Lynam.

- Dziewczyno, możesz mieć tylko nadzieję, że znajdę cię przed nim i jego tatusiem - mruknął.

I co, do cholery, robił przez cały ten czas John?

Rozdział trzydziesty piąty

Stojąc przed frontowymi drzwiami, John patrzył, jak samoochód Kendall znika z zasięgu wzroku, a potem pokuśtykał do sypialni, gdzie w kojcu leżał na plecach Kevin.

- Słuchaj, mam naprawdę mało czasu, więc musisz ze mną ściśle współpracować, dobrze? Nie będzie ci tu źle samemu, a ja niedługo wrócę. Leż spokojnie, dopóki nie przyjdę z powrotem. - Zawahał się, jakby oczekiwał, że dziecko zacznie się z nim spierać.

Kevin zamachał piąstkami i wypuścił parę banieczek śliny, wcale nie okazując niezadowolenia z faktu, że zostanie sam. - W takim razie w porządku - stwierdził John i wyszedł. Doszedł do polany i zatrzymał się. Wydało mu się, że słyszy jakiś hałas. Jakby się coś dusiło? Jakiś skowyt? Przyszły mu do głowy rozmaite przerażające możliwości. Ogień. Dzikie zwierzęta. Insekty.

- Cholera!

Musiał powtórzyć wszystkie te kroki, które właśnie dał o kuli.

- Dobra, chłopie. Mam nadzieję, że dasz radę. - I dodał cichutko sam do siebie: - Mam nadzieję, że ja dam radę. Ćwiczył na ramiona nosidełko, którego Kendall używała czasem nosząc synka, oparł kule o kojec i balansując na jednej nodze pochylił się, by wyjąć Kevina. - No tak, tak,

kupa zabawy - mruknał, kiedy dziecko zagulgotało radośnie. Usaadowił je wygodnie, wziął kule i ponownie wyruszył z doomu. - Ani słowa matce, rozumiesz? Zdolna dziewczynka z tej twojej matki. Zabrała mi znowu broń, nie mogę więc w nią wycelować i zażądać, żeby nas stąd wywiozła. Sam bym mógł poprowadzić, ale jak wrócę, już jej nie zastanę. - Spojrzał w dół na Kevina. - Ty pewnie nie wiesz, gdzie go schowała, co? Jest za cwana, żeby to wyrzucić, ale za cholere .. o, przepraszam, za nic nie mogę go znaleźć. Wywróciłem ten chraaniony dom do góry nogami ...

Szybko pokonał dystans dzielący go od głównej drogi i przyystanął, żeby złapać oddech. Ociekał potem; krople kapały mu z czoła, zalewając szczypiącą wilgocią oczy. Trudno mu było otrzeć je rękawem; obiema rękami musiał przytrzymywać kule. Wiedział, że decyduje się na wymagającą ogromnego wysiłku eskapadę, ale nie wziął pod uwagę konieczności dźwignania piętnastu dodatkowych funtów - bo tyle ważył Kevin.

Odpocząwszy ruszył szybko w stronę domu, który zauważył tego dnia, kiedy pojechał do miasta z Kendall.

- Coś ci powiem: twoja matka jest za cwana i obraca się to przeciwko niej - oświadczył z rozdrażnieniem. - Powinna mi oddać rewolwer. Na pewno lepiej od niej wiem, jak się nim posłużyć w razie potrzeby.

Mówienie do dziecka pomagało mu nie myśleć o tym, czy jego karkołomna ekspedycja się powiedzie. Oddychał z coraz większym trudem; nie odzyskał jeszcze dostatecznie sił, by podejmować większy wysiłek. Popołudnie było parne i gorące. Wykorzystywał każdy skrawek cienia, jaki ofiarowało pobocze drogi, ale nie przynosiło mu to większej ulgi:

Musiał wrócić przed nią do domu, a nie miał pojęcia, jak szybko pozalátwia swoje sprawy. Kiedy z nią jechał do miasta, oszacował odległość od domu na mniej więcej dwanaście mil i dał sobie pół godziny na sprowadzenie pomocy.

Ale szedł zbyt powoli, nie był w formie. Jeśli będzie miał szczęście, może jakiś samochód podwiezie go do najbliższego telefonu. Sześćdziesiąt sekund - tyle potrzebował, żeby zadzwonić. .

Spojrzał na zegarek. Od jej wyjazdu upłynęło siedem minut.

Mięśnie ramion i pleców paliły go żywym ogniem od wysiłku, mimo to zmusił się, by iść szybciej. Wspiął się na wzniesienie drogi i w nagrodę za wytężoną pracę zobaczył dom, o który mu chodziło. Ćwierć mili, może mniej. Trudno było ocenić odległość - fale rozgrzanego powietrza zniekształcały krajobraz.

- Jeśli się naprawdę sprężę, dojdę w cztery minuty - zapewnił Kevina. - Góra w pięć. Cholera, gadam jak wariat do kogoś, kto prawdopodobnie wcale mnie nie rozumie. Może jestem w śpiączce i znów mnie męczy ten piekielny koszmar? To musi być to. Śniesz mi się. O ... ! - roześmiał się. - Siusiasz na mnie, tak? - Gorący strumyczek spływał mu po piersi. - No, jest to jakiś sposób, żebym się przekonał o twojej realności.

Ten monolog pomagał mu odwrócić uwagę od odmawiającego posłuszeństwa mięśni, straszliwego gorąca i odległości, jaką musiał jeszcze pokonać. Poczul ogromną ulgę, gdy dotarł do podjazdu. Wdrapanie się pod dom omal go nie zabiło. Dotarł na ganek i opadł na podłogę.

- Halo! - zawołał, opierając plecy o słupek. Ale z jego gardła wydobył się jedynie głuchy skrzek. Odetchnął kilka razy głęboko, przełknął z wysiłkiem ślinę i spróbował znowu: - Halo!

Kevin rozplakał się.

- Szsz ... Nie na ciebie krzyczę. - Poklepał go uspokajająco po pupce. Dziecko przestało kwilić, ale widać było, że jest w kiepskim nastroju. Usteczka mu się wygięły w podkówkę, w oczach zbierały łzy. - Wiem, jak się czujesz, stary. Sam bym zapłakał.

Przyjrzał się baczniej domowi i stało się dla niego oczywiste, że jest nie zamieszkały od dłuższego czasu. Kwiaty w doniczkach na ganku zamieniły się w bezlistne brązowe kikuty. Żaluzje we wszystkich oknach były opuszczone: Pajaki założyły sieci w rogach ościeżnicy.

Co teraz? Ubranie ma mokre od potu. Odwodni się, zanim wróci. A dziecko ...

Jezus Chrystus! Skoro jemu jest gorąco i czuje się wysuszony, to samo dzieje się z Kevinem. Przypomniało mu się, że podobno dzieci mają wyższą niż dorośli temperaturę ciała. Przyłożył dłoń do czoła chłopczyka. Jeśli jemu było gorąco, to Kevin płonał.

Zszokowany, wsunął jedną kulę pod ramię i opierając się na niej stanął ciężko na nogi. Posłużwszy się doniczką, zbił szybkę we frontowych drzwiach, sięgnął ręką do środka i otworzył zamek, a potem drzwi.

Nie dbał o to, czy ktoś zawiadomi lokalną policję. Wiedział już, że nie jest zbiegiem, który popełnił zbrodnię, i nie miał nic przeciwko temu, żeby go złapano. Przede wszystkim musiał wlać w siebie jakiś płyn. I w dziecko.

Dom nie był duży. Pokoi najwyraźniej nikt od dawna nie używał, znamiona opuszczenia były wyraźne. John przemierzał je pośpiesznie, ledwie zwracając uwagę na wyposażenie. Kiedy zlokalizował kuchnię, dopadł zlewu i odkręcił kran z zimną wodą. Nic.

- Kurwa!

Nagle rozległ się stukot, coś zagrzechotało, kran zaświstał i trysnęła woda. Na początku brudno rdzawa, potem czysta. Nabrał jej w stulone dłonie, podniósł do ust i chciwie przełknął. Zaczepnął znowu i rozlał po karku. Zwilżoną dłonią przesunął delikatnie po główce Kevina.

- Lepiej? Chłodniej? - zapytał, dotykając czerwonych policzków dziecka.

Ale maleństwo musiało się napić, a John uświadomił sobie nagle, że nie ma jak zaspokoić jego potrzeby. Kendall dawała czasem małemu sok albo trochę wody z buteleczki, tylko że on oczywiście nie pomyślał, by ją zabrać. W szafce stały różne szklane naczynia, ale Kevin mógłby się zakrztusić, gdyby próbował go z nich napoić. Dziecko umiało tylko ssać, więc ...

Jeszcze nie skończył tej myśli, a już trzymał wskazujący palec pod kranem. Przytknął ociekający wodą palec do ust Kevina. Chłopczyk natychmiast zaczął ssać. Było to nieznanne odczucie, przypominające o niepokój, ale mimo to poczuł się przedziwnie zadowolony.

- Niezupełnie jak mleko twojej matki, co mały - przemaawiał do dziecka, zwilżając ponownie palec i dając go Kevinowi do ssania.

Co by powiedzieli przyjaciele i znajomi, gdyby mogli zobaaczyć tę przedziwną scenkę? Pewnie nie wierzyliby własnym oczom.

A Lisa? Daj sobie spokój. Nazwała cię egoistycznym skurrwysynem, bo nie chciałeś dać jej dziecka. Unikałeś nawet rozmowy na ten temat.

Właśnie z tego powodu się rozstali.

- Mój biologiczny zegar pędzi do przodu - ogłosiła pewnego wieczoru.

- To go wyreguluj - zaproponował spoza gazety. Rzuciła w niego poduszką. Opuścił gazetę w przeczuciu, że zaraz złączą najważniejszą bitwę - Waterloo ich znajomości. Podnosiła ten temat już wcześniej, ale zawsze się wykręcał. Tym razem przypuściła bezpośredni atak.

- Chcę mieć dziecko, John. Z tobą.

- Czuję się zaszczycony, ale nie, dzięki. Nie zamierzam mieć dziecka. Nigdy nie chciałem. I nie będę chciał.

- Dlaczego nie?

- Ze zbyt wielu powodów, żeby je wyliczyć.

Usadowiła się wygodniej na krześle, przygotowując psychicznie do walki wręcz.

- Nigdzie mi się nie śpieszy. Chętnie wysłucham, jakie masz obiekcje.

- Przede wszystkim - oświadczył - jest to niemożliwe do zrealizowania. Oboje podróżujemy i rzadko bywamy w domu.

- Wezmę urlop w moich liniach lotniczych. Następna przeszkoda? - spytała irytująco beczelnym tonem.

- To, że ... - Omal nie powiedział, że jej nie kocha. Był przekonany, że dziecku powinno dać życie dwoje ludzi, którzy się kochają.

Sam nie zaznał szczęśliwego życia w pełnej rodzinie; nie skończył nawet dwóch lat, gdy dotknął go rozwód rodziców. Dopóki nie dorósł i nie stał się niezależny, przierzucali go między sobą - dwie wybitne indywidualności, którym przyysparzał kłopotów i przypominał o nieudanym związku małżeńskim. Oboje niestrudzenie rozwijali swoje budzące szacunek kariery. Ojciec dopracował się satysfakcjonującego dorobku w naukach humanistycznych i niekwestionowanej pozycji w Ivy League. Matka była wiceprezesem w firmie projektanckiej.

W pełnieniu ról rodzicielskich zawiedli natomiast żałośnie i całkowicie. Jego kontakt z nimi dzisiaj ograniczał się do konwencjonalnych telefonów w czasie świąt. Nie odczuwał ich obecności w swoim życiu, właściwie ich nie obchodził. Rzadkie rozmowy, jakie z nimi przeprowadzał, były bardzo grzeczne i chłodne. Zawadzał im od momentu, kiedy się urodził. Byli skoncentrowani wyłącznie na sobie i nie zmieniło się to przez czterdzieści trzy lata.

W konsekwencji jego stosunek do spraw związanych z uczuciami i życiem rodzinnym był zaprawiony złością. Wychowany w źle funkcjonującej rodzinie, nie potrafił utrzymać stałego związku, nie rozbudowano też w nim potrzeby ojcostwa. Raczej odwrotnie. Nie żywił nieprzyjaznych uczuć wobec dzieci; wręcz im współczuł. Zbyt często stawały się bezbronnymi ofiarami kiepskich rodziców. Skoro miał świadomość, jakim parszywym będzie ojcem, po co miał nim zostawać?

Podczas studiów psychologicznych zrozumiał, jak poważnie rodzice mogą zakłócić rozwój emocjonalny dziecka. Ze wspańskiego dzieciaka może wyrosnąć z ich winy nieprzystosowany dorosły w najlepszym wypadku, a wielokrotny morderca w najgorszym. Żeby popełnić błędy nie do odrobienia, nie muszą nawet dziecka poniżać czy traktować złośliwie, wystarczy, że będą egoistami. On sam nie był aż tak egoistycznie nastawiony, żeby zdecydować się na założenie rodziny z Lisą. Poważnie wątpił, by dotrwali razem do starości. Okazałby wyjątkową nieodpowiedzialność, dając życie dziecku po to, by je unieeszcześliwić. A do tego jeszcze ta wpadka, przez którą zrezygnował z pracy dla FBI...

Jakby czytając w jego myślach, Lisa zapytała:

- Czy to ma coś wspólnego z wydarzeniami w Nowym Meksyku?
- Nie.

- Myślę, że tak.

- Nie.

- Gdybyś ze mną o tym porozmawiał, na pewno poczułbyś się lepiej.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę mieć dziecka. Kropka. Koniec dyskusji.

- Ty egoistyczny skurwysynu!

Dała się przez kilka dni, zanim raczyła się znowu do niego odezwać. Nie dowierzał jej; bał się, że zajdzie w ciążę bez jego zgody, zaczął więc używać prezerwatywy i umówił się na zabieg podwiązania kanalików nasiennych. Zanim do tego doszło, wściekła się z powodu kondomów i odeszła. Zaraz potem wezwano go do Denver, żeby eskortował świadka do Karoliny Południowej.

Teraz poił niemowlę wodą, dając mu do ssania koniuszek palca. Trzy tygodnie temu, nawet zagrożony karą śmierci, nie zbliżyłby się do żadnego dziecka. Nie mówiąc o dotykaniu czy rozmawianiu. A już to, co robił w tej chwili, było absolutnie niewyobrażalne.

- Życie potrafi człowiekowi dopieprzyć, co, Kevin? Małeństwo sprawiało wrażenie całkiem zadowolonego. John spojrzął na zegarek. Cholera jasna! Dwadzieścia trzy minuty, odkąd wyjechała. Nie może dopuścić, by wróciła przed nim.

Dopóki wierzy w jego amnezję, ma nad nią przewagę. Jeśli odkryje, że wyszedł z domu w poszukiwaniu ...

Telefon!

Śpiesząc się, żeby napoić dziecko, zupełnie zapomniał, po co tu przyszedł. Zakręcił wodę i wrócił do pokoju dziennego. Był. Na brzegu

stolika stał staroświecki czarny telefon z tarczą. Roześmiał się głośno i podniósł słuchawkę. Głucho. Postukał w widełki, mając nadzieję, że aparat, tak jak kran, zaraz ożyje. Ale tym razem nie pomogło; tracił tylko czas.

Zamknął za sobą frontowe drzwi.

- Przepraszam za okno - powiedział pod nosem do nieobecny właściciela, zszedł po schodkach i podniósł zostawioną na ganku kulę.

Z powrotem przynajmniej miał iść z górki, ale upał obezwładniał, a pozbawione systematycznego treningu mięśnie boolały, były jak galareta, którą ktoś naszpikował gwoździami. Doszedł do końca podjazdu i oparłszy się o skrzynkę na listy, próbował głębokimi oddechami ugasić pożar w płucach. Już po kilku sekundach rozgrzany metal palił jego ramię jak żelazo do cechowania bydła.

Zostaw wiadomość w skrzynce, ty kretyński idioto!

Warto było pocierpieć, skoro wyzwoliło to sensowny pomysł.

Napisze notatkę w nocy, wysliznie się i wrzuci ją tu do skrzynki. Zaadresuje ją do listonosza i poprosi o powiadomienie władz. Poda swój telefon do biura i do Pepperdyne'a, gdyby listonosz chciał sprawdzić, czy to nie kawał. Zawiesi czerwoną flagę na skrzynce, tak że nie sposób będzie ją ominąć. Albo lepiej, złapie listonosza, kiedy będzie dokonywał porannego objazdu.

Rozważając ten plan, poczuł taki przypływ energii, że pokonał powrotną drogę do domu w czasie o połowę krótszym. Mimo to dochodząc do ganku usłyszał skrzęcający w aleję samochód.

Zostawił jedną kulę w pokoju dziennym i pokuśtykał do łazienki. Zamknął drzwi na klucz i oparł o nie głowę. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Sapał głośno jak lokomotywa. Ubranie miał mokre od potu. I śmierdział.

Jeśli Kendall zobaczy go w tym stanie, od razu domyśli się, że coś kombinował. Ręce mu drżały ze zmęczenia, mimo to wyjął Kevina z noosidełka i położył na macie na podłodze.

Wejdziemy razem, dobrze? - powiedział do małego. Włożył zatyczkę i puścił wodę. Usłyszał jej kroki na ganku.

- John ...

Zdarł z siebie ubranie i wcisnął je do kosza na brudną bieliznę. Potem zabrał się do Kevina. - John?

- Aha?

Kevin leżał wciąż w pieluszce.

- Gdzie jesteś?

- Kendall? - Rozwinął pieluszkę. - Już wróciłaś? Zanurzył się w wannie, uważając, by nie zamoczyć gipsu.

Trochę musiał się natrudzić, ale zdołał wsunąć głowę pod kran i dokładnie zmoczyć włosy. Potem sięgnął po gołego Kevina leżącego na łazienkowym dywaniku.

- Dobry z ciebie kumpel- wyszeptał opierając się o brzeg wanny .i kładąc sobie maleństwo na piersi. - Nigdy ci tego nie zapomnę, stary.

- John, co ty robisz? Gdzie jest Kevin?

- Co? Nie słyszę, Kendall! Woda leci.

- Gdzie jest Kevin?!

- Tutaj, ze mną. - Prysnał wodą na ciało dziecka; zaagruchało i z zadowoleniem zaplaskało piąstkami na piersi Johna.

- Z tobą?

- No tak. A gdzie miałyby być?

- Zamknęłaś drzwi na klucz? - spytała ruszywszy klamką.

- Oj, przepraszam.

- Otwórz.

- Siedzę w wannie. To spory wyczyn wleźć do niej i wyjść, jak się ma nogę w gipsie.

- Wchodzę.

Teraz już mogła. Słyszał panikę w jej głosie i zrozumiał, że nie ufała mu całkowicie, choć byli kochankami. I mądra była, że nie ufała. Gdyby miał możliwość, wydałby ją dzisiaj policji. Gdyby tamten dom był zamieszkały, telefon działał albo gdyby udało mu się zatrzymać jakiś samochód na drodze, federalni już by tu jechali.

Nie udało mu się dzisiaj, ale spróbuje jutro i pojutrze "dotąd, aż się uda. Bez broni, ze złamaną nogą, nie zdoła jej ochronić, jeśli członkowie Brotherhood się tu zjawią. Władze potrzebowały jej zeznań, by raz na zawsze unieszkodliwić Burnwoodów, a ona potrzebowała ochrony władz, inaczej nie miała najmniej szanych szans w starciu z Brotherhood. Zrobi to dla niej, choćby miała go za to znienawidzić.

Kendall otworzyła nieskomplikowany zamek szpilką do włosów, wpadła przez otwarte drzwi i zatrzymała się w miejscu zobaczywszy ich dwóch półleżących w wannie. Warto było na nich popatrzeć: noga Johna zwisała z boku wanny, a Kevin spoczywał na jego piersi - maleńki, delikatny, różowutki.

- Wróciłaś akurat na czas, żeby się do nas przyłączyć? - odezwał się z niewinnym uśmiechem. - Chociaż może być nam trochę ciasno. Nie zakreśliłabyś nam kranu? Chyba mamy już wystarczająco dużo wody.

- Co ty wyrabiasz? - zapytała piskliwym z przerażenia głosem, jakby w ogóle nie usłyszała jego gładkich zdaniek.

- Kąpię się - oznajmił z udanym zdumieniem.

- Z Kevinem?

- Dlaczego nie? Pomyślałem, że też z przyjemnością się ochłodzi.

- Kiedy weszłam, dom wyglądał na zupełnie opuszczony. Nie wiedziałam, gdzie jesteś, Kevina nie było w kojcu. Pomyślałam ... Sama nie wiem, co pomyślałam.

Usiadła ciężko na pokrywie sedesu. Była bliska łez, miała bladą twarz i poszarzałe wargi. Pochyliła głowę i zaczęła masować skronie. Była straszliwie zdenerwowana i John pomyślał, że chwilowe zniknięcie ich obu z zasięgu jej wzroku nie mogło być tego przyczyną.

Coś się wydarzyło w mieście.

Ale co? Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej przerażonej niż parę dni temu, kiedy obsmyczyła sobie włosy, żeby nie można było jej poznać. Musi się koniecznie dowiedzieć, o co chodzi. I skąd uzyskała informacje? Jaka wiadomość mogła tak nią wstrząsnąć?

- Proszę, nie strasz mnie więcej, John - powiedziała, opuszczając rękę na kolana i podnosząc głowę.

Sposób, w jaki na niego patrzyła, i jej drżący głos sprawiły, że poczuł się jak ostatnia świnia.

- Nie chciałem cię przestraszyć. - Zanim zmiękł całkiem, przypomniał sobie, że niezależnie od tego, jak wzruszająco wygląda z tą bladą twarzą i postrzępionymi włosami, jest kobietą, która popełniła dwa przestępstwa: dokonała uprowadzenia i uciekła, by nie składać zeznań.

Przysiągł wypełniać swoje obowiązki służbowe, zrobi więc, co konieczne, by ją oddać z powrotem władzom. Jego metody nie były zgodne z ogólnie przyjętymi zasadami, ale żaden podręcznik nie omawiał podobnej sytuacji. Robił, co mógł.

Nie prosił się o to zadanie. Zostało mu narzucone, najpierw przez Jima, a potem przez nią. Ukrywanie tego, że odzyskał pamięć, przywiązywanie się do dziecka i kochanie z Kendall należały w tym wypadku do jego obowiązków służbowych.

Brawo, McGrath. Przepowiedz to sobie jeszcze kilka razy, a zaczniesz w to wierzyć.

Rozdział trzydziesty szósty

Ricki Sue niecierpliwie szarpnęła oddartą skórę przy kciuku. Kiedy stary Bristol podszedł do jej biurka i dyskretnie poprosił, by z nim poszła, zachowywała się tak, jakby podobne wydarzenie było dla niej chlebem powszednim. Ignorując ciekawskie spojrzenia innych urzędników, kroczyła z wysoko uniesioną głową przez wyłożony wykładziną dywanową hol do pokoju konferencyjnego. Jej przewodnik otworzył przed nią masywne drzwi i powiedział:

- Proszę tu poczekać, panno Robb. Powinni zaraz nadejść. Aha, na pewno, pomyślała.

Czekała już pół godziny, a "oni" nie nadchodzili. Rzadko używany pokój konferencyjny sprawiał równie przyjemne wrażenie jak mauzoleum. Właściwie można by tu przechowywać mięso, tak w nim zimno, stwierdziła. Z połączonych ram spoglądały na nią surowe twarze zmarłych współwłaścicieli firmy posępne, wyniosłe, osadzające. Poczła przelotną chęć, żeby się do nich powykrzywiać, ale zaraz się rozmyśliła. Nie dałaby pięciu groszy, czy Bristol & Mathers nie podglądają swoich pracowników ukrytymi kamerami. W końcu przecież przyłapali Kendall, nie?

Nawet gdyby ją torturowano, nie przyznałaby się, że jest zdenerwowana. Agenci FBI wypytywali ją już wielokrotnie, dużo więcej razy niż kogokolwiek w firmie - najwyraźniej dobrze wiedzieli, że łączy ją zażyłe stosunki z Kendall. Nic im oczywiście nie powiedziała. I będzie dalej grać głupią, choćby jej mieli wpychać szpilki pod paznokcie.

Nagle rozwarły się drzwi i do sali konferencyjnej wszedł wstawić 289

- Zbyt lekko pani to bierze, panno Robb. Dowcipkuje sobie pani, robi erotyczne aluzje, a tymczasem pani Burnwood grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wydaje się też, że jest ona jedyną osobą na ziemi, która zna miejsce pobytu naszego zaginionego funkcjonariusza. Zamierzam znaleźć ich oboje, i pani mi w tym pomoże.

- Z jakiego powodu? - Prztyknęła palcami w akta. - Skoro sądzi pan, że wie wszystko, po co miałabym panu poomagać?

- Ponieważ uważa się pani za przyjaciółkę pani Burnwood, a ja mam wszelkie dane, by obawiać się, że nie pożyje ona już zbyt długo.

- Nie krępujcie się zacząć odgrywać dobrych gliniarzy w stosownym momencie - zwróciła się Ricki Sue do dwóch agentów, a potem spojrzała na Pepperdyne'a. - Bo pan ma być złym gliniarzem, tak? Chce mnie pan zastraszyć, żeby zmusić do mówienia. Nie dam się wpuścić w ten kanał. Myśli pan, że się wczoraj urodziłam? Tak się składa, że było to czternastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. No dobra, sześćdziesiątego, ale kto by tam liczył.

- Nadal pani uważa, że to dobra zabawa? - Oczy Peppperdyne'a zwęziły się. - Zapewniam panią, że nie. Pani przyyjiaciółka porwała szeryfa federalnego. Wnioskujemy, że go zabiła i ukryła zwłoki.

- W życiu by czegoś takiego nie zrobiła! - wykrzyknęła Ricki Sue.

- Zostawiła szeryf Fordham w tonącym samochodzie! - wrzasnął Pepperdyne.

- Ta kobieta już wtedy nie żyła! - wrzasnęła równie głośno Ricki Sue. - Gazety to podawały. Czytałam ten sam raport koronera, co pan, niech więc pan przestanie mnie wreszcie terroryzować. Moja przyjaciółka nie skrzywdziłaby nawet muchy. A co dopiero faceta ze złamaną nogą i cierpiącego na amnezję. Zresztą na pewno spodziewa się, że on ją w razie potrzeby obroni.

- W takim razie grozi jej większe niebezpieczeństwo, niż pani potrafi sobie wyobrazić. - Pepperdyne powiedział to zdumiewająco cicho, ale tak złowroźnie, że piegawate ramiona Ricki Sue pokryły się gęsią skórą. - Z kim jak kim, ale właśnie z Johnem McGrathem pani Burnwood nie powinna mieć nic do czynienia.

Ricki Sue obrzuciła obu agentów badawczym spojrzeniem, ale okazali się lojalni wobec szefa i zachowali niewzruszony spokój.

- Dwa lata temu - zaczął Pepperdyne - w jakiejś zakażonej dziurze w Nowym Meksyku, której nazwy nawet nie pamiętam, wtargnął rankiem do banku mężczyzna uzbrojony w dwa automaty i kupę zapasowych magazynków. Zażądał rozmowy z byłą żoną, kasjerką, chcąc ją przekonać, że jeśli do niego wróci, zaczną wszystko od nowa. Nie mógł wiedzieć, że zadzwoniła wcześniej, prosząc o dzień wolny z powodu choroby. Kiedy się o tym dowiedział, odbiło mu jeszcze bardziej. Co do cholery, nie ma jej? Ale on jest, uzbrojony po zęby, a skoro tak, będzie po prostu strzelać i nie przestanie, dopóki wszystkich nie powystrzela albo żona mu nie przebaczy.

Ricki Sue wypuściła powietrze wydętymi ustami, demonstrując znudzenie. Poprawiła się na krześle i westchnęła.

- Niezwykle fascynująca historia, panie Pepperdyne, ale ...

- Niech pani wreszcie zamilknie i słucha!

- Dobra, słucham. - Splotła ramiona na masywnym biurku. - Ale jeśli ten czas, spędzony poza biurkiem, policzą mi jako przerwę w pracy, wkurzę się naprawdę.

- W miarę upływu czasu położenie zakładników stawało się coraz trudniejsze - kontynuował Pepperdyne, puściwszy jej uwagę mimo uszu. - Miejscowa policja usiłowała z nim dyskutować, ale tylko go to podjarało i aż się palił do użycia broni. Postanowił udowodnić, że nie żartuje, zabił strażnika i wyrzucił jego ciało z pierwszego piętra. Wtedy właśnie zostałem wezwany. Przyleciałem razem z naszym najlepszym negocjatorem, Johnem McGrathem.

Ricki Sue popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak, Johnem McGrathem - powtórzył Pepperdyne. Ma doktorat z psychologii i kryminologii. Kiedy tam dotarliśmy, John grzecznie zaproponował temu świrowi, żeby porozmawiał z nim przez telefon. Złożył wszelkie obietnice, jakie czynimy w tego rodzaju sytuacjach, i mówił tak przekonująco, że uwierzyłem w naszą wygraną. Rozmawiał z nim także o żonie. Czy rzeczywiście sądzi, że odzyska jej uczucie, zachowując się w taki sposób? Czy przyjmie go z powrotem, jeśli dalej będzie zabijał? I tym podobne. Determinacja bandyty wyraźnie osłabła i zaczęliśmy mieć nadzieję, że więcej już nikt nie zginie.

Jedna z klientek miała ze sobą dwoje dzieci, niemowlę i dwuletniego szkraba. Zaczęły płakać, najpierw małe, potem dołączając braciszek. Ich płacz zdenerwował bandziora. Kazał matce, by je uciszyła. Robiła, co mogła, ale dzieci były zmęczone i głodne. I za maleńkie, aby rozumieć, na jakie niebezpieczeństwo się wystawiają. Kwiliły i płakały, a facet zagroził, że je zabije, jeśli się nie zamkną. Nie potrafię pani opisać naszych uczuć, kiedy słuchaliśmy płaczu dzieci i błagań matki, by je oszczędził. Nie wiem, jak John zdołał zachować pozory spokoju. Klnąc przestępowaliśmy z nogi na nogę, a on był nieewzruszony. Dał z siebie wszystko. Obiecał świrowi pieprzoną gwiazdkę z nieba, jeśli tylko wypuści matkę z dziećmi cało. Jego głos brzmiał hipnotycznie; równo i pewnie, choć był tak samo przerażony jak reszta. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby ktoś się tak pocił. Mało brakowało, a wyrwałby sobie wszystkie włosy z głowy podczas negocjacji. Cholernie chciał uratować te dzieci.

Przerwał. Ricki Sue wiedziała, że wrócił na powrót myślami w tamto miejsce. Przełknęła głośno ślinę.

- I co się stało?

- Zastrzelił ich jedno po drugim. Z zimną krwią, panno Robb. - Wzrok Pepperdyne'a wbijał ją w pokryte skórą krzesło. - Matkę. Niemowlę. Chłopczyka. Wykończył ich trzema precyzyjnymi strzałami. Na szczęście do akcji wkroczyła brygada specjalna i rozwalili faceta, niemniej przedtem zabił piękną młodą kobietę i jej dwoje dzieci. Wszyscy to oczywiście ciężko przeżyli, ale nie tak jak John. Patrzyłem, jak mój współpracownik i przyjaciel się wykańcza. W kilka miesięcy po tych wydarzeniach odszedł z FBI i zaczął pracować w biurze szeryfa. Do dziś dnia się za to obwinia. Uważa, że jego błąd kosztował młodego mężczyznę utratę rodziny. John nie mógł nic więcej zrobić; powiedzieć jeszcze czegoś, czego by nie powiedział. Nigdy przedtem nie przekonywał nikogo z taką siłą, choć jego trud spełził na niczym. Nie był w stanie ocalić tych trojga, mimo to poczucie winy nęka go do tej pory.

Zapadła grobowa cisza. Ricki Sue omal nie wyparowała pod palącym wzrokiem Pepperdyne'a. Wreszcie zapytała:

- Po co pan mi to opowiedział?

- Żeby zdała sobie pani sprawę, jak niemądrze zrobiła pani przyjaciółka, zabierając ze sobą Johna. Nie zdając sobie z tego sprawy, stąpa po bardzo grzaskiej ścieżce. John jest niezrównoważony emocjonalnie, gdy ma do czynienia z dzieć-

mi. - Pochylił się nad nią tak, że ich nosy prawie się zetknęły. - Łapiesz, o co mi chodzi, Ricki Sue? - spytał cicho, zapominając o oficjalnym tonie. - Pani Burnwood i jej synkowi grozi niebezpieczeństwo.

Nie odpowiadała, zachwycona wyrazem erotycznego zainteresowania, jakie dostrzegła w jego oczach. Nagle mrugnęła powiekami i odchyliła głowę do tyłu, odsuwając się od niego.

- Znowu robi mnie pan w jajo, ale to nie przejdzie.

- Robię ją w jajo? - zwrócił się o opinię do agentów.

Z powagą potrząsnęli przecząco głowami. Pepperdyne oddwrócił się z powrotem do niej.

- Niech mi pani wierzy, nawet jeśli John stracił pamięć po wypadku, nie pozbył się fobii w stosunku do dzieci. Zbyt głęboko jest to zakodowane w jego podświadomości. Dostaje hopla, jeśli się znajdzie w pobliżu dziecka. Powinna go pani widzieć podczas lotu z panią Burnwood z Denver do Dallas. Głupieje, gdy usłyszysz dziecięcy płacz.

- Skoro jest tak niezrównoważony, jak pan twierdzi, dla czego powierzył ich pan jego opiece?

- Bo nie przewidziałem wypadku ani tego, że zginie szeryf Fordham. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za ewentualne załamanie nerwowe Johna i popełnione przez niego w tym stanie czyny. Miałem dobre zamiary. Sądziłem, że opieka nad panią Burnwood i niemowlęciem będzie dla niego rodzajem terapii. Nie przewidziałem oczywiście jej głupiego postępku ...

a właściwie przestępstwa. Nie gwarantuję, czy już się nie załamał i czy ich nie zabił - rozłożył bezradnie raamIONa.

- Nie, całkiem dobrze się miewają. - Zorientowała się, że wpadła w pułapkę, i zaklęła pod nosem.

- Więc miała pani od niej wieści? - przypuścił błyskawicznie atak.

- Nie, nie miałam.

- Gdzie jest?

- Nie wiem.

- Nie czyni jej pani przysługi, zatajając miejsce ich pobytu.

- Przysięgam, że nie wiem, gdzie są. - Uświadomiła sobie, że mruga szybko oczami: widomy znak kłamstwa. - No więc dobrze, rozmawiałam z nią. Dziś rano. Zadzwoiła do biura, wiedząc, że to ja odbiorę. Powiedziała, że mają się dobrze, i przerwała połączenie. Trwało to parę sekund, bo obawiała się, że telefon jest na podsłuchu. - Przerwała, czekając, by zaprzeczył, ale on tylko na nią patrzył. - To prawda, tak? I prawdopodobnie mój domowy też! - Zerwała się na równe nogi. - Ty cholerny skurwysynu! Wiedziałeś, że do mnie dzwoniła, kiedy mnie o to pytałeś!

- Proszę usiąść.

- Odpieprz się.

- Proszę usiąść! - Popchnął ją z powrotem na krzesło.

Była wściekła, ale czuła również podniecenie. Wspaniale wyglądał, kiedy się rozzłościł.

- Jest pani jej najlepszą przyjaciółką. Musi się pani domyślać, gdzie jest.

- Podsłuchiwaliście. Wiecie, że ja o to pytałam, ale mi nie powiedziała.

- Ale musi się pani domyślać.

- Nie.

- Jeśli stwierdzę, że pani kłamie, oskarżę panią o współudział.

- O hoho ... Ale się przestraszyłam. - Uniosła w górę łokcie i wprawiła w ruch piersi, drżąc z udawanego strachu. - Ekstra.

- Naprawdę pan tak myśli? - Zachichotała i puściła oko do agentów. Pepperdyne wyglądał, jakby zamierzał ją udusić. Mogłoby być zabawnie, pomyślała. - Niech pan posłucha. Nie wiem nawet, gdzie mieszkała przez cały ten rok w Denver. Naprawdę. Przysięgam. Nie powiedziała tego ani mnie, ani babci, gdy jeszcze żyła. Dla naszego własnego bezpieczeństwa, jak się wyraziła. Nie chciała, byśmy musiały kłamać, jeśli ktoś zacznie jej szukać. - Obdarzyła Pepperdyne'a bezczelnym uśmiechem. - Niegłupio, jak się okazuje, co?

- Dużo mądrzej niż to, co pani robi. - Położył ręce na oparciu krzesła i pochylił się nad nią. - Jest w towarzystwie mężczyzny, który traci równowagę psychiczną, ilekroć usłyszy płaczące dziecko.

Sparodiowała dźwięk dzwonka, który rozlega się w kwizach telewizyjnych, gdy gracz udzieli błędnej odpowiedzi.

- Niech pan dalej próbuje. Gdyby ten wasz psychoanalitik był aż tak niezrównoważony, nie mógłby w ogóle pracować. Nie zrobi najmniejszej krzywdy ani jej, ani dziecku.

Utkwił w niej oskarżycielskie spojrzenie i nie odwracał go przez dłuższy czas.

-Może nie - oświadczył w końcu. - Ale nie tylko stan umysłu Johna stanowi problem. - Wyciągnął rękę i jeden z agentów położył mu szybko na dłoni kopertę, jak instrumentariuszka wręczająca chirurgowi skalpel. Wciąż nie spuszczając z Ricki Sue oczu, wyciągnął zdjęcie i podał je jej bez słowa.

Ricki Sue krzyknęła przeraźliwie. Gula rosła jej w gardle. Przycisnęła dłoń do ust. Na poblądziej twarzy ostro odcinały się piegi.

- To sprawka Gibba i Matta Burnwoodów. Była kochanką Matta i pomogła im uciec z więzienia. Rana jest głęboka ... omal nie odcięli jej głowy.

- Proszę! - wydyszała, unosząc do góry drżącą rękę.

- Proszę co? Przestać? Nie mówić nic więcej? - Podniósł głos. - Będę mówił, do cholery, jeśli w ten sposób wycisnę z pani jakieś informacje.

_ Powiedziała panu: nie wiem, gdzie jest Kendall! - Jej głos brzmiał piskliwie.

- Popelnia pani wielki bład, Ricki Sue. Ucieczka z więzienia to poważne przestępstwo. Nie wspominając już o gwałcie i morderstwie. Tak, pani Lynam została zgwałcona, zanim poderżnięto jej gardło. Mamy do czynienia z szaleńcami. Nic ich nie powstrzymamy. Nie mają już odwrotu. Ani nic do stracenia. Nie mogą żyć jak do tej pory i wiedzą o tym. Ale nawet szaleniec nie posuwa się do tak krańcowych czynów, jeśli nie został owładnięty myślą o misji, jaką ma do spełnienia. - Pochylił się nad nią jeszcze bardziej i wyszeptał: - Jak pani myśli, co nimi owładnęło?

- Znaleźć ... Chcą ją znaleźć.

- Właśnie - potwierdził ponuro.

- Czy to oni włamali się do domu babci?

- Tak przypuszczamy. Zatrważające, co?

- Są bardzo zawzięci?

_ Raczej zdeterminowani. W każdym razie Gibb, a Matt najwyraźniej robi, co mu ojciec powie.

Kiwnęła głową. Od początku miała takie wrażenie, a każdy szczegół małżeńskiego pożycia przyjaciółki, który jej zdradziła, tylko to potwierdzał.

- Idą na całość - powiedział Pepperdyne. - Nie obchodzi ich nawet to, że mogą zostać ujęci. Chcą na zawsze zamknąć usta osobie, która ogłosiła ich istnienie światu. Uważają, że ich zdradziła, że jest odszczepieńcem. Są oburzeni, że ośmieliła się zakwestionować ich racje i wystąpiła przeciwko nim. I jeszcze jedno: dopiero kilka dni temu Matt Burnwood dowiedział się o synu. Nie sędzę, by był zadowolony, że jego była żona utrzymywała to w sekrecie. - Uśmiechnął się blado. - Nie widziała pani dotąd dziecka, prawda? Ja tak. Trzymałem je nawet. Śliczny mały chłopaczek. Podobny do matki, pani najlepszej przyjaciółki.

- Dosyc - jęknęła Ricki Sue.

- W mojej pracy zetknąłem się z wieloma potwornymi zbrodniami - mówił Pepperdyne uprzejmym, rzeczowym tonem - ale muszę przyznać, że to, czego dowiedziałem się w ciągu ostatnich dni o Burnwoodach i Brotherhood, ścięło mi krew w żyłach. A dotknęliśmy dopiero czubka góry lodoowej. - Znow się pochylił, przybliżając do niej twarz. - Mogę sobie wyobrazić tych fanatyków dokonujących rytualnego morrdu na dziecku, by udowodnić, że są uświęconymi wybrańcami, stojącymi ponad prawem ustanowionym przez ludzi i przez Boga. Chce pani, żeby mały Kevin w ten sposób zakończył życie? - Podsunął jej pod oczy fotografię Lottie Lynam.

- Dosyc tego! - Wytrąciła mu fotografię z ręki i zaczęła podnosić się z krzesła.

Uniemożliwił jej to, kładąc ręce na ramionach.

- Jeśli pani wie, gdzie się ukrywa pani Burnwood, może jej pani uratować życie.

- Przysięgam, że nie wiem! - zawołała Ricki Sue i rozszlochała się.

- Niech pani pomyśli. Dokąd mogła pojechać?

- Nie wiem!

- Cóż, wspaniale. - Pepperdyne wyprostował się i westchnął głęboko. - Proszę mi nie ufać. Proszę mi nic nie mówić. Ale zachowując milczenie, naraża pani na śmiertelne niebezpieczeństwo tych dwoje, nie wspominając o szeryfie McGracie. - Położył służbową wizytówkę na stole. - Napiisałem na odwrocie numer telefonu, pod którym można mnie tu znaleźć. Mamy prowizoryczne biuro w tutejszej policji. Zawsze ktoś będzie powiadomiony, gdzie jestem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby pani Burnwood zadzwoniła, proszę jej powiedzieć, by się ujawniła. Proszę ją o to błagać. Zapewnimy jej ochronę.

- Zapewnicie jej ochronę? - Ricki Sue wytarła nos grzbieciem dłoni. - Taką jak do tej pory?

Przyniósł jej trochę satysfakcji ten pożegnalny strzał: Peppperdyne wypadł z pokoju z wściekłą miną.

Rozdział trzydziesty siódmy

- Mama jest wściekła jak osa. - Henry z ponurą miną odwiesił słuchawkę automatu telefonicznego i odwrócił się do brata.

Luther jadł burrito z fasoli i popijał wodą sodową. Z rozztargnieniem wyciągnął kawałek burrito w stronę Henry'ego. Jego uwagę pochłaniały trzy nastolatki, które wlewały benzynę do baku kabrioletu marki Mustang.

- Nie powinny ganiać tak do połowy nagie - oświadczył pociągając łyk wody. - Póldupki im wystają z tych krótkich szortów. A popatrz na tę skąpą górę. Ale jak facet taki jak ja odważy się spróbować tego, co pokazują, cholernie słono za to płaci. Lolitki! - utyskiwał.

Henry spojrział na dziewczęta, ale zbyt był przygnębiony, by docenić ich wdzięki. Właśnie dostał reprimendę od mamy, wcale nie mniej bolesną niż lanie, jakie ojciec mu spuszczał paskiem do ostrzenia brzytwy. Gryząca ironia mamy mogła człowieka nieźle posiniaczyć.

_ Luther, słyszałeś, co mówiłem? Mama jest na nas wkurzona.

Brat wepchnął sobie do ust ostatni olbrzymi kęs burrito, zmiął opakowanie i upuścił na ziemię.

- O co poszło?

- O to, co się stało ostatniej nocy.

- Skąd mogliśmy wiedzieć, że w domu starej czekają fedsy?

Według mnie cholernie sprytnie z naszej strony, żeśmy w ogóle dotarli aż do jej domu. Powiedziałaś to mamie?

_ Próbowałem. Ale nie jestem pewien, czy to do niej doszło.

Za głośno złorzeczyła. Przecież wiesz, że jak się już rozkręci i wpadnie we wściekłość, nie obchodzi jej, co mówisz.

Luther skinął głową. Dziewczęta właśnie przechodziły koło niego, żeby zapłacić za benzynę. Chichotały, całkowicie poograżone w rozmowie, i nie zaszczyliły go nawet spojrzeniem. Bogate panienki, które tatusiowie obdarowują nowiutkimi błyszczącymi samochodami na szesnaste urodziny, nie należały do jego świata. Patrzyły na niego, jakby był powietrzem. Śmieciem. Nienawidził tego.

- Powinni ustanowić jakieś prawo, żeby nie wolno im było tak trząść cyckami - zamruczał do siebie. - Jezu! Aż za cholernie dobrze wiedzą, jak to działa na faceta!

- Przestań się wreszcie onanizować i posłuchaj mnie! Pwrzasnął Henry.

Urodził się ledwie parę minut wcześniej od brata bliźniaka, ale grał rolę starszego. To on wszystko planował i on się zamartwiał. Nigdy się o to nie kłócili. Luther bez sprzeciwu poddał się jego przewodnictwu. Zresztą wolał nie brać na siebie odpowiedzialności, a po prostu robić, co mu kazano, obojętne, czy to się zgadzało z prawem czy nie. Do niego należało wykonawstwo, nie myślenie.

- Powiedziała, że nawet nasze dwa mózgi połączone razem to jeszcze za mało dla jednego - powtórzył Henry, wciąż przygnębiony połajanką rodzicielki. - Skończony głupek by tam nie poszedł, bo to pierwsze miejsce, gdzie wszyscy będą jej szukać.

- Powiem ci coś, Henry - oświadczył Luther. - Ale przyysięgnij na Boga, że nikomu nie powiesz, a na pewno nie mamie. - No co?

- Obsikałem sobie portki, jak te fedsy za nami lecieli i strzelali. W życiu się tak nie bałem.

- Ani ja. Zwyczajnie mieliśmy szczęście, inaczej już by nas zapudłowali.

Każda wzmianka o więzieniu przypominała im o Billym Joe i okropnym położeniu, w jakim się znalazł za sprawą kobiety, której szukali. Czasem ich zapał przygasał, ogarniało ich zmęczenie, nuda i zniechęcenie, ale wystarczyło wspomnieć braciszka zamkniętego za kratami z pedałstwem i świrami wszelkiego rodzaju i wszelkiego koloru skóry, zmuszonego spędzić resztę życia jako biedne dziwadło o jednym ramieniu, aby nienawiść ożyła, a solenne przyrzeczenia zemsty nabrały znowu mocy.

- Marnujemy czas, stercząc tutaj - oświadczył Henry. □ Jej ślad stygnie z każdą minutą.

- Zaraz wracam - Luther skierował się do wejścia. - Kupię sobie drugie burrito.

- Burrito, ty dupku. - Henry złapał brata za koszulę i pociągnął go do samochodu. - Chcesz sobie łąpnąć okiem na te panienki.

- A jest coś złego w patrzeniu?

Blisko godzinę krążyli po ulicach Sheridan w nadziei, że coś ich oświeci, dostarczy im jakiejś wskazówki co do ewentualnego miejsca ukrycia Kendall Burnwood, którym na pewno nie był położony na obrzeżach miasta w rzadko zaludnionej okolicy dom jej babci - przekonali się o tym nadto boleśnie ostatniej nocy. Nie sądzili, że tak trudno będzie ją znaleźć. Czuli zniechęcenie i tęsknili za domem. Mama, tam w Prosper, wściekała się, że zawalili sprawę. Jeśli szybko czegoś nie wymyślą, obedrze ich ze skóry, to pewne.

Po godzinie bezsensownego jeżdżenia Henry podjechał na parking przy sądzie.

- Co ty wyrabiasz, do cholery! - Luther rozejrzał się nerwowo. - Glin tu więcej niż much na padlinie.

- Nie przyjrzeni się nam ani samochodowi. W gazetach pisali o nie zidentyfikowanych sprawcach. Myśla, że to jakieś dzieciaki szukające sprzętu stereo, żeby go sprzedać paserowi i kupić narkotyki.

- Nic nie rozumiem. - Wyjaśnienie Henry'ego nie rozwiało wątpliwości Luthera. - Co my mamy tu do roboty? - Poobserwujemy sobie.

- Co poobserwujemy?

- Wszystko. Co tylko nam się uda zobaczyć. Na coś możemy trafić. Nie my jedni szukamy tej suki. Może ktoś nas do niej zaprowadzi.

Luther rozparł się na siedzeniu, odchylił głowę i zamknął oczy. Pogwizdując fałszywie przez zęby, zaczął snuć lubieżne fantazje, w których trzy nastolatki w szortach i skąpych bluzeczkach entuzjastycznie

spełniały wszelkie jego życzenia. Na chwilę nawet chyba się zdrzemnął, bo aż podskoczył, kiedy brat dał mu kuksańca w żebra.

- Rusz się. Idziemy.

- Dokąd? - Luther wyprostował się i ziewnął.

- Widzisz tych facetów, co tam przechodzą ulicę?

- Tych w ciemnych garniturach? - spytał Luther, patrząc w ślad za wskazującym palcem Henry'ego.

- Właśnie wyszli z sądu. Na kogo ci wyglądają?

- Fedsy, niech ja skonam.

- Uhm ...

- To nie tam pracowała Burnwoodowa? Ale im śpieszno.

- Właśnie. Tak sobie myślę, że to może być coś ważnego.

Wysiedli z samochodu i szybko poszli za agentami FBI, zmierzającymi do siedziby Bristol & Mathers. Próbowali już przedtem czegoś się tu dowiedzieć, ale amatorskie śledztwo w niczym im nie pomogło.

- Sa na górze - stwierdził Henry, gdy znaleźli się w hoolu. - Widzisz, gdzie się zatrzymała winda? Piąte piętro.

Kręcili się po holu, starając się nie rzucać zbyt w oczy, ale byli tak łądząco do siebie podobni, że wszyscy na nich zerkali. Luther szybko się znudził i zaczął narzekać, ale Henry nie chciał wyjść. Mniej więcej po półgodzinie ich wytrwałość została nagrodzona. Winda się otworzyła i wyszło z niej trzech mężczyzn. Byli wyraźnie ożywieni. Jeden z nich mówił równie szybko, jak szedł:

- Dalej twierdzą, że ona coś ukrywa. Bardziej przejmuje się tym, że mogłaby zdradzić przyjaciółkę, niż nami.

Tyle usłyszeli, nim tamci wyszli przez obrotowe oszklone drzwi. Wymienili spojrzenia.

- Jak myślisz, o czym oni gadali? - spytał Luther. Jakby w odpowiedzi na to pytanie, drzwi windy znów się otworzyły i do holu wmaszerowała duża kobieta z wielkim biustem i indiańskim totemem z rudych włosów na głowie. Miała podpuchnięte, czerwone oczy - najwyraźniej niedawno płakała. Nie zważając na Luthera i Henry'ego, przyłożyła chusteczkę higieniczną do nosa i głośno go wysiakała. Nie widziała ich po prostu; wzrok miała utkwiony w trójce mężczyzn kierujących się w stronę sądu. Wyszła na zewnątrz i pookazała ich plecom uniesiony środkowy palec. Nie mogli oczywiście dostrzec jej gestu, lecz samo jego wykonanie wyraźnie dało jej wiele satysfakcji.

- Co to za gruba dziewczucha?

- Nie wiem - odpowiedział Henry z namysłem - ale nie kochają się zbyt, ona i fedsy, co? A co mogło ich poróżnić, jak nie Kendall Burnwood?

- Co za obrzydliwa osoba! - Gibb zmiotł ze stolika do kawy w mieszkaniu Ricki Sue plik magazynów Playgirl. □ Plugastwo. Śmiecie. Dokładnie to, czego spodziewasz się w doomu prostytutki.

Matt zapatrzył się w czasopisma leżące na podłodze, ale nawet jeśli uznał je również za odrażające, nie okazał tego. Był obojętny i apatyczny od czasu, gdy opuścili motel, zostawiając w nim zwłoki zamordowanej Lottie.

- Ta kobieta jest krzykliwa i nieznośna. Bezustannie robi lubieżne aluzje. Pamiętasz, jak nas wprowadziła w zmieszanie podczas twojego wesela, synu?

- Tak, ojcze.

- Zupełnie nie nadaje się na przyjaciółkę żony Burnwooda.

- Nie, ojcze.

- Tylko że, jak się okazało, poślubiłeś zdrajczynię.

- Tak, ojcze.

Od kilku godzin przeszukiwali dom Ricki Sue, usiłując znaleźć jakąś wskazówkę co do miejsca pobytu Kendall. Opróżnili każdą szufladę, przeczytali każdy skrawek zapisanego czy zaadrukowanego papieru, obojętne czy dotyczył zwrotu nadpłaty podatku, pochodził z kalendarza, czy zawierał tylko podpis pod nadrukowanym okolicznościowym tekstem.

Jak dotąd nie odkryli nic ciekawego o Kendall, za to zyskali całkiem niezłe pojęcie o stylu życia Ricki Sue. Oprócz olbrzymich ilości środków służących do pielęgnacji urody miała bogatą kolekcję książek erotycznych i kaset wideo. W szufladach szafki przy łóżku odkryli ponadto kondomy w liczbie stosownej dla małej apteki. W różnych rozmiarach, kolorach i wzorach. Lubiła duszące, słodko pachnące perfumy i takie same płyny do kąpieli. Posiadała niezliczoną liczbę sztuk bielizny, w tym dwie pary rajstop z wycięciami w kroczu i flanelową koszulę do samej ziemi.

Szafki w kuchni wypełniały ciasteczka, chipsy ziemniaczane i dietetyczne napoje. W lodówce znaleźli mleko, cztery opakoowania mieszczące po sześć piw i słoje oliwek w zmętniałej zalewie. Nie była świetną gospodynią, ale nie to ich obchodziło. Przeszukali dokładnie całe mieszkanie, a teraz przetrząsali je ponownie, by się upewnić, że niczego nie pominęli.

- Sprawdzałeś pod łóżkiem? - spytał Gibb.

- Nie, ojcze.

Zrzucili pościel i przewrócili materace, ale rzeczywiście zaapomnieli zajrzeć pod łóżko. Matt uklęknął.

- Jest tu jakieś pudełko, ojcze.

- Co za pudełko? - ożywił się Gibb.

Matt wyciągnął zwyczajne kartonowe opakowanie po butach i podniósł zakurzoną pokrywkę. Stwierdził, że zawiera prywatne listy i kartki pocztowe, i pokazał je Gibbowi.

- Może jest tam w środku coś od Kendall - powiedział Gibb podekscytowany.
- Zabierzmy się do tego.

Wrócili do pokoju dziennego, żeby mieć więcej miejsca na rozłożenie korespondencji, nie zdążyli się jednak do tego zaabrać. Gibb uniósł rękę, dając znak, by syn zachował ciszę. Skradając się podszedł do okna wychodzącego na front budynku i wyjrzał przez nie ostrożnie.

- Jej samochód zbliża się do podjazdu - powiedział. Ogarnął pełnym obrzydzenia wzrokiem pornograficzne albumy, a potem powoli przeniósł spojrzenie na Matta. - Musimy skorzystać z okazji, Matthew. Zostaliśmy tu po to przysłani. Tak miało być. Inaczej po cóż by się zjawiała nieoczekiwanie w domu, na kilka godzin przed końcem pracy? Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Tak, ojczec. - Matt skinął głową, nie okazując zdziwienia.

Gibb nakazał mu, by ukrył się za drzwiami, a sam cofnął się do aneksu jadalnego, skąd mógł patrzeć na drzwi frontowe. Obaj utkwili wzrok w klamce, kiedy usłyszeli, że Ricki Sue wkłada klucz do zamka.

- Hej, rudasku! - zawołał ktoś z ulicy.

Sprawa przybrała niespodziewany obrót i Matt spojrzał na ojca, oczekując instrukcji. Gibb zerknął na zewnątrz przez listewki żaluzji, próbując stwierdzić, co się dzieje.

- A bo co? - Zostawiwszy klucz w zamku, Ricki Sue odwróciła się, by zobaczyć, kto do niej krzyczy. - Szukamy Sunset Street. Wiesz, gdzie to jest?

- Może tak, może nie.

- A nie przyszedłabyś do nas, żeby to ustalić?

Twarz Gibba stężała z wściekłości. Przeszył powietrze wskaazującym palcem, pokazując Mattowi, aby wyjrzał. Przy kraawężniku stało stare camaro. W środku siedzieli Henry i Luther Crookowie. .

- A cóż oni tu robią? - wyszeptał Matt.

Ricki Sue podeszła do nich wolnym krokiem. Pochyliła się przyoknie od strony kierowcy, żeby im objaśnić drogę. Flirtowała z nimi, a bliźniaków najwyraźniej oszołomiły obfitości jej figury.

- _ Robią to samo co my - odezwał się po chwili Gibb. -

Chcą zlokalizować Kendall z powodu Billy'ego Joe. Obwiniają ją za nieszczęśliwy wypadek, który go spotkał. Pragną zemsty i usiłują ją znaleźć, zanim władze to zrobią. - Prychnął i spojrział na Matta. - Tak samo jak my, synu. Tylko że nie mają do tego prawa jak my. Prawdopodobnie to właśnie oni wpadli w pułapkę FBI w domu jej babki. W gazetach spekulowano, czy to nie my. Jakbyśmy byli zdolni do takiej głupoty.

Matt słuchał, ze zrozumieniem kiwając głową.

Ricki Sue szerokimi gestami rąk uzupełniała wskazówki, jak dojechać do Sunset Street.

_ Chodźmy - powiedział Gibb, podchodząc do Matta i kładąc mu dłoń na ramieniu. - Pan musiał zmienić swe zamierzenia. Może czas nie był odpowiedni. Gdy nadejdzie, da nam znak. Zabierz ze sobą pudełko. - Poszedł do sypialni, przez okno której włamali się do mieszkania Ricki Sue.

Matt bez słowa podążył za nim.

Rozdział trzydziesty ósmy

- Jest rozmowa do pana. - Policjant z Sheridan wszedł do prowizorycznego biura Pepperdyne'a. - Powiedziała, że nie chce mówić z nikim innym. Na trzeciej linii.

Powiedziała? Pani Burnwood? Pepperdyne, poczuwszy przypływ nadziei, złapał słuchawkę i nacisnął mrugający guziczek.

- Tu Pepperdyne.

- Ty skurwysynu!

- Proszę...?

- Słyszałeś chyba. Ty pieprzony skurwysynu! To na początek. Zamierzam się przelecieć przez wszystkie znane mi przekleństwa w angielskim, i nie tylko w angielskim, żeby ci chociaż mniej więcej dać pojęcie, jakim odrażającym osobnikiem jesteś w moim mniemaniu.

- Mam to pojęcie, panno Robb - stwierdził z westchnieniem. - Może by mnie pani poinformowała, co sprowokowało ten obelżywy telefon.

- Dobrze wiesz, ty skurwielu pospolity!

Wrzeszczała tak głośno, że agenci siedzący w tym samym pokoju słyszeli jej głos ze słuchawki. Oderwali się od pracy i zerkali z ukosa na Pepperdyne'a. Większość prawdopodobnie żałowała, że brak im tupetu Ricki Sue.

- Te pieprzone palanty rozwaliły mi całe mieszkanie!

- Co za pieprzone palanty?

- Twoje pieprzone palanty. Przegrzebali mi wszystkie szuflady. Rozrzucili całą bieliznę po podłodze ...

- Chwileczkę. - Pepperdyne wyprostował się na krześle. - Splądrowano pani dom?

- Nie, twojej babci, ty Sherlocku.

- Uważa pani, że to moi ludzie?

- Nie rób ze mnie głupiej. Oni ...

- Za chwilę u pani będę. - Rozłączył się. Rzucając krótkie, ostre rozkazy, polecił dwóm swoim ludziom, by mu towarzyszyli, ściągnął szarpnięciem marynarkę z wieszaka i popędził do wyjścia.

Pięć minut później stawił czoło Ricki Sue stojącej w drzwiach frontowych. Trzęsła się z oburzenia tak gwałtownie, że nawet jej fryzura zaczynała się rozplątywać.

- FBI powinno pana skierować na przyśpieszony kurs dobrych manier, panie agencie specjalny. Najpierw wysyła pan zbrojeńców, którzy rujnują mi dom, a potem rzuca słuuchawką. Nie zapłacę złamanego centa więcej podatku, skoro tylko tyle potrafią pieprzeni fedsi ...

- To wcale nie moi zbrojeńcy zrujnowali pani dom ... Odsunął ją, wszedł do środka i zasypał Ricki Sue pytaniami: ~ Dokładnie tak to pani zastała? O której odkryła pani włamanie? Czy czegoś brakuje? Dotykała pani czegoś?

Dwaj agenci zaczęli chodzić po mieszkaniu, oceniając zniszczenia, ale starając się nie zatrzeć ewentualnych śladów, a Ricki Sue stanęła pośrodku pokoju dziennego, opierając zwinięte w pięści dłonie na szerokich biodrach.

- Nabija mnie pan w butelkę, Pepperdyne?

- Nie. Dostałaby pani nakaz, gdyby to miało być oficjalne przeszukanie. Postępujemy ściśle według litery prawa, zwłaszcza w tym przypadku, bo możemy trafić na sędziego z wodą zamiast mózgu albo niekoniecznie kierującego się etyką, który oddali oskarżenie z powodu technicznych uchybień. W każdym razie zapewniam panią, że nie zrobił tego żaden z moich ludzi, nikt z biura szeryfa ani z policji w Sheridan.

- Więc kto, do cholery?

- Nie wiem. Ale zamierzam się tego dowiedzieć - oświadczył zdecydowanym tonem. - Czy coś zginęło? .

- Nie zauważyłam, ale i nie sprawdzałam dokładnie. Kiedy weszłam i zobaczyłam cały ten bałagan, byłam tak wściekła, że nie rozejrzałam się dobrze przed telefonem do pana.

- Proszę więc teraz sprawdzić.

Zrobiła, o co prosił, a jeden z jego ludzi zadzwonił, by natychmiast przysłać speców z laboratorium kryminalistyki. Przyjechali i Ricki Sue przyglądała się bezradnie, jak jej dom jest wywracany do góry nogami po raz drugi dzisiaj, tym razem przez specjalistów poszukujących śladów tego, kto zapoczątkował dzieło zniszczenia.

- Niech pani przestanie, to nie jest taka sobie zwykła sprawa - powiedział Pepperdyne, kiedy zaczęła znów złorzeczyć. - Pracujemy nad przypadkiem podlegającym władzom federalnym, a pani z racji bliskich stosunków z Kendall Burnnwood odgrywa tu poważną rolę.

- To prawdopodobnie przypadkowe włamanie i nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie wierzy w to pani tak samo jak ja - powiedział domyślając się, że wybuch złości miał zamaskować narastający w niej lęk. Straciła wiele ze swej zawadiackości, i dobrze. Może wyjawi im ze strachu coś, co pozwoli ustalić miejsce pobytu pani Burnwood. - Ktokolwiek tu był, nie chciał nic ukraść. Nie zabrał niczego, co zwykle ginie w takich przypadkach: wideo, telewizora, sprzętu stereofonicznego. Szukał czegoś zupełnie innego.

- Na przykład?

- Na przykład wskazówki co do tego, gdzie przebywa pani Burnwood.

- W takim razie miał zasrane szczęście.

- Mogę się założyć, że nie zrobił tego jeden człowiek - drażył Pepperdyne, ignorując jej wulgarną uwagę. - Pani również jest o tym przekonana. Mówiąc o włamaniu, zawsze używała pani liczby mnogiej.

- Niech się pan tak nie podnieca, panie Pepperdyne. Mówię, co mi akurat przychodzi do głowy.

- Tylko że przychodzi pani do głowy z określonego powodu, prawda, panno Ricki Sue? O kimś pani myśli. Tak jak i ja. - Podejrzewa pan - zdenerwowana oblizwała wargi - że to Matt Burnwood z ojcem?

- Biorę pod uwagę tę możliwość.

- Nie, cholera! - jęknęła. - Nie chcę mieć nic do czynienia z tymi szurniętymi zbirami.

- Kiedy przyjechałem, określiła pani włamywaczy jako zbrodźców. Dlaczego? - spytał Pepperdyne. - Nie jest to takie oczywiste. Wyrzucili pani bieliznę z szuflad, ale wszyscy złodzieje tak robią, szukając cennych drobiazgów.

- Z innego powodu. - Wzięła go pod ramię i pociągnęła w stronę stolika do kawy. - Niech pan spojrzysz na te czasopisma.

Z rozkładówki Playgirl uśmiechał się uwodzicielsko nagi muskularny przystojniak.

- No, dobry bysio. I co z tego?

- Dobry, fakt. Więc po co to niszczyć, wbijając w zdjęcie obcas?

Pośrodku fotografii papier załamywał się promieniście, jakby rzeczywiście ktoś kręcił po nim obcasem.

- Może to niechcący?

- Nie sądzę. - Potrząsnęła rozluźnionym totemem z włosów na głowie. - Jest tego więcej. Naprawdę się wkurzyłam. Za tę książkę zapłaciłam pięćdziesiąt doków. Jedyna pamiątka, jaką przywiozłam sobie dwa lata temu z San Francisco - mówiła, prowadząc go za sofę.

Z półek zmieciono wszystkie książki i kasety wideo. Pepperrdyn e klęknął, żeby się dokładniej przyjrzeć. Album z erotycznymi fotografiami leżał otwarty na całostronicowym zdjęciu kochającej się pary. Papier wyglądał, jakby ktoś wytarł o książkę buty.

- Niezbyt bogobojna pozycja - zauważył Pepperdyne.

- Właśnie dlatego to najbardziej ekscytująca fotografia w całym albumie. Bóstwiak, mężczyzna moich marzeń. Ta jedna fotka warta była pięćdziesięciu doków.

- Kupię pani inny egzemplarz. Całą bibliotekę cholernie nieprzyzwoitych książek - zapewnił, wstając na nogi - byle mi tylko pani powiedziała, gdzie ona jest.

- Dobry ma pan słuch? Bo jak nie, będzie pan mi musiał czytać z warg: nie wiem! - Rozłożyła ramiona, ogarniając nimi nieład panujący w domu. - Ktokolwiek tu przetrzepał mi mieszkanie, szukając jakiegoś śladu, jest takim samym palantem, jak wy! Strzelacie do niewłaściwej bramki.

- Nie ma wątpliwości, to na pewno oni. Odciski pasują. Pepperdyne podziękował oficerowi, który przyniósł mu kopię protokołu, kiedy go tylko sporządzono, a potell} odwrócił się do kapitana policji.

- Słyszał pan. Gibb i Matt Burnwoodowie splądrowali dom panny Robb dzisiaj po południu. Są w mieście. Niech pan wezwie wszystkich swoich ludzi. Chcę dostać tych sukinnosynów. Dzisiaj. Zaraz. - Policjant odwrócił się, by wypełnić jego rozkaz, ale Pepperdyne zatrzymał go jeszcze i dodał: "To wyjątkowo groźni skurwysyni. Niech pan uprzedzi ludzi, by nie dali się zwieść gładkim manierom i przyzwoitej aparycji.

To fanatycy, głęboko przekonani, że Bóg ich wyświęcił. Zabijają każdego, kto stanie im na drodze. Niech pan ostrzeże ludzi, by zachowali największą ostrożność w ich pobliżu.

Policjant wyszedł, a Pepperdyne opadł ciężko na krzesło i przetarł dłońmi oczy. Nie mógł sobie pozwolić na luksus zmęczenia. Odkąd doniesiono mu o zaginięciu Johna, posypiał tylko czasem, łapiąc każdą minutę snu, kiedy mógł. Nie prześpi ani jednej nocy, dopóki nie znajdzie Johna i pani Burnwood, a Matta i Gibba Burnwoodów nie posadzi za kratami, każąc ich strzec w dzień i w nocy. Chyba że przedtem zginą.

Właściwie wypowiadał się tej rudowłosej jędzy - rzeczywiście czuł się odpowiedzialny za uwikłanie McGratha w cały ten bałagan. Myślał, że to się okaże dobrą terapią dla Johna, że czas spędzony z dzieckiem pani Burnwood naprawi szkody, jakie poniosła jego psychika w Nowym Meksyku. Tak właśnie myślał, pakując ich do samochodu. W najdzikszych fantazjach nie przewidziałby, że przez niego przyjdzie odegrać przyjacielowi znaczącą rolę w najbardziej przerażających wydarzeniach, z jakimi on sam dotychczas się zetknął.

Im więcej FBI dowiadywało się o Brotherhood, tym bardziej Pepperdyne obawiał się o Johna i panią Burnwood. Rytualne egzekucje i okaleczenia, hymny i sekretne hasła, morderstwa i tortury, przy których markiz de Sade sprawiał wrażenie amatora.

Z ociąganiem podniósł się na nogi i wyprostował pobolewaaający kręgosłup. Podeszedł do okna i wyjrzał na Sheridan. Zaaczynał zapadać zmierzch. W ciemnościach łatwiej będzie znaaleźć Burnwoodom kryjówkę i ujść pościgowi. Gdzieś tutaj byli ... ale gdzie?

Gdzieś tutaj była również pani Burnwood wraz z jego przyyjacielem, Johnem McGrathem. Nikt, choćby był tak sprytny jak ona, nie może zniknąć zupełnie bez śladu. Ktoś musiał ich widzieć. Gdzieś są.

- Gdzie, do diabła? - spytał na głos.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć poszukiwania.

Jedno wiedział absolutnie na pewno: jeśli Matt Burnwood odszuka była żonę przed władzami, nie będzie musiała się obawiać zeznać przed sądem.

Zostanie zabita.

Rozdział trzdziesty dziewiąty

_ ... umarła na AIDS, zanim jej sprawa weszła na wokandę. Umierała w cierpieniach, w nie najlepszych warunkach. Tej kobiecie zależało tylko na tym, by pożegnać się z dziećmi. Ale jej prośbę odrzucono. - Opowiadała Johnowi historię, którą zrelacjonowała także Gibbowi i Mattowi. W innym życiu, jak jej się zdawało. Bo było to inne życie, jakże odległe od małej sypialni w wiejskim domku babci w południowo-wschodnim Tennessee. - Ilekroć przegram jakąś sprawę, bardzo to przeżywam. Jakbym znów ją zawiodła.

_ I dlatego wybrałaś jedną z naj trudniejszych dróg w swoim zawodzie?

- Być może.

_ Rzeczywiście wzruszająca historia, ale myślę, że nie tylko o nią chodzi. Skłonność do angażowania się osobiście została w tobie wykształcona, zanim zetknęłaś się z tą chorą na AIDS kobietą, zanim nawet zostałam prawnikiem.

_ Dlaczego chcesz rozmawiać o moim życiu? - Uniosła głowę z jego ramienia, by spojrzeć mu prosto w twarz. - To takie ważne?

- Nic o tobie nie wiem. Pamiętam wyłącznie to, co się zdarzyło po tym, jak odzyskałem przytomność. Tak, dla mnie ważne.

Westchnawszy, położyła głowę z powrotem na jego ramieniu.

Prawdę mówiąc, wcale nie odczuwała takiej niechęci do rozmowy, jaką okazywała. Jego spokojny sposób bycia usposabiał do zwierzeń, a poza tym chciała, by ją zapamiętał. Potem.

- Co cię tak nakręca, Kendall?

- Kto mówi, że jestem nakręcona?

- Ej - powiedział karcąco - nie rób uników. Co się stało z twoimi rodzicami?

- Zginęli w katastrofie prywatnego samolotu, gdy lecieli na narty do Kolorado.

- Jacy byli?

- Niezwykle witalni. Pogodni. Oddani sobie nawzajem i mnie. Dwoje najcudowniejszych ludzi pod słońcem. Kochałam ich z całego serca.

- Umarli zbyt wcześnie, więc uznałaś, że musisz to odrobić, żyć w dwójnasób, także za nich. To cię napędza.

Znowu gwałtownie uniosła głowę.

- Ty co, odgrywasz psychiatrę? - zadrwiła, ale się me uśmiechnął.

- Dlaczego jesteś tak uparta i tak rygorystyczna wobec siebie, Kendall?

- Mówiłam ci ...

- Sięgnij głębiej.

- Świetnie, skoro masz ochotę bawić się w lekarza, mogę cię rozerwać. - Z rezygnacją wzięła głęboki oddech. - Tego ranka, gdy wylatywali do Kolorado, ojciec uściskawszy mnie na pożegnanie, powiedział: "Zobaczmy, czy do naszego powrotu uporządkujesz swój pokój tak, żebyśmy mogli być z ciebie dumni". Cóż, nigdy nie wrócili. Chyba wciąż próbuję sprawić, by mogli być ze mnie dumni.

- Skondensowane, ale wnikliwie.

- Dziękuję ci. Skoro tak, może byśmy się zajęli czymś bardziej relaksującym? Znam znacznie przyjemniejsze wersje zabawy w doktora.

- Nie uzyskasz akceptacji kogoś, kto nie żyje, Kendall. Nie musisz być zawsze najlepsza.

- Już to słyszałam.

- Od kogo?

- Od męża. - Spojrzał na nią przenikliwie i serce Kendall omal przestało bić. Panika w niej rosła, ale wiedziała, że musi coś powiedzieć, dać jakiegokolwiek naprędce wymyślane wyjaśnienie. - To znaczy, tak się zmieniłeś, że mam wrażenie, jakbyś był kimś innym, nie tym mężem, który mnie zdradził.

- Bo jestem kimś innym, prawda?

- Jesteś - zapewniła zdecydowanie. - Zmieniłeś się nawet, odkąd tu przyjechaliśmy~ Właściwie wcale nie przypominasz mężczyzny, którego poślubiłam. Jakby odpłynął ze złym snem, który miałam w innym czasie i w innym miejscu.

Patrzył jej w oczy przez dłuższy czas, nim wreszcie na nowo podjął rozmowę.

- Zaczęłaś kłamać po wypadku rodziców, tak?

- Nie kłamię.

- Nie ma nad czym dyskutować, Kendall. Jesteś w tym dobra.

- Gdybym była, nie podejrzewałbyś, że wszystko, co mówię, to kłamstwo.

- Nie wszystko. Ale wiele. Musiałaś całe lata trenować.

- Zawsze chciałam upiększać zdarzenia. Już jako dziecko ... ja nie kłamałam, przekształcałam rzeczywistość, żeby wyglądała przyjemniej. Zamiast mówić o rodzicach, którzy nie żyją, opowiadałam o dwojgu fascynujących ludziach i ich olśniewających karierach, wymagających przebywania poza domem. Jednego roku byli gwiazdami filmowymi, usiłującymi chronić mnie przed zepsuciem Hollywoodu. Drugiego badali Biegun Północny. Byli nawet misjonarzami działającymi za żelazną

kurtyną: w niedzielę nawracali zagubione owieczki, a w ciągu tygodnia wypełniali niebezpieczne zlecenia CIA.

- Co za wyobraźnia.

- Nie spotykała się z uznaniem nauczycieli - uśmiechnęła się. - Stale wpadałam w kłopoty z powodu tego, co nazywano kłamstwem, a co było tylko sposobem na upiększenie faktów, zmianę sytuacji, której inaczej nie byłabym w stanie znieść.

- A co z dorosłością? Upiększałaś fakty, gdy powstawała sytuacja, która trudno ci było znieść?

- Co masz na myśli? - zapytała podejrzliwie.

- Na przykład, gdyby twój mąż został dotknięty amnezją i nie pamiętał niczego o tobie ani waszym związku, czy zdołałabyś ukryć swoje prawdziwe uczucia wobec niego?

- Masz rację. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Trudno zliczyć, ile razy skłamałam. Zwykle po to, by. zmienić sytuację na lepszą. Ale czasem, przyznaję, tylko po to, żeby postawić na swoim. - Musnęła palcami jego włosy, rzęsy, wargi. □ Ale pewnych rzeczy nie da się ukryć. Miłość do nich należy. Nie mogłabym udąć, że cię kocham. Nawet cierpiąc na amneezję, wiedziałbyś o tym. Po prostu byś to czuł. - Przyłożyła jego rękę do swego serca i przytrzymała ją tam. - Kiedy odzyskasz pamięć, możesz zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło po wypadku. Także o czasie spędzonym tutaj, w tym domu. - Otoczyła jego twarz dłońmi. - Ale pamiętaj, że cię kochałam, kiedy byliśmy razem. - Przypieczętowała pocałunkiem to wyznanie.

Odpowiedział pocałunkiem i już nie oderwali od siebie ust.

Jego ręce zaczęły błądzić po zaokrąglonych krzywiznach jej' ciała. Jej zgięte kolano prowokująco dotknęło jego pachwiny. - Jeszcze - szepnął. Przyciskała lekko kolano do kędzierzawej gęstwiny, aż wyraźnie poczuła jego erekcję. Zaczęła masować naprężony, gładki seks. Całował jej ciało, odchylając je coraz bardziej, aż ułożył ją na plecach. Pieścił językiem i zębami skórę brzucha, pocierał brodą wzgórek łonowy. Głaskał jej uda, a potem rozdzielił je i zaczął ją całować. Owładnęły nią zupełnie oszłamiające doznania. Bez cienia wstydu czy skrępowania pozwoliła, by ją pochłonęły. Jego język sondował delikatnie, drażnił, trzepotał, aż zadrżała jak kryształ. Uniósł się, pocałował ją w usta i wszedł w nią. Kiedy poruuszyła biodrami, by go przyjąć, zamamrotał coś i zamknął oczy. Zanurzyła mu palce we włosy i mocno je zacisnęła.

- Otwórz oczy, John. Patrz na mnie - powiedziała cicho, ale z naleganiem. - Patrz na moją twarz. Zapamiętaj mnie.

Otworzył oczy, jak prosiła, i nie mógł powstrzymać głębookich, mocnych pchnięć. Wykrzyknął jej imię ochryłym, przeerywanym głosem i poddał się spazmowi, który rozkołysał cały świat.

Kiedy było po wszystkim, ogarnął ją ramionami, otulił sobą, skrywając płonąca twarz w wygięciu jej szyi.

Kendall długo trzymała go w objęciach i głaszcząc po głowie szeptała:

- Zapamiętaj mnie, John, zapamiętaj.

Rozdział czterdziesty

- Cześć - powiedział chudy blondyn, wślizgując się na miejsce za stołem naprzeciwko Ricki Sue.

- Odwal się.

- Niezbyt przyjazne powitanie. Nie pamiętasz mnie? Pytałem się z bratem o drogę dziś rano.

Ricki Sue siedziała samotnie od jakiejś pół godziny i popijała zdrowo, usiłując stępić wymowę gróźb, jakie usłyszała od Pepperdyne'a.

Jeśli coś strasznego przydarzy się pani Burnwood i jej dziecku, powiedział, ona będzie winna. Jeśli chce zobaczyć przyjaaciółkę żywą, powinna grać z nim uczciwie i wyznać wszystko, co wie. Jeśli zginą, nigdy nie uwolni się od wyrzutów sumienia. Ich życie zależy tylko od niej.

Mówił i mówił, roztaczając straszliwe perspektywy i w końcu ogarnęło ją pragnienie, by uciec od jego głosu. Kiedy wreszcie wyszedł, doznała uczucia klaustrofobii. W całym domu panoował bałagan; Pepperdyne obiecał przysłać następnego dnia ludzi, by jej pomogli usunąć proszek na odciski palców, ale nie była w stanie ani chwili dłużej patrzeć na obraz zniszczenia. Świadomość, że naruszono jej prywatność, że ktoś dotykał należących do niej rzeczy, wywołała rzadki u Ricki Sue stan niepewności. Poza tym, choć za nic nie przyznałaby się do tego Pepperdyne'owi, była zbyt przestraszona, by zostać w doomu sama.

Musiała wyjść. Dlatego znalazła się w tym barze. Rzadko tu przychodziła. Nie pragnęła towarzystwa dzisiejszego wieczoru, wolała więc unikać miejsc, gdzie z pewnością natknęłaby się na znajomych. Miała zamiar się upić. Sama. Kilku mężczyzn zwróciło na nią uwagę, ale zgasła ich zapraszające spojrzenia nieprzyjaznym wzrokiem. Żaden nie odważył się podejść.

Podniosła głowę i przyjrzała się uważnie mężczyźnie, który się do niej przysiadł. Rozpoznała go natychmiast i serce jej lekko podskoczyło. Wulgarna odprawa zgasła na jej ustach, nachmurzona mina przerodziła się w uśmiech.

- Znaleźliście Sunset Street?

- No. Dzięki tobie. Ale znajomy, co go szukaliśmy, wyniósł

się gdzieś z tego miasta. - Henry Crook wzruszył obojętnie ramionami. - No i dobra. Wędrujemy sobie trochę po świecie i pomyśleliśmy, że do niego wpadniemy.

- Gdzie twój brat?

- Ma na imię Luther. A ja Henry.

- Ricki Sue Robb.

- Śmiesznie nadziać się na siebie dwa razy w jeden dzień.

Jakieś przeznaczenie albo co?

- Na pewno - wdzięczyła się Ricki Sue.

Miał niesamowicie niebieskie oczy i piękne blond włosy. Nie był może orłem, ale co z tego? Pepperdyne ze swoją innteligencją był jak wielki wrzód na zadku. Zresztą czuła się gorsza w towarzystwie naprawdę inteligentnych facetów. Woolała już tych na równym z nią poziomie. Zwykle odstręczało ją od mężczyzny, jeśli się kiepsko wysławiał, ale żyłaści bliźniacy o wystających kościach mieli dla niej jakiś swoisty urok.

- Właśnie kończę drinka - zatrzepotała rzesami.

- Mogę ci postawić jeszcze jednego?

- Bardzo miło z twojej strony. Poproszę whiskey z wodą.

Złożył zamówienie przy barze, a potem odwrócił się i uśmiechnął nieśmiało, po chłopięcemu, aż jej się gardło ścisnęło. Nieśmiali mężczyźni zawsze ją ekscytowali. Tyle ich mogła nauczyć!

Kiedy wrócił z drinkami, pociągnęła parę łyżków i spytała:

- Skąd jesteście?

- Ee ... z Wirginii Zachodniej.

- Aha. Myślałam, że dalej na południe, sądząc po wymowie.

- Wychowaliśmy się w Karolinie Południowej, ale rodzice wyprowadzili się, jak Luther i ja byliśmy w średniej szkole. - Czym się zajmujecie?

Robimy w samochodowym interesie.

_ Och, jakie to interesujące! - wykrzyknęła. - Fascynują mnie samochody, silniki i cała reszta.

Prawdę mówiąc, nie fascynowały jej ani trochę, ale udając zainteresowanie mogła pochylić się ku młodemu mężczyźnie i oszołomić go szczodrym widokiem odsłoniętych piersi. Miała na sobie czarną bluzeczkę, tak pomyślaną, by rozchylała się, ukazując czarny biustonosz. Zahipnotyzowany tym, co zobaaczył rozlał nieco piwa, gdy podnosił kufel do ust.

.- Wiesz, wróciliśmy z bratem, żeby się z tobą zobaczyć.

_ Tak? Kiedy?

_ Jak się okazało, że ten znajomy już tu nie mieszka. Ale wyglądało na to, że w całym twoim mieszkaniu jest pełno glin .. -

_ I było. - Nachmurzyła się. - Ktoś się do mnie włamał.

_ O, cholera! Co ukradli?

_ Henry, skarbie - odchyliła się z powrotem do tyłu - nie będziemy o tym rozmawiać, dobrze? To mnie przygnębia. - Wyciągnęła dłoń, a on pochwycił ją skwapliwie.

_ Nie jestem zaskoczony. Od razu sobie z Lutherem pomyśleliśmy, że coś się dzieje niedobrego, jakżeśmy zauważyli tych prywatnych detektywów, co to obserwowali twój dom przez ulicę.

Choć oszołomiona alkoholem, natychmiast oprzytomniała. Wyszarpnęła dłoń z jego uścisku.

_ Jacy prywatni detektywi? O czym ty mówisz?

_ Nie chciałem cię zezłościć. Myśleliśmy z Lutherem, że twój były ich nasłał.

_ Nie ma żadnego byłego.

_ Nie? - Ściągnął brwi zakłopotany. - Ktokolwiek ma powód cię śledzić, właśnie to robi. Przyszli tu za tobą.

Burnwoodowie! Tutaj! Widzą ją! Trzymają na celowniku lunetki jednej z tych obrzydliwych strzelb używanych do polowania, o których jej mówiła Kendall.

_ Gdzie? - wychrypiała.

_ A tutaj. Są przy automacie z papierosami. - Wskazał kierunek ruchem głowy. - Możesz się odwrócić. Akurat nie patrzą.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę automatu. Jeden z mężczyzn był człowiekiem Pepperdyne'a, drugiego widziała po raz rierwszy, ale nie miała wątpliwości, że również jest agentem FBI. Idiotycznie wyglądali w czyściuteńkich nowiutkich czapkach z daszkami, które miały ich upodobnić do klienteli baru.

- Cholerny dupek! - wysyczała. - Nie do wiary! Kazał mnie śledzić, jakbym to ja była przestępcą.

- Kto? O co chodzi? Co za dupek? Jak się nazywa? Chcesz, żebyśmy go z Lutherem uszkodzili?

- Nie, nie ... To nic takiego, naprawdę ...

- Słuchaj, jak masz jakieś kłopoty ...

- Nie ja, moja przyjaciółka. Ci faceci są z FBI. Myśla, że coś wiem i nie chcę powiedzieć.

- A wiesz?

- Nawet gdyby, to i tak bym nie powiedziała.

Ryzykowne umawiać się na randkę, skoro już wiedzieli, że została wplątana w sprawę na tyle poważną, by interesowała FBI, pomyślała. Ale Henry zamiast ostrożności okazał entuzjazm.

- No, no. Ekscytujące życie prowadzisz, madame.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo, kochany - skrywając ulgę, obdarzyła go promiennym łobuzerskim uśmiechem.

- Chętnie bym się dowiedział ...

- No to chodźmy stąd - podjęła spontanicznie decyzję. Potrzebowała wypoczynku i relaksu dzisiejszego wieczoru. _ Znam wiele miejsc stosowniejszych do prywatnych spottkań. - Przełknęła jednym haustem resztę alkoholu i w tym momencie przypomniała sobie o śledzących ją agentach Peppperdyne'a. - Cholera! Nie chcę, żeby się za mną wlekli!

Henry zastanawiał się przez chwilę.

- Mam pomysł. Brat gra w tylnej sali w bilarda. Co ty na to, żebyśmy tam poszli? Zostanę chwilę, a potem tu wrócę i będę udawał, żeśmy się nie dogadali, rozumiesz? Ty z Luutherem wyslizniecie się tylnym wyjściem. Ja wyjdę potem przez frontowe drzwi. Zanim ich zaciekawi, co tam robisz, i zajrzą do bilarda, ty już będziesz daleko.

- Fantastycznie! - Zachwiała się, wstając. - Ops ... ! Jesstem na najlepszej drodze, żeby się zalać.

- Nie jesteś ni cholery zalana - oświadczył, obejmując Ricki Sue w talii, żeby ją podtrzymać. - Wiesz, jak się zabaawić, i tyle.

- Niezły z ciebie musi być rozpustnik - powiedziała opierając się na nim.

Plan Henry'ego w pełni się powiódł. Nie minęło pół godziny i dołączył do niej i Luthera na umówionym rogu. Gdy samoochód podjechał do krawężnika, wskoczył na przednie siedzenie camaro. Luther nacisnął na gaz i ruszyli z piskiem opon.

Ricki Sue uznała, że Luther jest tak samo przystojny i czarujący jak jego bliźniaczy brat. Siedzieli wszyscy ściśnięci na przednim siedzeniu, musiała więc okraczyć lewarek dźwigni biegów, co dało pretekst do żartów i lubieżnych komentarzy. Samochód podskakiwał na wybojach, podrzucając ją niemal do sufitu, co wywoływało ich hałaśliwą wesołość. Trzymała przytkniętą do ust butelkę jacka danielsa, gdy przejeżdżali przez tory kolejowe, i rozlała na siebie alkohol.

- No i zobaczcie, coście ze mną zrobili - powiedziała, śmiejąc się tak serdecznie, że prawie nie mogła złapać tchu.

- Ty, Luther, przez twoją wariacką jazdę pani jest wilgotna.

- Możemy jej pomóc się osuszyć.

- Z ochotą.

- Ale jesteście niegrzeczni! - Wymierzyła im po klapsie w udo. - Dobrze wiem, o czym myślicie.

- To miało być to? - Henry pochylił się i zaczął lizać ją po szyi. - O tym myśleliśmy?

Ricky Sue odchyliła głowę, pojękując i popiskując.

- Ej wy, to nie fair! - zawołał Luther. - Muszę jeechać. - Zdołał jednak jakoś prowadzić jedną ręką, a drugą włożył po omacku między jej uda.

Ricki Sue nie mogła sobie przypomnieć, kto zaproponował przystanek na motelowym parkingu. Być może ona. Nie pierwszy raz zatrzymywała się w tym właśnie motelu. Recepcjoonista narkoman był zwykle zbyt oszołomiony, by zwracać uwagę na to, co się wpisywało do książki lub czy w ogóle

cokolwiek się wpisywało; obchodziło go tylko, czy dwudziestka leży na ladzie. Ale po raz pierwszy znalazła się tutaj, zresztą w ogóle gdziekolwiek, z bliźniakami. Urok nowości wzmagał podniecenie. Chwiejnie wkroczyła do pokoju, który wynajęli.

Luther. .. a może Henry - im więcej piła, tym bardziej stawali się do siebie podobni - powiedział coś, co wywołało jej historyczną wesołość. Targana paroksyzmami śmiechu, paddła na łóżko.

Luther położył się z jednej strony, Henry z drugiej. Pocałował ją jeden, i zaraz drugi. Potem znowu pierwszy. W końcu nie mogła odróżnić jednych ust od drugich.

- Ej, ej, zaraz, zaraz! - Odsunęła ich na bok w dobbrodusznym proteście i usiadła. Pokój zawirował; przycisnęła dłoń do głowy, jakby miało jej to pomóc utrzymać równowagę. Z uroczystą powagą, do jakiej zdolny jest wyłącznie człowiek w stanie całkowitego upojenia, oświadczyła: - Cierpliwości, chłopcy. Odtąd nic bez gumek.

Bliźniacy pochwycili pakieciki, które wyciągnęła z torebki, a ona osunęła się omdlałym ruchem na łóżko, myśląc o zainteresowaniu, jakie wzbudzi rano przy automacie z kawą. Oby zawsze miała jakąś zadziwiającą historię do opowiedzenia!

Rozdział czterdziesty pierwszy

Matt prowadził samochód, dopóki Gibb nie polecił mu, by się zatrzymał na przydrożnym parkingu. Przestrzegając limitów prędkości i zwracając baczna uwagę na znaki drogowe, oddalili się wreszcie od Sheridan na bezpieczną odległość.

Gibb nie mógł się doczekać, kiedy pozna zawartość pudełka po butach znalezionej pod łóżkiem Ricki Sue. Wytrząsnął karty i listy na siedzenie samochodu. Rozdzielili je między sobą i zaczęli czytać. Szybko stało się dla nich oczywiste, że Ricki Sue przechowywała wszystko, cokolwiek napisali do niej mężczyźni. W końcu ich to znużyło.

- Nic tu nie ma - powiedział Matt znudzony.

- Nie powinniśmy ominąć żadnego listu - upierał się ojciec. - To może być właśnie ten jedyny, który zawiera wskazówkę.

Pośród wielu przedziwnych listów od byłych kochanków znaleźli nabazgraną notkę od kolegi szkolnego o imieniu Jeff, zawierającą prośbę, by Ricki Sue pokazała mu majtki. Kuzyn Joe, odbywający służbę na okręcie John F. Kennedy, w długim, napisanym bez składu liście obiecywał solennie, że przekaże jej adres samotnym kolegom. Była też kartka od nauczyciela ze szkółki niedzielnej z uwagą, że nie przyszła ostatniej niedzieli. Matt podniósł kolejną pocztówkę i natychmiast rozpoznał charakter pisma.

- Ta jest od Kendall.

Nadal był apatyczny i obojętny. Działał automatycznie, niezdolny do jakiegokolwiek samodzielnej decyzji. Łatwiej przychodziło mu wykonywać polecenia. Automatyzm czynności był jak tarcza chroniąca przed bólem.

Zachowywał się tak od momentu, gdy została zamordowana Lottie.

Wydawało mu się, że sam umarł. Nie wyobrażał sobie, by mógł jeszcze kiedyś napisać artykuł wstępny, wydać kolejny numer gazety. Nie sądził, by cokolwiek wzbudziło jego entuzjazm: jedzenie, picie, polowanie, sprawy Brotherhood ... w ogóle życie. Czuł pustkę i nikt poza Lottie nie mógł jej wypełnić. Ojciec twierdził, że poczuje się inaczej, kiedy oddnajdzie syna, ale on sam w głębi ducha w to wątpił. Czuł szarpiący ból, równie ostry jak wtedy, gdy byli jeszcze naastolatkami i ojciec zabronił mu widywać się z Lottie; zawsze jednak pozostawała słaba nadzieja, że któregoś dnia to się zmieni i będą razem. Czepiał się tej myśli kurczowo. Poozwalała mu przetrwać trudne dni, kiedy umierał z niezaaspokojonego pożądanja.

Teraz stracił ją na zawsze; nie było już na co oczekiwać.

Ojciec pocieszył go przypomnieniem, że prawdziwa nagroda czeka ich po śmierci, w Niebiesiech, ale Matt znalazł już nieebo - z Lottie. I wcale nie był pewien, czy pragnie życia wiecznego, skoro miało trwać bez niej.

To Kendall odpowiadała za śmierć Lottie. Ojciec mu to uświadomił. Gdyby nie wtrącała się do spraw, których nie była w stanie pojąć, gdyby zachowywała się, jak na posłuszną, łagodną żonę przystało, nic z tego, co dotąd, by się nie wydaarzyło. Lottie nadal by żyła, wciąż obdarzając go uśmiechami, pocałunkami i uściskami, dla których żył.

Ilekróć pomyślał o tym, co stracił, dławiała go nienawiść do Kendall. Zapłaci mu za to. Już on tego dopilnuje. Sama na siebie ściagnęła karę, jak wszyscy ukarani przez Brotherhood.

Spojrzał z obrzydzeniem na pocztówkę, ponieważ pochodziła od niej.

Rozpoznaję jej charakter. - Kiedy ją napisała?

- Stempel pocztowy jest zamazany - powiedział Matt, podnosząc kartkę do lampki nad deską rozdzielczą - ale chyba dawno, bo papier požółkł na brzegach.

- Tak czy owak, przeczytaj.

"Bawimy się wspaniale, jeśli nie liczyć okropnego upału i moskitów. Mało mnie nie pożarły, kiedy poszłyśmy wczoraj z B. na nasze ulubione piknikowe miejsce".

- "B" oznacza zapewne "babcia" - stwierdził Gibb. -Jest coś poza tym?

- Miała za mało miejsca, litery są ściśnięte. - Matt zmrużył oczy, by odcyfrować drobne pismo. - "Opowiadałam ci o nim: działo Konfederatów, wodospad itd. Całusy". To wszystko. Narysowała małe serce zamiast podpisu.

- Działo Konfederatów? Wspominała ci kiedykolwiek o tym miejscu?

- Może. - Matt wyteżył pamięć, ale umysł wciąż poddsuwał mu obraz martwych oczu Lottie. - Chyba tak. Mówiła, że spędzały z babcią wakacje w starym wiejskim domu.

- Stary dom, położony blisko konfederackiego działła i wodospadu. - Podeksycytowany Gibb otworzył skrytkę na dookumenty, wyciągnął mapę drogową Tennessee i rozpostarł ją sobie na kolanach. - Nauczyłeś się

czegoś o dzikiej przyrodzie, Matt - stwierdził. - Kiedy zwierzę zostało zranione, gdy czuje strach, co robi? Gdzie się chroni?

- W legowisku.

- Innymi słowy w domu. Ale ona nie wróciła do domu.

Nie mogła. Zatem podażyła do innego, podobnego miejsca. Musimy znaleźć pomnik z czasów wojny domowej i wodoospad. - Oczy mu się roziskrzyły. - Synu, pomyśl tylko: zanim wstanie świt, będziesz trzymał swoje dziecko w ramionach.

Matt próbował wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. Wyobrazić sobie, jak podrzuca synka na kolanach i śmieje się, szczęśliwy i wolny. Wolny? Właśnie. Przez całe życie nigdy nie był wolny.

I nigdy bardziej mu to nie doskwierało.

Kendall uwolniła się z objęć Johna. Wymamrotał niezrozumiałe pytanie.

- Idę do łazienki - wyszeptała. - Zaraz wracam. Odpłynął z powrotem w sen. Pochyliła się i pocałowała go w czoło, a potem przyjrzała jego twarzy, zapamiętując każdy szczegół.

Jeśli wszystko pójdzie, jak zaplanowała, widzi go ostatni raz. Poczwała wzbierający w gardle szloch. Zdławiwszy go, wysliznęła się z łóżka i po cichutku szybko ubrała w ciemnościach.

Od chwili gdy Ricki Sue powiedziała jej o ucieczce Gibba i Matta z więzienia, wiedziała, że musi odejść. Nie miała czasu do stracenia. I tak zwlekała zbyt długo. Mimo to podarowała sobie ostatnią noc z Johnem.

Matt i Gibb będą ją tropić i na pewno znajdą. Była o tym przekonana. Bardziej obawiała się ich myśliwskiego instynktu niż nowoczesnych komputerów i sieci agentów FBI.

Gdyby tylko o jej życie chodziło, mogłaby ryzykować i zoostać z Johnem. Ale musiała myśleć o Kevinie. Kiedy Burnnwoodowie ich znajdą, zabiją ją, a synka uprowadzą. Była to zbyt przerażająca myśl, by ją rozważać. Jeśli zaś FBI złapie Burnwoodów, Kevin pozostanie pod rządową kuratelą, a jego przyszłość będzie zależała od obcych.

Musi chronić dziecko, choćby łączyło się to z porzuceniem mężczyzny, którego kocha. Odejdzie, niczego nie wyjaśniając, nawet nie mówiąc "do widzenia". Kiedy rankiem John odkryje jej zniknięcie, będzie zdenerwowany, pewnie wręcz zły. Ale krótko. Zostawiła mu wiadomość z obietnicą, że pomoce w droodze. Dzisiejszego popołudnia wysłała kartę pocztową do miejscowych władz i podała, gdzie znajdą Johna McGratha, zaginionego szeryfa Stanów Zjednoczonych. Gdy tylko ją otrzymają, natychmiast wyślą kogoś do wiejskiego domku. Jego przyjaciel, Jim Pepperdyne, dopilnuje, by John dostał najlepszego neurologa. W swoim czasie pamięć mu wróci. Świadomość, że może nie pamiętać ich wspólnych szczęśliwych dni, rozkrwawiała jej serce, niemniej rozumiała, że tak byłoby dla niego najlepiej. Nie będą mogli pociągnąć go do odpowiedzialności za to, co się zdarzyło; nie będzie się czuł odpowiedzialny ani przed przełożonymi, ani przed samym sobą.

Poszła bezszelestnie do pokoju Kevina i wzięła torbę z zaapakowanymi ubrankami, pieluszkami i drobiazgami codziennego użytku, które uznała za

niezbędne. Chciała mieć jak naj lżejszy bagaż. Zostawiwszy na razie Kevina w prowizorycznej kołysce, pośpieszyła do tylnych drzwi. Po drodze zajrzała do sypialni; John spał głęboko.

Do świtu zostało wprawdzie jeszcze kilka godzin, ale teraz liczyła się już każda minuta. Umieściła torbę w aucie. Znalazła wczoraj w szopie za domem trochę farby i przemalowała dwie trójki na tablicy rejestracyjnej na ósemki. Przy pierwszych oględzinach zostanie to wykryte, ale może zapobiegnie zatrzymaniu jej do czasu, gdy zdoła porzucić samochód i kupić nowy.

Wróciwszy do domu, zajrzała do spiżarni, gdzie czekały torby z butelkami wody i żywnością o przedłużonej trwałości. Będzie mogła jeść i pić podczas jazdy bez konieczności zaatrzymywania się, chyba że dla nakarmienia Kevina albo skoorzystania z toalety. Oczywiście muszą gdzieś spać - wybierze oddalone od drogi motele, gdzie płacenie gotówką nie wzbudzi podejrzeń. Jeśli zabraknie jej pieniędzy, porozumie się z Ricki Sue. Ufała przyjaciółce ślepo, ale dla jej bezpieczeństwa wołała jak naj rzadziej się z nią kontaktować: tylko wtedy, gdy okaże się to bezwzględnie konieczne.

Zapakowała torby z żywnością do samochodu i po raz ostatni wróciła do domu. Uklękła przed paleniskiem kominka w pokoju dziennym, sięgnęła do komina i wyciągnęła rewolwer. Dawał szansę na obronienie się przed Gibbem i Mattem, mimo to wciąż wzdragała się go dotykać. Trzymając broń z największą ostrożnością, wsunęła ją do kieszeni spodnicy.

Nagle uderzyła ją niepokojąca myśl: a jeśli Burnwoodowie trafią na jej ślad, nim pomoc dla Johna nadejdzie? Wiedzą już pewnie, że "uprowadziła" szeryfa ze szpitala w Stephenville. Zamordują go bez litości.

Wyjęła rewolwer z kieszeni i zaniósła go do kuchni. Zoostawiła broń na stole, oparłszy o nią kopertę z wiadomością dla niego. W jakiś sposób puentowała tym to wszystko: ostatnią rzeczą, jaką miała mu do przekazania, była pierwsza rzecz, jaką mu zabrała, gdy leżał nieprzytomny na nasiąkniętej deszczem ziemi.

Daleko od tamtej pory zaszli.

Czując wzbierające łzy, poszła po cichutku do sypialni Kevina i wyjęła synka z kołyski. Zakwilił protestując, ale utuliła go w ramionach i od razu usnął z powrotem.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na mroczny pokój, gdzie John leżał nie poruszony nawet, i poszła szybko do kuchni. Choć tak się wysilała, by nie płakać, pojedyncze łzy spłynęły jej po policzkach.

Spędzała ostatnie sekundy w domu, z którym wiązało się tyle wspaniałych wspomnień. Nigdy więcej nie będzie się tu mogła schronić. Nigdy nie powróci do pokoi, w których buudziły się echa śmiechu babci. Do pokoi, w których zaznała miłości - babci i Johna.

Czy zawsze musi być tak, że porzuca wszystko i wszystkich, których kocha? Kevin zakwilił.

- Nie wszystkich - wyszeptwała. Pocałowała synka w główwkę i ruszyła zdecydowanie do drzwi.

Wyciągała już rękę do klamki, gdy nagle zapaliła się lampa na suficie. Odwróciła się, ale oślepiąca nagła jasnością dostrzegła tylko nierozpoznawalną sylwetkę zbliżającego się do niej i Kevina mężczyzny.

Rozdział czterdziesty drugi

Bliźniacy odbywali w motelowej łazience krótką naradę: jak spoić grubego rudzielca na tyle skutecznie, by rozwiązał jej się język, ale żeby nie straciła przytomności.

- Ej, chłopaki - zawołała Ricki Sue z łóżka wysokim, śpiewnym głosem. - Co wy tam robicie, he?

- Chyba nigdy więcej mi nie stanie. - Luther popatrzył z rozpaczą na swój miękki penis. - W życiu nie widział baby, co by tyle wytrzymała. Myślisz, że to jakiś wybryk natury czy co?

- Przestań skamleć. Trzeba ją zmusić, żeby się rozgadała o tej Burnwood.

- A jak to chcesz zrobić, Henry? - Luther masował łagodnymi ruchami dłoni jądra. - Wydudliła prawie całego jacka danielsa i nic jej to nie zmiękczyło, tylko się zdrowo na nas napaliła.

Henry zastanawiał się przez chwilę. Ricki Sue zawołała ich ponownie.

- Lepiej do niej wrócić, zanim nabierze podejrzeń. Coś wymyślę. Tylko pogrywaj tak samo jak ja.

Nadašana Ricki Sue leżała rozciągnięta na łóżku.

- Zaczęłam myśleć, że się zabawiacie beze mnie.

Henry zauważył, że już nie wymawia słów tak wyraźnie jak przedtem. Pokazał ukradkiem wzniesiony kciuk bratu i ułożył się przy jej boku.

- W życiu! Co za zabawa bez naszej dziewczuszki? No nie, Luther?

- Jasne, stary. Żadna zabawa. Nie pora na następną kolejkę? - Bliźniak udał, że pociąga tęgi łyk, zanim podsunął butelkę Ricki Sue.

- Co wy, chłopcy? Chcecie mnie upić czy jak? - Obrzuciła ich obu podejrzliwym spojrzeniem, ale zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, roześmiała się głośno i uniosła butelkę do ust. - Klnę się na Boga, możesz wypić więcej niż każdy, kogom znał, Ricki Sue. - Henry puścił oko do brata ponad jej blaadym, usianym piegami, obfitym ciałem. - Co nie, Luther? - Jasne.

- Prawdę mówiąc, zrobiłaś na mnie wrażenie pod każdym względem. Na przykład to, jakieś przechytrzyła tych fedsów. Warto to było zobaczyć. Dobrze im tak, po co węszą w cudzych sprawach.

- Ten Pepperdyne myśli, że jest cwany jak jasna choleera. - Ricki Sue parsknęła pogardliwie. - "Wie pani, gdzie znaleźć panią Burnwood". To pani wie, tamto pani wie □ przedrzeźniała. - Skąd niby wie, co ja wiem, jak tylko ja sama to wiem.

- Taa ... - mruknął Luther. - Dlaczego go nie pošlesz w diabły za to, że ci zadaje osobiste pytania na temat twojej najlepszej przyjaciółki?

Henry rzucił mu jadowite spojrzenie. Dlaczego ten jego cholerny brat nie może po prostu trzymać gęby na kłódkę? Mama ma rację: jest tak ograniczony, że aż niebezpieczny. Jedno zdanie, i prawie naprowadził

dziewczynę na to, że nie uganiał się za nią wyłącznie dla rozrywki. Na szczęście za bardzo była otępiąta alkoholem, by zauważyć, że Luther się zdradził.

- Będę chronić Kendall - oświadczyła i zaszlochała. "Moja przyjaciółka. Nie powiedziałabym Pepperdyne'owi, gdzie ona jest, nawet gdybym wiedziała. - Pociągnęła następny łyk i omal się nim nie zadławiła, bo zaczęła się równocześnie śmiać. Podniosła palec do góry, żeby podkreślić kwestię, którą miała wygłosić: - A-le się do-myś-lam. - Starła się wypoowiadać wyraźnie każdą sylabę.

- Przed nami nie musisz blefować, Ricki Sue. Nie jesteśmy gliniarzami, no nie, Luther?

- Pewnie, że nie, do cholery.

- Nie myśl już o tym głupim fedsie. - Henry zaczął całować ją po szyi. - Lepiej wrócić do pieszczotek. .

- Nie blefuję. - Ricki Sue odsunęła go od siebie. - Naprawdę wiem, gdzie może być Kendall. Jestem jedyną osobą na świecie, która to wie.

_ Pewnie, pewnie, złotko. My ci wierzymy, no nie, Luuther? - Henry mrugnął do brata konspiracyjnie, ale ten niczego nie pojął; psychologiczne zawilości do niego nie trafiały. - Ee ... no ta ... Jak Henry mówi ...

- Bo tak jest. - Żeby to potwierdzić, podjęła wysiłek, by usiąść w łóżku. - Założę się, że pojechała w miejsce, gdzie zawsze spędzała wakacje z babcią.

- W porządku, dziecinko, w porządku. - Henry poklepał ją protekcjonalnie po udzie. - Jak tak mówisz ...

- Bo wiem. - Zabębniła pięściami w materac. - Może nie całkiem dokładnie ... Ale to gdzieś koło Morton. Tam jest...

- Co?

- Wodospad.

- Wodospad?

- A co ja innego powiedziałam? - Przekrzywiła głowę i spojrzała karcąco, zezując przez nos na Henry'ego.

- Ależ tak, złotko. Nie chciałem cię zezłościć.

- I jeszcze tam jest... wielkie działo. Na kołach. Używali takich w dawnych czasach.

- Działo?

- Zgadza się! - Wbiła paznokiec wskazującego palca w pierś Henry'ego. - Wygrał pan! Główna nagroda! - Rozzłożyła ręce, oferując jako trofeum swe ciało. Wywróciła oczy białkami do góry i opadła nieprzytomna na łóżko.

- Kurna mać! - wrzasnął Henry. - Zagrało! Jedziemy do Morton.

- Gdzie to jest?

- Nie wiem. Ale powinno być na mapie. Gazu, Luther, ubieraj się.
- A co z nią?
- Wiesz, co mama kazała?
- Cholerny wstyd, żeby niszczyć coś' takiego. - Luther, patrząc na Ricki Sue, oblizwał z żalem wargi. - W życiu żem się nie załapał na takiego gorącego rudzielca.

_ Co powiedziałaś? - Pepperdyne zazgrzytał zębami i zaacisnął dłoń na słuchawce tak mocno, że aż kostki palców mu zbielały. - Będziesz łaskaw powtórzyć, co powiedziałaś?

- No, my ... zgubiliśmy ją. Weszła do tego baru, właściwie speluny, usiadła osobno i zaczęła wlewać w siebie whiskey jak wytrawny pijak.

- Streszczaj się.

- Tak jest. Ten facet...

- Jaki facet?

- No ... facet. Wysoki, bardzo chudy, o włosach koloru słomy i niesamowitych niebieskich oczach. Przysiadł się do niej i zafundował drinka. Siedzieli i gawędzili.

- Spytałeś chociaż kogoś, jak się ten człowiek nazywa?

- Oczywiście, ale nikt go nie zna.

- Ma samochód?

- Też o to pytaliśmy. Nikt nie widział, kiedy przyjechał z bratem, więc nie znamy marki.

- Z bratem ... ?

- Tak. Bliźniakiem.

Pepperdyne wrzucił do ust dwie aspiryny i przełknął je wraz z haustem maaloxu. Czy to wszystko musi się tak cholernie komplikować? Nie zwyczajnie brat, co i tak gmatwa sprawę, ale bliźniak.

- Bardzo do siebie podobni?

- Powiedziano nam, że nie sposób ich odróżnić.

- No tak ...

- W ogóle nie widzieliśmy tego drugiego. Był w sali bilardowej, z tyłu. - Agent wyjaśnił, w jaki sposób Ricki Sue i jej towarzysz się wymknęli.

- Czym płacili za drinki?

- Gotówką.

- Mogłem się tego spodziewać - zamruczał Pepperdyne. - I nikt tutaj nie ma pojęcia, co to za jedni?

- Nie. Żadnego nazwiska. Nic. Najwyraźniej nie są stąd. - Podwładny Pepperdyne'a przerwał, jakby w oczekiwaniu bury, której się spodziewał. Ponieważ szef się nie oddzywał, zaryzykował wygłoszenie opinii: - Cóż, myślę, że spotkała się z tymi facetami i wyszła z nimi.

- To oczywiste, nie? - warknął Pepperdyne.

- To znaczy ... myślę, że ci bliźniacy nie mieli nic wspólnego z włamaniem. Nie przypominają Gibba i Matta Burnwoodów. Wygląda mi to na przypadkowy podryw. Świadkowie twierdzą, że panna Robb dość szybko zaprzyjaźnia się z mężczyznami. .. sam pan rozumie. Jeden z nich udzielił nam poufnych informacji na jej temat. Powiedział, a wielu innych to potwierdziło, że znana z niej latawica. Chętna do tego. To dla niej normalne, wyjść z baru w towarzystwie nieznanego.

- Słuchaj no! - Cierpliwość Pepperdyne'a się wyczerpała. - Gównu mnie obchodzi, co robi panna Robb, nawet jeśli pieprzy się z setką facetów na głównym placu miasta w każdą sobotę! Jest obywatelką Stanów i mamy obowiązek ją ochraniać, niezależnie od tego, czy ukrywa przed nami jakieś informacje, czy nie! Mieliście rozkaz nie spuszczać jej z oka i spieszyć sprawę! Zniknęła! Nie wiemy, z kim jest ani gdzie, nie wiemy też, gdzie przebywają ci dwaj maniacy, przekonani, że są wysłannikami Boga i mają prawo mordować każdego, kto im wejdzie w drogę, a zatem i pannę Robb, skoro jest najbardziej zaufaną przyjaciółką naszego głównego świadka! - Przestał krzyczeć, żeby złapać oddech. - Dotarło to do ciebie? - Jego spokojny głos zmroził agenta bardziej niż groźby.

- Tak jest, oczywiście.

_ Żeby uniknąć niedomówień, pozwól, że jeszcze raz wyjaśnię: jeśli coś się przydarzy Ricki Sue, przybiję cię za jaja do podłogi, jasne?

- Tak jest, oczywiście.

- Zabieraj się do roboty.

- Tak jest.

Pepperdyne cisnął słuchawkę, po czym wysłał jeszcze kilku agentów do baru w nadziei, że wpadną na ślad nieznanymi bliźniaków. Przekazał im zwięzły opis:

- Wysocy, chudzi, włosy koloru słomy, jasnoniebieskie oczy sprawiające niesamowite wrażenie, całkowicie do siebie podobni. Kobieta rudowłosa, przy tuszy. Każdy kto ją zobaczył, z pewnością zapamiętał, więc rozmawiajcie z każdym.

Przemierzał biuro, pociągając maaloX z butelki, i rozmyślał.

Czy był to prosty zbieg okoliczności, że w dniu, gdy splądrowano mieszkanie Ricki Sue, została poderwana w pijackiej spelunie przez nie zidentyfikowanych bliźniaków? Jaki może być związek między tymi dwoma zdarzeniami? Czy bliźniacy są członkami Brotherhood, wypełniającymi zadanie zleczone przez organizację, czy też to czysty przypadek?

Instynkt podpowiadał mu, że powinien przewidywać najgorsze. Jeśli bliźniacy działali w porozumieniu z Burnwoodarni lub mieli jakikolwiek związek z całą sprawą, musiał się obawiać o cztery życia: Johna, pani Burnwood, jej dziecka i Ricki Sue Robb.

Jeśli Burnwoodowie wpadną na ich ślad przed jego ludźmi ... Nie mógł do tego dopuścić.

Przeniesienie Ricki Sue z motelowego łóżka do camaro było całkiem niezłym wyczynem, ale udało im się tego dokonać i nie rozbudzić jej. Nie mieli tego szczęścia wyciągając ją na powrót z samochodu. Odzyskała świadomość i natychmiast zaczęła się z nimi szarpać.

- Ej, co się dzieje? - zapytała zrzędliwie, usiłując się zorientować w sytuacji; samochód stał zaparkowany przy rowie biegnącym wzdłuż ciemnej, wąskiej drogi. - Gdzie my, do cholery, jesteśmy? Co tutaj robimy? Gdzie moje ubranie?

Luther odpowiedział zwykłym dla niego niemrawym, gapioowatym spojrzeniem.

- Ee ... żeśmy myśleli ... może chciałybyś popływać? - wystękał Henry.

Luther zagapił się na brata, a potem odwrócił do Ricki Sue i skwapliwie pokiwał głową.

- Na golasa, kapujesz?

- Popływać? - Zlustrowała wzrokiem otoczenie. - Tu, na tym zadupiu?

- Dobrze wiemy, gdzieśmy cię przywieźli - powiedział Henry chełpliwie. - Byłem tu z Lutherem dzisiaj. Z pięćdziesiąt jardów dalej przez las płynie śliczny strumyk.

Ricki Sue popatrzyła w kierunku, który wskazywał palcem, ale widok nie dodał jej otuchy: ciemny, przerażający, głęboki las. Przedzieranie się przezeń nago, wśród dzikich zwierząt zupełnie nie pasowało do jej wyobrażeń o przyjemnym spędzaniu czasu. Uwielbiała przygody, wolała jednak przeżywać je w miejscach ograniczonych czterema ścianami i sufitem. Nie przepadała za aktywnością na świeżym powietrzu. Słońce było prawdziwym przekleństwem dla jej jasnej, delikatnej skóry. Dobsypywało ją piegami lub bąblami oparzeń. Uczulenie na sumaka jadowitego i ukąszenia moskitów objawiały się ohydnyymi czerwonymi wykwitami, które na ogół się jątrzyły i wymagały leczenia antybiotykami.

Z drugiej strony: .. te dwa bliźniacze kościste, chude ciała budziły w niej pożądanie. Leżenie między nimi było takie podniecające. Nadzy, oblani wodą, śliscy jak węgorze, oplota każdą jej bujną krzywiznę. Zadrzała.

- No to prowadź.

- Udawajmy Indian - zaproponował Henry. - Zostawimy za sobą tylko pojedynczy ślad stóp. Ty prowadzisz, Luther, ja zamykam tyły. - Wsunął dłonie pod jej gołe pośladki i ścisnął je.

Zapisała z zadowolenia i stanęła między nimi. Henry napierał na jej plecy. Objęła Luthera mocno w talii i pomaszerowali przez las. Kiedy

zbliżyli się do koryta strumienia, usłyszała delikatny poszum płynącej wody. Westchnęła.

- Takie to romantyczne ... A może jestem po prostu pijana? Henry natychmiast dojrzał szansę na wyciągnięcie butelki. - Nie jesteś. Po tej wędrówce należy nam się łyeczek. Butelka zatoczyła krag, ale alkohol nie rozluźnił bliźniaków.

Ricki Sue spostrzegła ich nerwowość, która jakby się wzmogła, gdy ujęła ich za ręce i pociągnęła w stronę strumienia.

- Co się dzieje, chłopaki? Rozmyśliliście się? Myślicie, że jest mnie za dużo nawet jak na was dwóch?

- My ... ee ... mieliśmy braciszka, który utonął, jak był malutki. Były z nas jeszcze dzieciaki, ale to pamiętamy. Żaden z nas nie kocha wody.

Gdyby myślała przytomniej, pewnie zaczęłaby się zastanaawiać, dlaczego zaproponowali jej orgię w strumieniu, skoro bali się wody. Zamiast tego zareagowała współczuciem.

- Och, biedne dzieciaki. Chodźcie do Ricki Sue.

Henry przypadkiem poruszył naj szczerze uczucia Ricki Sue; pragnienie, które głęboko skrywała, uważając, że nie ma żadnych szans, by je zaspokoić. Tęskniła za tym, by ktoś się opiekował, być mu pociechą, nieść pocieszenie: mężowi, dzieciom, nawet rodzicom. Miała w sobie niewyczerpane pokłady miłości, której nikt nie chciał, więc skrywała je głęboko w sercu. Dlatego właśnie kłamstwo Henry'ego o braciszku, który utonął, wywołało głęboką emocjonalną reakcję. Łzy napłynęły jej do oczu. Przyciągnęła ich do siebie, zaczęła gładzić po głowach i mamrotać słowa pocieszenia.

- Nie myślcie o swoim malutkim braciszku. Jego maleńka dusza żyje w niebie.

Wkrótce bliskość ciał zrodziła erotyzm. Objęła ich mocniej. - Nie martwcie się, skarby - zaszepotała. - Nim noc się skończy, całkiem inaczej spojrzycie na sporty wodne. Zostawcie to Ricki Sue. - Pobrnęła chwiejnie przez wodę, ale kiedy ruszyli za nią, powstrzymała ich, uniósłszy dłoń. - Jak to się stało, że jestem jedyną nagą osobą w tym trio?

Luther spojrział na Henry'ego, który, wzruszywszy ramionami, zaczął się rozbierać, rzucając rzeczy wprost na błotnisty brzeg strumienia. Brat poszedł w jego ślady. Henry pierwszy dołączył do Ricki Sue, stojącej po kolana w wodzie.

- Słodki jesteś - stwierdziła i zaczęła go pieścić, ale bez rezultatu.

- Daruj - powiedział. - Chyba go całkiem wykończyłaś, tam, w motelu. Może by jakiś trik pomógł?

Zaśmiała się ochryple i opadła na kolana.

- Nic nie mów. Spróbujemy tego ... - Muł w korycie strumienia był zimny i śliski. Woda rozkosznie opływała jej ciało. Unosząc głowę uśmiechnęła się do Henry'ego i potarła piersiami jego uda.

Nagle wyczuła ruch powietrza tuż przy swej głowie, a potem poczuła ból, który przeniknął w głąb czaszki. Gwałtownie złapała powietrze. Whiskey podeszła jej do gardła, wypełniła usta i pociekła po policzku, gdy krzyknęła. Upadła ciężko na bok; woda plusnęła.

Oszołomiona, czując nadciągającą ciemność, popatrzyła w górę. Luther stał nad nią, trzymając w rękach krótki, gruby kij. Uniósł go ponad głową i opuścił, wkładając w to wszystkie siły.

Przez moment czuła zdumienie; na strach nie zostało jej już czasu.

Rozdział czterdziesty trzeci

- John ... ! - Krzyk zamarł Kendall na wargach.

- Zgadza się, John. Sprytne, że użyłaś mojego prawdziwego imienia. W ten sposób było ci łatwiej, prawda?

- Przypomniałaś sobie.

- Tak. Zaraz po przebudzeniu.

Wpatrywali się w siebie, a odległość, która ich dzieliła, wydawała się ogromna. Dotąd miała nad nim przewagę - teraz szanse się wyrównały.

- Myślałam ... że śpisz.

- Tego właśnie chciałem.

- Wiedziałeś, że zamierzam odejść?

- Uciekanie weszło ci w krew, co?

Twarz miała kredowobiałą w świetle kuchennej lampy.

Obronny gestem tuliła Kevina do piersi. A może próbowała użyć dziecka jako tarczy obronnej, gdyby chciał jej zadać fizyczny ból. Wściekły, rzeczywiście poczuł taką pokusę, ale sięgnął tylko po rewolwer zostawiony na kuchennym stole i wsunął go za gumkę szortów, które naciągnął, zanim wyszedł z sypialni.

- Co cię skłoniło do zostawienia mi broni?

- Pomyślałam, że możesz jej potrzebować.

_ Niezwykle uprzejmie z twojej strony. - Podparłszy się na kuli, wyciągnął krzesło zza stołu i podsunął w jej stronę. -Siadaj.

- John, może byś mnie wysłuchał...

- Siadaj! - krzyknął.

Obserwując go podejrzliwie, podeszła do krzesła i szybko usiadła.

- Wszystko pamiętasz?

- Wszystko - powiedział. - Całe moje życie przed utratą pamięci i to, co się zdarzyło potem. John McGrath. Drugie imię Leland, tak jak panińskie nazwisko matki. Urodzony dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset

pięćdziesiątego drugiego roku w Raleigh, w Karolinie Północnej. Osiemnaście lat później ukończyłem tam szkołę średnią. W siedemdziesiątym dziewiątym zrobiłem doktorat z psychologii.

- Psychologii? Jesteś psychologiem? Zignorował jej pytanie.

- Moja praca doktorska dotyczyła syndromu opóźnionej reakcji na stres i poprzedziły ją lata praktyki w Bethesda. Dlatego właśnie zwrócił na mnie uwagę agent Jim Pepperdyne i zwerbował do drużyn specjalnych. Często razem pracowaliśmy. Dwa lata temu odszedłem ze stanowego biura FBI i zacząłem pracę w biurze szeryfa. - Po krótkiej, wymownej pauzie oświadczył: - Zostałem uprowadzony dwunastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Ale przecież to już wiesz, prawda?

- John, mogę to wyjaśnić.

- Jestem cholernie pewny, że możesz. I zrobisz to. Najpierw jednak zajmij się Kevinem.

Dziecko niepokoiło się. John nie chciał, by im cokolwiek przeszkadzało w rozmowie. A jeszcze bardziej nie chciał, by mała dziewczynka coś doskwierało.

- Ma mokro. Przewinę go. - Wstała, zamierzając przejść obok Johna, ale złapał ją za ramię.

- Niezła wymówka, ale to nie zagra. Przewiń go tutaj.

- Na kuchennym stole?

- Nie będziemy już więcej na nim jedli.

Rozwinęła kocyk i wyjęła moką pieluszkę. - Czyste mam w samochodzie.

- To idź po nie.

- Nie boisz się, że ucieknę? - spytała szyderczo.

- Nie bez Kevina. A on zostaje ze mną. Pośpiesz się.

Spojrzała najpierw na dziecko, potem na niego.

- Albo przyniesiesz te pieluszki z samochodu, albo Kevin będzie leżał golutki. Nie wygląda, by mu to sprawiało jakąś różnicę, a mnie już na pewno żadnej.

Nie zamknęła za sobą drzwi od kuchni; pozwoliła, by zaatrasnęły się same.

Rozbudził się w momencie, gdy wstawała z łóżka. Czekał, aż zacznie realizować punkt numer dwa swego planu, nieistotne zresztą jaki. Nie zdziwiło go oczywiście, że znowu próbuje uciec, zaskoczyło natomiast, jak boleśnie on sam czuje się urażony. Był wściekły nie tylko dlatego, że chciała odejść, ale i dlatego, że to go tak zraniło.

Nie powinien pozwalać sobie na osobiste odczucia, zaciemniające osąd sytuacji. Musi okazać pragmatyczne, całkowicie pozbawione emocji, bezstronne, profesjonalne podejście. Na tym polegała jego praca i złamał wszystkie reguły, poczawszy od momentu, gdy nie zawiadamiając nikogo

powziął decyzję o pojechaniu objazdem, a skończywszy na tym, że dwie godziny temu kochał się z powierzonym jego opiece świadkiem.

Wróciła z paczką pieluch i szybko przewinęła dziecko. Potem ułożyła sobie synka na piersiach i usiadła z powrotem na krześle.

_ Tak więc, szeryfie McGrath, zostałam osadzona w areszcie domowym, o chlebie i wodzie, jak sądzę.

_ Nie dowcipkuj, Kendall. W nic tu nie gramy. To wcale nie jest zabawa. Gdybyś mi nie ukradła kajdanek, przykułbym cię do tego krzesła. Pewnie zabrałaś mi je wtedy, gdy uwalniałaś mnie od ciężaru rewolweru.

_ Nie mogłam pozwolić, żebyś w szpitalu wymachiwał bronią, prawda?

_ Pewnie nie. Wywołałoby to pytania, na które nie umiałabyś odpowiedzieć. Więc uprościłaś całą historię.

- Staralam się.

_ Kiedy zdecydowałaś się podawać mnie za swojego męża? W karetce?

_ Nie. Wtedy zupełnie nie wiedziałam, co im powiem. Ale kiedy lekarz w szpitalu zapytał, kim jesteś, nagle nasunęła mi się odpowiedź. Całkiem wiarygodna. Noworodek, wspólna podróż, odpowiadamy sobie wiekiem. - Wzruszyła ramionami, jakby podkreślając oczywistość konieczności kłamstwa.

- No i ja nie mogłem tego zakwestionować.

- Właśnie. .

- Jako moja żona kontrolowałaś wszystko ...

- Takie było generalne założenie.

- Co im powiedziałaś o szeryf Fordham?

- Że jest twoją siostrą.

- Hiszpanka ... ?

- Nie wiedzieli o tym.

- Ano tak, prawda. Nie mogli dotrzeć do samochodu z powodu powodzi.

- To też działało na moją korzyść.

- Taa ... wszystko szło po twojej myśli. Fajnie, że szeryf Fordham nie żyła, co?

- To ohydne, co mówisz! - krzyknęła.

- A nie żyła?

- Co takiego?

- Nie żyła, gdy auto osunęło się do wody?

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w ścianę. Widział, że jest wściekła. W oczach miała łzy złości, kiedy znów odwróciła do niego twarz.

- Pieprzę cię.

- Fakt - odpalił równie pogardliwym tonem. - Zdarzyło się parę razy. - Ich płonące oczy się spotkały. - Pozwoliłaś, żeby Ruthie Fordham utonęła?

Milczała.

- Odpowiedz mi, do cholery! - wrzasnął. - Nie żyła, kiedy ...

- Tak! Tak! Zginęła w zderzeniu. Raport koronera z pewnością to potwierdzi.

Chciał jej wierzyć. Wydawało mu się, że mówi prawdę. Miał nadzieję, że mówi prawdę, ale z profesjonalnego punktu widzenia nie dowierzał jej. Cholernie dobrze umiała kłamać.

- Dlaczego nie zostawiłaś mnie w samochodzie, żebym się utopił? - spytał.
- Mogłaś spokojnie odejść. Minęłoby wiele dni, zanim odnaleziono by nasze ciała. O całe mile w dół rzeki od miejsca wypadku. Sporo czasu upłynęłoby, nim by nas zidentyfikowano. Miałabyś szansę zniknąć bez śladu. Dlaczego mnie wyciągnęłaś?

Oblizwała kącik ust, w który spłynęła łza. Nie wyglądała już na rozzłoszczoną. W jej oczach pojawiły się łzy żalu.

- Spałeś przy mnie, kochałeś się ze mną i pytasz, dlaczego uratowałam ci życie? Dlaczego ratowałabym każde życie? Naaprawdę myślisz, że jestem zdolna odejść i pozwolić, by ktoś ranny umarł? Nie znasz mnie na tyle?

- W ogóle cię nie znam. - Pochylił się ku niej. - Jesteś mi tak samo nieznamym jak wtedy na tym podwórku w Denver, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy w życiu.

Potrząsnęła głową, protestując przeciwko temu, co powiedział.

_ Wymyśliłaś tyle kłamstw, ułożyłaś tyle historyjek, Kendall, że już nie wiem, co jest prawdą, a co fikcją.

- Kevin chce jeść.

_ Co? - Gwałtownie odsunął się od niej. Dziecko szarpało przez bluzkę pierś Kendall. Zupełnie go to rozbroiło. - Och! No to go nakarm.

Nie tak dawno się z nią kochał. Pieścił jej ciało ustami, dłońmi. Mimo to nie był w stanie patrzeć, jak odpina bluzkę i podaje głodnemu niemowlęciu pierś. Czuł się winny, niczym klęczący koło konfesjonału nastolatek, doświadczający mimowolnej erekcji przy wyznawaniu grzechu cudzołóstwa. Cholernie ciężko było zachowywać się profesjonalnie patrząc, jak karmi dziecko. Na szczęście odwróciła jego uwagę, wprawiając go jednocześnie w osłupienie pytaniem:

- Kto to jest Lisa?

- Skąd o niej wiesz?

_ Mówiłeś przez sen. Kilka razy coś tam o niej mamrotałeś. Kim jest? Twoją żoną? Jesteś żonaty?

Roześmiał się, tak zabawne wydało mu się jej zaniepokojenie.

_ Porwałaś oficera policji federalnej, a martwisz się, że popełniłaś cudzołóstwo?

- Więc jesteś?

- Nie.

- Kim jest Lisa?

_ No ... kobietą po prostu. - Wpatrywała się w niego pytającym wzrokiem, więc wyjaśnił jej pokrótce naturę swojego związku z Lisą. - Odeszła, ot tak sobie - powiedział, pstrykając palcami. - Nie poruszyło mnie to specjalnie.

_ Jednym słowem, ciepłe ciało, z którym sypiałeś?

_ Właśnie. Całkowicie niezobowiązujący układ seksualny. Nawiasem mówiąc, nie sprawiło ci to różnicy ... Mówiłem o niej przez sen, a ty i tak się ze mną zabawiałaś, co? - zaatakował. - Taka sama moja wina, jak twoja.

_ Niezupełnie. Nie prosiłem cię, żebyś wkroczyła w moje życie. Zrobiłem Jimowi piekło, że mnie tobą obarcza. Gdyby to ode mnie zależało, umyłbym ręce już w Dallas. Dlaczego wtargnęłaś w moje życie, Kendall?

_ Może pamiętasz, że nie miałam wyboru - odcięła się. - Próbowałam wysliznąć się ze szpitala, ale mnie złapałeś i nalegałeś, żeby pójść ze mną.

- Miałaś bardzo wiele okazji, żeby się mnie pozbyć, zanim tu dotarliśmy. Na przykład za każdym razem, kiedy poszedłem do toalety. Dlaczego zwyczajnie nie odjechałaś?

- Bo im dłużej nad tym myślałam, tym sensowniejsza wydawała mi się twoja obecność. Nawet o kulach potrafiłbyś chronić mnie i Kevina.

- Nie mógłbym się do niego zbliżyć, a co dopiero dotknąć!

- Tego nie wiedziałam, dopóki nie znaleźliśmy się w tym domu. - Spojrzała na niego z namysłem. - Bardzo jestem ciekawa, skąd ta twoja niechęć do Kevina?

- Nie do niego szczególnie. Do wszystkich dzieci.

- Dlaczego?

Potrząsnął energicznie głową, dając do zrozumienia, że temat jest tabu.

- Właściwie gdzie jesteśmy? - zapytał. - Jak się nazywa najbliższe miasto?

- Morton. To wschodnia część stanu Tennessee, niedaleko granicy z Karoliną Północną. - Opowiedziała mu historię domu. - Nikt oprócz mnie i babci nigdy tu nie przyjeżdżał. Doskonałe miejsce, by się ukryć. Słuchaj,

John - powiedziała przejętym głosem - naprawdę nie mogłam pojechać do Kaaroliny Południowej, by zeznawać przeciwko Mattowi i Gibbbowi.

- Twoje zeznanie jest potrzebne, żeby ich skazać.

- Jestem pewna, że do tej pory Pepperdyne znalazł już materiały, które zostawiłam w mieszkaniu w Denver - oświadczyła, potrząsając głową. - Zbierałam je przez rok. Są dość obszerne i zawierają informacje o najważniejszych członkach Brotherhood. Nawet jeśli są niewystarczające do skazania za morderstwo, na ich podstawie można oskarżyć tych ludzi o inne popełnione przez nich przestępstwa. Tak jak usadzili Al Capone za niepłacenie podatków. Byłam świadkiem tego, co zrobili, John, i nie ma słów, które oddałyby grozę ich czynu. Rozmawiałam z Michaelem Li parę godzin przed dokonaną na nim egzekucją. Inteligentny, wrażliwy, dobrze wychowany młody człowiek. Kiedy myślę o strachu, jakiego doświadczył, o jego agonii ... - Odwróciła głowę i zapatrzyła się smutno w przestrzeń. - Odebrali mi wszystko, John. - Spojrzała znowu na niego. - Stałam się uciekinierką i kryminalistką. Praktyka prawnicza jest przede mną zamknięta. A byłam w tym dobra - powiedziała z naciskiem. Łzy wypełniły jej oczy. - Wierzyłam w to, co robię. Chciałam pomagać ludziom, zmienić coś. Okradli mnie z tego. Naprawdę bardziej niż ktokolwiek chciałabym wpakować te potwory na resztę ich życia za kraty. Chciałabym się zachować jak na dobrą obywatelkę przystało, ale nie zamierzam za to umierać. - Przerwała i przycisnęła synka mocniej do piersi. - Nie chcę, by Kevin podobnie jak ja wychowywał się jako sierota. Ale jeśli pojawię się gdziekolwiek w pobliżu Matta i Gibba, zabiją mnie. W brutalny i okrutny sposób.

Zrozumiał. I odpowiedział, jak mogła się spodziewać:

- Nie mogą cię skrzywdzić, Kendall - jego głos brzmiał łagodnie. - Są w więzieniu.

- Już nie. Dwa dni temu uciekli.

Był zdumiony, ale i podejrzliwy: może znowu kłamała?

- Skąd wiesz?

- Rozmawiałam z Ricki Sue przez telefon i powiedziała mi.

- Kiedy?

- Dzisiaj.

- To z tego powodu wróciłaś tak mocno zdenerwowana z miasta?

- Tak. Nie znam szczegółów, bo rozłączyłam się natychmiast, gdy to usłyszałam.

Przeczesał palcami włosy i zaczął kuśtykać po kuchni, usiłując rozważyć wszelkie implikacje tego, że Burnwoodowie wydostali się na wolność. Kiedy podszedł z powrotem do Kendall, zapinała bluzkę, a Kevin spał w kołysce jej ramion.

- Jak daleko stąd do twojego rodzinnego miasta? Sheridan, zdaje się?

- Około dziewięćdziesięciu mil.

- Tylko tyle?

- W dodatku oni już się tam pojawili. - Opowiedziała mu o pułapce FBI w domu babci. - Nie rozpoznano włamywaczy, jednak prawdopodobnie to Matt i Gibb.

- Nie dziwię się, że chciałaś dziś w nocy wyjechać. Gdybym wiedział, że uciekli, już parę dni temu bym to zrobił. Myślę, że ... - Zaraz, zaraz! Co powiedziałaś? - Kendall wstała. - Że wyjechałbyś już parę dni temu?

Bezradnie patrzył, jak zmienia się wyraz jej twarzy w miarę, jak dociera do niej znaczenie jego słów.

- Czyli pamięć ... wcale nie wróciła ci dopiero teraz. Wiedziałaś ... - Zatchnęła się i podniosła rękę do ust. - Wiedziałaś, a mimo to ... Niech cię cholera! - Uderzyła go mocno w twarz. - Od jak dawna?

- Kendall! - Schwycił ją za nadgarstek, nim zdążyła udeerzyć ponownie. - Posłuchaj mnie! Nie mamy czasu, żeby się teraz handryczyć!

- Ależ tak, sędzę, że mamy, doktorze McGrath - szydziła. - Dlaczego nie miałabym się położyć na łóżku, żebyś mógł popraczkować nade mną jako psycholog? Ciekawy przypadek, prawda? Z rozkoszą mnie otwierałaś, sprawdzałaś, jakie bodźce na mnie działają. Cały poświęcony analizowaniu ... Praca idzie ci najlepiej, kiedy na mnie leżysz!

- Żeby nie wspomnieć o tym, jak świetnie udajesz, kiedy na tobie leżę! - wrzasnął.

- Ty dupku!

- Słuchaj, przecież sama chciałaś bawić się w dom z nieznanym facetem, którego uprowadziłaś. To ty wymyśliłaś historyjkę o małżeństwie. Cholernie byłaś przekonująca, muszę przyznać. Więc nie mnie obwiniaj, że zachowałem się jak na męża przystało. - Oparł kulę o stół, położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie, przytulając jednocześnie Kevina. - Możesz mnie tylko oskarżać, że zagrałem wyznaczoną przez ciebie rolę, Kendall.

- Pogrywałeś ze mną, żeby poznać moje sekrety i wykoorzystać to przeciwko mnie. Zamierzałeś opowiedzieć wszystko swojemu przyjacielowi Pepperdyne'owi. Przedyskutować, przeanalizować. Manipulowałeś mną.

- Nie bardziej niż ty mną - zrewanżował się.

- Kiedy ci pamięć wróciła? Powiedz mi. Kiedy?

- Do tej pory nie zorientowałaś się, jak nieodpowiednią osobę wybrałaś do odgrywania roli męża i ojca? - zapytał, zaciskając palce na jej ramieniu. - Ale ty byłaś perfekcyjna: cierpliwa żona, trwająca przy rannym mężu, mimo że złamał małżeńską przysięgę i kłamał dla innej kobiety. Udręczona, ale dająca nadzieję na przebaczenie i pojednanie. Zachowująca rezerwę, ale do pewnych granic. Skromna, ale nie niedostępna. Emanująca seksem madonna, której żaden mężczyzna nie jest w stanie się oprzeć. Niech cię licho, Kendall, uwdziłaś mnie na wszystkie sposoby i dobrze wiedziałaś, co robisz. Sprawiałaś, że zacząłem cię pożądać. Zacząłem pragnąć, abys należała do mnie. Pragnąć ... żeby Kevin był mój. Pierwszy raz w życiu chciałem tworzyć z kimś jedność ... Nigdy nie umiałem budować związków, prawdę mówiąc, byłem pod tym względem obrzydliwy. Nie dopuszczałem do

wzajemnej bliskości. Zmieniłem się. Wiem teraz, jakie to uczucie potrzebować kogoś i być samemu potrzebnym. Nie chcę wracać do tego, co było. Głos mu się lekko załamał; oparł czoło o jej czoło, jakby wyczerpany tym monologiem. - Sypiając z tobą, złamałem Bóg wie ile rozporządzeń, reguł, praw. Zażądają wytłumaczenia, kiedy będzie po wszystkim. Oświadczę, że wypełniałem tylko swoje obowiązki, tak jak sytuacja tego wymagała, ale z pewnością tego nie kupią. - Odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy. - Oszukiwałem cię, zgoda, ale nie bardziej niż siebie samego. Do diabła z obowiązkiem. Kochałem się z tobą, bo tego pragnąłem, a nie dlatego, że musiałem.

Nie sądził, aby potrafiła docenić oświadczenie, jakie właśnie złożył. Na swój sposób wyznał jej miłość, na co dotąd nigdy w życiu się nie zdobył. A może jednak, ponieważ nagle opuściła ją wola walki. Popatrzyła na niego pociemniałymi oczami i dotknęła jego ust.

- Bezwstydnie tobą manipulowałam, fakt. Ale przysięgam na życie Kevina, że to, co się między nami zdarzyło, było prawdziwe.

Zaczęli się całować; nawet gdy ich wargi się rozdzieliły, nie odsunęli się od siebie.

- Kocham cię, John - zamruczała tuż przy jego usstach - muszę jednak chronić Kevina. I ciebie. I choćbyś miał mi nigdy nie wybaczyć, będę się tego trzymać.

Zanim się zorientował, odepchnęła go, wyszarpując pistolet zza gumki jego spodenek. Przechylił się w stronę kuchenki gazowej, stracił równowagę i osunął się na podłogę, wydając okrzyk bólu i wściekłości.

Kendall kopnięciem odsunęła kulę, by nie mógł po nią sięgnąć. - John, wybacz - zaszlochała - ale nie mogę pozwolić, żebyś zawiózł mnie tam z powrotem. - Wypadła przez drzwi; zamknęły się za nią z trzaśnięciem.

Ból z podudzia zaczął promieniować na udo, brzuch, aż eksplodował jak nieoczekiwany wybuch wulkanu w jego czaszce. Objął złamaną nogę i przyciągnął ją do piersi.

- KendalII! - zawołał z suchym szlochem bólu. - KenndalII! - powtórzył głośniej.

Ani przez sekundę nie spodziewał się, że wróci, i nie wierzył własnym uszom, gdy usłyszał skrzyp otwieranych drzwi. Ottworzył oczy i mrugając z bólu odnalazł ją wzrokiem.

Wróciła. Ale nie sama. I nie z własnej woli.

Rozdział czterdziesty czwarty

Jeśli się znało rozkład dnia Elmo Carneya, można było według niego regulować zegarek. Wstawał co rano o wpół do piątej, wypijał filiżankę kawy i deszcz czy słońce, śnieg czy żar, szedł do obory wydoić czeredkę mlecznych krów. Za pięć szósta, co do sekundy, wsiadał do półciężarówki i jechał dwie mile do miasta zjeść śniadanie w kawiarni, którą otwierano o szóstej.

Tak to wyglądało od czasu śmierci żony Elmo Carneya.

Nienawidził sobót, ponieważ kawiarnia pozostawała zamknięta do siódmej, i niedziel, kiedy to natychmiast po udoju zamieniał kombinezon na garnitur, wiązał krawat i jechał do kościoła. Zawsze burczało mu w brzuchu podczas mszy.

Ranek zaczął się jak zwykle. Wydoił krowy i ruszył do miasta, nie przeczuwając, co go spotka za zakrętem. Pograżony w marzeniach o biskwitach i kiełbaskach, nagle zauważył maaterializującą się niemal tuż przed maską półciężarówki zjawę. Wychynęła z gęstwiny krzaków porastających przydrożny rów, zakotwiczyła na środku szosy i zamachała wzniesionymi nad głową ramionami.

Elmo gwałtownie wcisnął hamulec i pedał sprzęgła. Opony na chwilę straciły przyczepność. Stare hamulce zadziały opornie jak artretyczne stawy. Samochód zdołał się zatrzymać zaledwie o cale przed fantasmagorią. Serce podeszło Carneyowi do gardła, gdy podbiegła do szoferki i otworzyła drzwiczki po stronie pasażera.

- Bogu niech będą dzięki, że pan nadjechał. - Zjawa wdrapała się na siedzenie i zatrzasnęła drzwiczki. - Czekam całe godziny - poskarżyła się. - Czy tutaj nikt nie mieszka? A w ogóle, gdzie jesteśmy, do cholery? Całe życie spędziłam w Sheridan, a nie pamiętam, żebym tu kiedyś była. I za chooolerę nie chciałabym się tu więcej znaleźć, to pewne ... - przeerwała i spojrzawszy na Elmo wskazała dźwignię biegów. - Na co czekamy? Ruszamy stąd, dziadku. Muszę być gazem w mieście.

Elmo, ogłupiały, wpatrywał się w nią gamoniowato z dłońmi przyrośniętymi do kierownicy. Poruszała się, mówiła, czuł nawet jej zapach, mimo to nie wydawała mu się realna.

- Wspaniale - wymamrotał przerażony. - Jakby mi jeszcze wszystkiego było mało, musiałem złapać na pasażerkę przygłupa. Kurewski tydzień.

- Eje-jej! - Zjawisko zamachało mu ręką przed oczami. - Dziadziu! W porządku pod dachem? Zamrugaj. Rusz się, na litość boską! Co z tobą? Nie widziałeś nigdy w życiu nagiej kobiety? A może nie widziałeś naturalnie rudych włosów?

Zamieszanie w sąsiednim pokoju przebudziło Pepperdyne'a.

Godzinę temu ostatecznie poddał się zmęczeniu i położył na składanym łóżku. Nie spodziewał się, że zapadnie w drzemkę; chciał tylko dać wypocząć oczom. Tymczasem zasnął głęboko i choć obudzono go gwałtownie, czuł się wypoczęty. Usiadł i spuścił nogi na podłogę. W tym samym momencie wpadł przez drzwi policjant.

- Panie Pepperdyne, niech pan tam natychmiast idzie.

- Co się dzieje? Znaleźli ich?

"Ich" mogło się odnosić do bardzo wielu ludzi, ale Peppperdyne nie próbował tego uściślać; poszedł za policjantem do pokoju, w którym inny policjant rozmawiał z kościstym farmerem w kombinezonie, a wszyscy pozostający na służbie tłoczyli się przy oknach wychodzących na trawnik przed raatuszem.

- Co tu się do cholery wyrabia? - zaryczał wściekle, naatychmiast zwracając na siebie uwagę wszystkich wokół, nie wyłączając farmera, który podszedł do niego, pokornie zdejmując czapkę.

- Pan Pepperdyne?

- Tak. Kim pan jest?

- Elmo Carney. Kazała mi tu przyjść i sprowadzić pana Pepperdyne'a. Nikogo innego, powiedziała. Klnę się panu na grób mojej świętej pamięci żony, że nie zrobiłem niczego nagannego ani nielegalnego. Jechałem sobie na śniadanie, a tu nagle wyskoczyła mi przed nosem, prosto na środek drogi, golusieńka, jak ją pan Bóg stworzył, i zaczęła wymachiwać rękami. O mało nie dostał ataku serca. Wlazła mi do ciężarówki ...

- Przepraszam, kto?

- Rudowłosa kobieta. Raczej taka pulchna. Mówiła, że pan ...

- Coś jej się stało? - Pepperdyne, nie czekając dłużej, skierował się szybkim krokiem do drzwi.

- Tak, ale jak panu powiedziałem, ja jej nic złego nie zrobiłem.

- Nich mi ktoś da płaszcz. Marynarkę. Cokolwiek - zażądał Pepperdyne.

Jeden z policjantów podał mu żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Pepperdyne złapał go i popędził korytarzem do drzwi frontowych. Zatrzymał się przy wyblakłym błękitnie karoserii półciężarówki zaparkowanej przy parkometrze.

- Co to tak długo trwało? - spytała zrzędliwie Ricki Sue, otworzyła drzwiczki i wyrwała mu z ręki deszczowiec. - Gały wyjdą na wierzch tym głupkom - rzuciła pogardliwe spojrzenie na okna i przyklejone do nich twarze.

Pepperdyne poszedł za jej wzrokiem. Na widok jego groźnej miny twarze zniknęły. Odwrócił się z powrotem do Ricki Sue. Trudno ich było winić, że się gapili jak ogłupiali: jak stary farmer powiedział, była nagusienka jak ją pan Bóg stworzył i przedstawiała sobą naprawdę niezwykły widok.

On również zareagował typowo po męsku: tyle odsłoniętego ciała naraz, pomyślał, ale jednocześnie jego umysł zarejestrował kilka profesjonalnych spostrzeżeń. Stopy miała oblepione błotem. Cała była podrapana i posiniaczona. Totem na głowie rozplątał się i włosy spływały na nagie ramiona i obfite piersi; nie sposób było ich obfiteści zignorować, nawet jeśli przyglądało się im w obiektywny profesjonalny sposób ... Włosy na tyle głowy pokrywała zaschnięta krew.

- Powinna pani iść do lekarza.

- Później. Musimy porozmawiać.

- Ale najwyraźniej nie czuje się pani dobrze.

- Pepperdyne, fenomen geniuszu - oświadczyła sarkastycznie. Rozłożyła ramiona, odsłaniając znowu swoje bujne ciało. - Wiadomo, że nie jestem olśniewającą pięknoscią i nigdy nie wyglądam wspaniale z samego rana, ale

też nie a' tak źle. Oczywiście, że nie czuję się dobrze, ty debil! - wrzassnęła. - Chcieli mnie zabić!

- Bliźniacy?

- Twoi faceci już ci naplotkowali?

- Taa ... naplotkowali.

- Staje ci od tego, że śledzisz ludzi? To jakiś szczególny afrodyzjak?

- Poleciłem panią obserwować dla pani własnego bezpieczeństwa.

- Tylko że nie zdało to egzaminu, co?

- Zdałoby, gdyby nie poderwała pani w barze dwóch nieznanym. W dzisiejszych czasach ... Co jeszcze głupiego potrafi pani zrobić?

- Nie wiedziałam ... - Wojowniczość Ricki Sue nagle gdzieś zniknęła; jej twarz się wykrzywiła i zaczęła płakać. `Nie wiedziałam, że chcą mnie skrzywdzić ...

Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął zmiętą chusteczkę i podał jej niezręcznym gestem.

- Czysta? - zapytała, biorąc ją od niego.

- Sama zobacz.

Nie trudziła się. Wytarła oczy i wydmuchała nos. Przestała płakać, ale wciąż była roztrzęsiona. Przesunęła zębami po dolnej wardze, a Pepperdyne pomyślał, że jej usta nie pokryte purpurową szminką wyglądają znacznie ładniej.

- Mogłam umrzeć - powiedziała wzdrygając się. - Naaprawdę chcieli mnie zabić.

- Kim oni byli, Ricki Sue?

- Henry i Luther, tyle wiem. - Opowiedziała mu o motelu, picu alkoholu.
- Oprzytomniałam, kiedy wyciągali mnie z samochodu. Powinnam była się wtedy domyślić ... Ale tyle wypiałam ... W każdym razie weszliśmy do tego strumienia. Pamiętam, że Luther. .. chyba on, przyłożył mi kijem w głowę. Uchyliłam się przed następnym ciosem, podciąłam mu nogę i zwałam do wody. Nie spodziewali się, że będę walczyć. Ciężko było, bo skurwysyńsko bolała mnie głowa. Parę razy o mało nie zemdlałam. Tak czy owak, nie udało im się rozwalić mi łba.

- Dokąd pojechali?

_ Pojechali? - zaśmiała się ochryple. - Nawet nigdzie nie poszli. Są tam dalej. W każdym razie byli, gdy odchodziłam. Walnęłam ich obu tak, że stracili przytomność i przywiązałam ich własnymi spodniami do drzew.

Pepperdyne wybuchnął śmiechem. Zdawał sobie sprawę, że to niewłaściwe, ale nie mógł się powstrzymać.

_ Biuro Federalne powinno zatrudnić z parę tysięcy takich panien Robb.

Ale ona nie podzielała jego radości. Zmartwiona, przygryzła wargę.

_ Nie takich. Obawiam się, że nie lepiej dochowałam sekretu niż dziewictwa.

_ Jakiego sekretu? - spytał, natychmiast poważniejąc. - Boję się, że te bliźniacze sukinsyny mają coś wspólnego z Burnwoodami.

- Czemu tak sądzisz?

_ Zatrzymali się przed moim domem i wypytywali o drogę na moment przedtem, nim odkryłam, że się do mnie włamało. - Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

_ Nie skojarzyłam tego. I przestań na mnie krzyczeć. Głowa mi pęka.

_ Wypytywali cię w nocy o miejsce pobytu pani Burnwood? _ Nie pamiętam szczegółów, ale myślę, że spili mnie po to, by wyciągnąć informacje. Może ty powinienes spróbować tej metody, zamiast polegać wyłącznie na swoim wdzięku - dodała uszczypliwie.

_ Rozmawiałaś z kimś poza nimi? Dzwoniłaś do kogoś?

- Nie. W każdym razie nie pamiętam.

- Co im powiedziałaś, Ricki Sue? Muszę wiedzieć.

_ Nie tak szybko. Zamierzasz wsadzić Kendall do więzienia, kiedy ją znajdziesz?

- To nie ode mnie zależy.

Splotła ramiona pod biustem i przyjęła zdecydowaną poostawę. Pepperdyne przygryzł policzek.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział.

- To za mało. Nie chcę, żeby zamknęli mi przyjaciółkę tylko za to, że próbowała ocalić własną skórę.

_ W porządku. Postaram się załatwić, żeby poszli z nią na ugodę. Tylko tyle mogę obiecać, a i to zależy od stanu, w jakim będzie John, gdy go znajdziemy.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym oznajmiła:

- Jeśli jej albo dziecku stanie się jakaś krzywda ...

- Właśnie temu usiłuję zapobiec. Cały czas staram się ich ochronić. Proszę. Powiedz mi, Ricki Sue.

- To cię będzie kosztować.

- Cokolwiek.

- Obiad i tańce.

- Ja z tobą?

- Nie. Fred Astaire z Ginger Rogers - powiedziała z jadowitym sarkazmem.

- Zgoda - skinął głową. - Ale mów.

Rozdział czterdziesty piąty

Dwóch mężczyzn wprowadziło Kendall do kuchni, z której przed chwilą wybiegła. Matt wyrwał jej Kevina, a Gibb szturchnął w plecy tak silnie, że upadła na podłogę, omal nie padając na Johna.

- Ona nigdzie nie wychodzi, szeryfie McGrath. Macie towarzystwo. - Gibb Burnwood uśmiechnął się uprzejmie, jakby po prostu wpadł nie zapowiedziany przygotować śniadanie, jak to miał w zwyczaju rankiem. - Może zaparzyłabyś kawę, Kendall? Mamy za sobą długą, nużącą noc. Z chęcią bym się napił, a i Matt, jak przypuszczam, też.

Emanowało z niego zło. Zawsze tak było? Nie widziała tego dotąd, bo podobna rzecz nie przyszłaby jej na myśl? Czy dopiero ostatnio się to objawiło? Jego oczy rozświetlało złowrogie światło, które mroziło. Przypomniała sobie nagle koszmarną nocną egzekucję Michaela Li i ogarnęło ją pragnienie, by wydrapać te jarzące się oczy. Spojrzała na Matta trzymającego Kevina. Była bezsilna - mogła zrobić tylko to, co jej kazano.

Mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa ze strachu, zdołała jednak podnieść się na nogi i zupełnie automatycznie nastawić kawę. Kiedy płyn ściekał do dzbanka, Gibb w oczekiwaniu przysiadł na kuchennym krześle, opierając na kolanach myśliwską strzelbę.

- Nazywam się Gibb Burnwood - zwrócił się do siedzącego na podłodze Johna. - Nie spotkaliśmy się dotąd, ale ostatnio dużo pisano o panu w gazetach, tak że czuję się, jakbym pana znał. Miło mi.

John popatrzył na starszego mężczyznę. Nie mógł wiedzieć, że zachowując milczenie po uprzejmym przedstawieniu się Gibba, obraża go śmiertelnie.

- Jak widzę, nie jest pan zadowolony z naszego widoku - oświadczył sztywno były teść Kendall - choć nie rozumiem dlaczego. Wkrótce uwolnimy pana od mojej niezrównoważonej umysłowo synowej i wcale nie oczekujemy podziękowań. Ale im bardziej wrogo będzie się pan wobec nas zachowywał, tym łatwiej przyjdzie nam pana zabić, gdy nadejdzie właściwa pora. - Uderzył dłonią w udo, jakby wyrażał zadowolenie z rozstrzygnięcia niezwykle ważnej sprawy. □Kendall, kawa gotowa?

Swobodny ton rozmowy i przyjacielskie zachowanie Gibba przerażały ją bardziej, niż gdyby plótł patetyczne brednie czy w inny sposób okazywał swoją nienawiść. Opanowani zabójcy mordowali zazwyczaj w najbardziej bezlitosny sposób. Gibb sprawiał wrażenie człowieka całkowicie przy zdrowych zmysłach, ale najwidoczniej stracił poczucie rzeczywistości. Całym sercem i duszą wierzył w credo Brotherhood. Upoił się własną fanatyczną propagandą. Uważał samego siebie za człowieka całkowicie odmiennego od reszty ludzi.

I w istocie był takim człowiekiem.

Kendall podeszła do niego z parującym dzbankiem kawy, zastanawiając się, co by było, gdyby ją na niego wylała. Zeerwałby się pewnie z krzesła i

mogłaby w zamieszaniu porwać Kevina, a John skoczyłby na Gibba. Spojrzała na Johna. Obserwował ją. Wiedział, o czym myśli.

Ale Gibb także. Nie odwracając głowy, nie patrząc na nią, powiedział:

- Kendall, ufam, że nie zrobisz niczego głupiego. - Dopiero teraz na nią popatrzył. - Rozczarowałaś mnie pod wieloma względami, oprócz jednego: jesteś bardzo inteligentna. W gruncie rzeczy zbyt inteligentna. Byłoby znacznie lepiej dla ciebie, gdybyś nie miała tak błyskotliwego intelektu. Więc postaraj się nie rozczarować mnie znowu i nie rób nic głupiego. Inaczej będę musiał zastrzelić twojego przyjaciela.

- Nie żałuj sobie, strzelaj - oświadczyła, stawiając filiżankę z kawą na stole z prowokującym stuknięciem. - Żaden z niego przyjaciel. Gdybym miała broń, sama bym go zastrzeliła. - Spojrzała na Johna z pogardą. - Oszukał mnie. Cierpiał na amnezję w następstwie wypadku, ale zaniedbał mnie poinformować, kiedy odzyskał pamięć. Cały czas starał się mnie na czymś przyłapać.

Kula leżała wciąż poza zasięgiem Johna i musiał posłużyć się krzesłem, żeby podnieść się z podłogi.

_ Tato ... ? - Matt, nie spuszczał z McGratha oczu, dał krok do przodu.

- W porządku, synu. - Gibb powstrzymał go ruchem dłoni. - Nie jest w stanie nic zrobić.

- To prawda, panie Burnwood - odezwał się wreszcie John. - Nie jestem. Przed nią też nie byłem w stanie się obronić, gdy mnie uprowadziła - powiedział szyderczo. PPrzywiozła mnie tutaj i zaczęła udawać - skierował wzrok na Matta i mówił dalej przeproszającym tonem - że jest moją żoną. Nie wiem dlaczego, skoro mogła mnie tu zostawić i uciekać dalej sama.

_ Czekala, aż osłabnie pierwszy impet pościgu i władze zwrócą uwagę na coś innego - wysunął przypuszczenie Gibb.

_ Prawdopodobnie ma pan rację - zgodził się John. □ W każdym razie nie mogłem zaprzeczyć niczemu, co mówiła, ponieważ niczego nie pamiętałem. Żyłem więc z nią, jakbym był jej mężem. Z wszelkimi tego konsekwencjami.

Rozzłoszczony Matt dał następny krok naprzód, ale Gibb znowu powstrzymał go ruchem ręki.

_ Trudno o to obwiniać pana McGratha, Matthew. To ona ponosi winę.

- To prawda, Matt - potwierdził John. - Reagowałem stosownie do jej kłamstw. Skąd miałem wiedzieć, że nie jesteście małżeństwem?

_ Wiedziałaś! - wykrzyknęła Kendall. - I to od dłuższego czasu. Pamięć ci wróciła, ale ...

_ Ale uwiodłaś mnie przedtem - przerwał jej John; wciąż zwracał się tylko do Matta: - Nie muszę ci mówić, jaka jest dobra w łóżku. W każdym razie ze mną była. Może macierzyństwo tak dobrze jej zrobiło. Hormony lub coś takiego, sam rozumiesz. Mogę ci tylko powiedzieć, że nigdy nie miała doosyć ...

_ Ty dziwko! - Matt odwrócił się i stanął naprzeciwko Kendall. - Kurwiłaś się na oczach mojego syna?

_ Wiele razy leżał z nami w łóżku - odpowiedział John.

W piersi Matta wezbrał pomruk wściekłości. Kendall słuchając, jak John go prowokuje, zastanawiała się, czemu to służy, ale obydwójce nie przewidzieli tak gwałtownej reakcji. Matt uderzył ją na odlew w twarz. Nie spodziewając się ciosu, nie zdołała się uchylić i dosięgnął ją z całą siłą. Krzyknęła i upadła na stół. Matt podniósł znowu ramię, ale John rzucił się na niego, próbując sięgnąć rękami do gardła.

- Ty cholerny maniaku - zawarczał. - Jeszcze raz ją dotkniesz, a zabiję.

Nie doszło do walki; Gibb podniósł kulę i walnął Johna w nerki. Kendall usłyszała jęk straszliwej męki i zobaczyła, jak pod Johnem uginają się kolana. Opadł na czworaki, głowa zwisała mu luźno między ramionami.

Kevin zaczął głośno płakać; wystraszyło go zamieszanie i podniesione głosy. Gibb wziął malca od Matta i trzymając go przy piersi przemawiał do niego pieszczotliwie, jakby siedział na popołudniowej sobotniej wizycie. Ale Kevin nie dał się zwieść temu słodkiemu gruchaniu i wrzeszczał nadal.

Nie mogła nic zrobić dla synka, Gibb by jej go nie oddał, uklękła więc przy Johnie i oplotła go ramionami.

- Przepraszam - wyszeptła mu w ucho. - Przepraszam. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie kłamała. Umrze z jej powodu.

Gibb mu to obiecał. Mieli zakończyć życie w tym pokoju. Nic nie byli w stanie zrobić. Ale nie okaże strachu Burnwoodom. Podniosła głowę. Po jej policzku ściekała krew. Popatrzyła z pogardą na Matta. Nosiła jego nazwisko, nazywała go mężem, ale był jej całkowicie obcy. Powie mu, zanim umrze, jak żałośnie nie sprawdził się w roli męża i kochanka.

- Przez ostatnie tygodnie zaznałam miłości, o jakiej nie miałam pojęcia, będąc twoją żoną.

- Przed Bogiem wciąż nią jesteś.

- Ty hipokryto - szydziła. - Przecież się ze mną rozwiodłeś.

- Bo mnie porzuciłaś.

- Uciekłam, chroniąc siebie i dziecko.

- To moje dziecko.

- Niezły byłby z ciebie tatuś! Dzielący czas między syna, Brotherhood i kochankę.

Ramiona Matta uniosły się i opadły. Odetchnął chrapliwie i zabrzmiało to niemal jak szloch.

- Lottie nie żyje.

Kendall zamilkła ze zdumienia, widząc, jak Matt zakrywa twarz dłońmi i zaczyna rozdzierająco płakać. John z grymasem bólu zdołał usiąść na

podłozie, opierając się o szafkę. Oboje z Kendall wymienili spojrzenia. Mogłaby przysiąc, że wybuch Matta zaskoczył go nie mniej niż ją.

- Synu, dość tego!

Ponieważ Matt nie zareagował na ojcowskie polecenie, Gibb je powtórzył. Matt odjął ręce od zalanej łzami, podpuchniętej twarzy.

- Dlaczego musiałeś ją zabić? -- spytał.

Kendall się wzdrygnęła. Gibb zabił Lottie Lynam? Kiedy? W jakich okolicznościach?

- Mażesz się jak baba - skarcił syna Gibb. - To niemęskie i haniebne. Natychmiast przestań.

- Nie musiałeś jej zabijać.

- Rozmawialiśmy już o tym, synu, nie pamiętasz? Była narzędziem szatana. Zrobiliśmy, co do nas należało. Służba Bogu wymaga poświęceń.

- Kochałem ją. - Głos Matta był ochrypły od płaczu. - Była ... była ...

- Zwykłą dupą do łóżka.

- Nie nazywaj jej tak! - krzyknął Matt.

Widać było, że załamał się zupełnie. Drżał na całym ciele. Pyskał śliną, gdy mówił, twarz miał ziemistą. Łzy dalej płynęły mu z oczu, nie zdawał sobie sprawy, że z nosa mu leci. Rozzchwiany emocjonalnie, wyglądał odpychająco, ale zarazem trudno było oderwać od niego oczy.

- Kochałem ją - jęknął z rozpaczą. - Bardzo. Kochałem Lottie i ona mnie. A teraz odeszła ... Jedyna osoba, która mnie rozumiała.

- Nieprawda, synu - powiedział Gibb uspokajająco. PJa też cię rozumiem. - Skierował strzelbę ku jego piersi i poociągnął za spust.

Kula trafiła Matta prosto w serce; padł martwy, nim na jego twarzy zdążył pojawić się wyraz zdumienia. Gibb obserrwował, jak ciało syna osuwa się na podłogę, a potem spokojnie umieścił broń ponownie w zagięciu ramienia. Kevin leżał na jego kolanach krzycząc przeraźliwie.

- Bo widzicie - zwrócił się całkowicie opanowany do Kendall i Johna, zdjętych grozą - rzeczywiście rozumiałem Matthew. Ta kobieta zaszczepiła w nim chorobę. Stał się słaby. Nie można tolerować słabości nawet u tych, których kochaamy. - Objął pozbawionym emocji spojrzeniem nieruchome ciało. - Pod wszelkimi innymi względami był idealnym synem. Robił wszystko, co mu kazałem, i to dobrze. Był świetnym myśliwym. Wspaniale walczył o naszą sprawę.

- Istny książę niezłomny - oświadczył John. - I do tego niezły damski bokser.

- Niech pan nie traci śliny na prowokowanie mnie, szeryfie McGrath. - Gibb utkwił w Johnie lodowaty wzrok. - Pańskie szyderstwa mogły podziałać na mojego syna, ale ja jestem bardziej odporny. Matthew nie wiedział, kiedy się nim manipuluje. Ja tak - uśmiechnął się. - Ale

doceniam, że pan próbuje. Co do ciebie - utkwiał oczy w Kendall - za grosz mnie nie obchodzi, komu prowadzisz gospodarstwo domowe. Zależy mi tylko na tym maleńkim chłopczyku. - Podniósł Kevina, który płakał nieprzerwanie i tak głośno, że musieli go przekrzykiwać rozmawiając. - Z charakterem z niego jegoomość. Im silniejszy chłopak, tym głośniej płacze. Popatrz na te piastki. - Gibb chrząknął z dumą. - Zrobię z niego prawdziwego mężczyźnę.

- Nigdy - zapewniła go Kendall gorąco. Nagle przestała się bać. Krótko miał trwać ten przyływ odwagi; tylko do momentu, gdy umrze. Ale uchwyciła się tego, jakby mogła w ten sposób przeciwstawić się przeznaczeniu. Zdobyła się nawet na uśmiech. - Będiesz miał szansę zrobić z Kevina wyłącznie sierotę. Znajdą cię, Gibb, chociaż nas zabijesz. Agent FBI, Pepperdyne, nie spocznie, dopóki cię nie odnajdzie. Może zostaniesz przy życiu, ale i tak zabiorą ci Kevina i więcej go nie zobaczysz. Boleję nad tym, że mój syn nigdy mnie nie pozna, ale dziękuję Bogu, że ciebie też nie. Nie będziesz miał okazji poddać go indoktrynacji, spaczyć mu umysłu, przepełnić nienawiścią, zmienić w zimnokrwistego potwora, takiego jak ty. Nie udało ci się z Mattem i wiesz o tym. Okazało się w końcu, że nie jest pozbawionym serca, zobojeźniałym, poosłusznym automatem, jak chciałeś. Był ludzką istotą, miał słabości, kierował się emocjami, jak my wszyscy. Kochał Lottie może bardziej niż ciebie. Tego właśnie nie byłeś w stanie znieść. I nie uda ci się także z Kevinem. Zresztą nie będzie nosił twojego nazwiska. W ogóle nie będzie go znał.

- Przemawiasz zupełnie jak moja świętej pamięci żona □ stwierdził Gibb. - Laurelann tak jak i ty była ciekawa naszych nocnych ekspedycji do lasu. Odkryła Brotherhood i niestety, nie pojęła doniosłości naszych celów. Ostrzegła mnie, że odejdzie. Przysięgała, że zabierze Matta i nigdy go więcej nie zobaczę. Rzucała puste pogróżki, jak ty. - Wskazał głową krzesło. - Siadaj i weź dziecko. Mój wnuk potrzebuje matki.

Zawahała się, targana desperackim pragnieniem, by wziąć od niego synka, i jednocześnie zastanawiając się, jaką szykuje pułapkę. Niechętnie odsunęła się od Johna, niepewna następnego posunięcia Gibba. Ale instynkt macierzyński zwyciężył. Podniosła się na nogi i wzięła Kevina. Przytuliła dziecko do piersi i przesunęła dłonią po jego ciałku; niewiele jej już czasu zostało, by go dotykać. Kevin przestał zanosić się płaczem.

Zmiana w zachowaniu niemowlęcia zrobiła wrażenie na Gibbie.

- Zostawię ci prawo wyboru, Kendall - powiedział. pZważywszy na okoliczności, zmuszony jestem okazać ci więcej szlachetności, niż na to zasługujesz. Potrwa trochę, nim będzie można odłączyć chłopca od piersi. Z czasem przyzwyczai się do mnie i będzie we wszystkim polegać na swoim dziadku. Mogę to zrobić i dokonam tego: będzie należał wyłącznie do mnie. Niestety na tym etapie rozwoju potrzebuje jeszcze matki. Dlatego masz prawo wybrać. Albo umrzesz natychmiast, razem ze swoim nieprawym kochankiem, albo pójdziesz ze mną i przez jakiś czas zaopiekujesz się dzieckiem. I tak zapłacisz życiem za grzech zdrady i cudzołóstwa, jednak zostanie ci dane więcej czasu dla dziecka. Nie robię tego, ponieważ sobie na to zasłużyłaś, ale dla dobra mojego wnuka.

- To ja mam dokonać wyboru?

- Musisz szybko pojąć decyzję. Przy całej swej opieszałości FBI mogło także natrafić na twój ślad.

- Odejdę z tobą, Gibb, i będę współpracować - zobowiązała się. - Może ci się nawet przydam. Jestem świetna w znikaniu, wiesz o tym, ale pozwól żyć Johnowi.

- Obawiam się, że nie mogę ci tego obiecać - zmarszczył brwi Gibb. - Popełnił cudzołóstwo z żoną mojego syna. Musi umrzeć.

- Nie byłam już żoną Matta. Rozwiódł się ze mną.

- Niemniej, jak powiedział Matt, w oczach Boga ... - Wymierzył strzelbę w Johna.

- Nie, poczekaj! - krzyknęła Kendall.

- Nie błagaj tego sukinsyna o moje życie - powiedział John ze złością. - Wolę, żeby mnie zastrzelił, niż żebyś go błagała.

- John nie wiedział, że byłam zamężna. Przypomnij sobie, Gibb? - mówiła z naleganiem. - Cierpiał na amnezję. Okłamałam go, że jest moim mężem. To moja wina.

- Ale odzyskał pamięć - spierał się Gibb. - Sama przyznałaś.

- Kłamałam w obronie przed Mattem. Aż do dzisiejszego ranka nic nie pamiętał.

- Nieprawda, Burnwood. Od tygodnia mam świadomość, kim jestem i kim ona jest. Spałem z nią, bo tego chciałem. - On kłamie, Gibb.

- Po co? - spytał Gibb.

- Żeby odwrócić twoją uwagę. Ma nadzieję, że w ten sposób ochroni Kevina i mnie. Przysięgał, że nas będzie chronił, i chce się z tego wywiązać. Wszystko mu jedno, co mówi.

- Wie pan, jaka z niej kłamczucha, panie Burnwood! Wtrącił John. - Byłby pan głupcem, gdyby jej uwierzył.

- Nie kłamię, Gibb. Naprawdę dopiero tego ranka po obudzeniu stwierdził, że odzyskał pamięć. Wpadł we wściekłość, kiedy zrozumiał, jak go zwiodłam. Miał zamiar oddać mnie w ręce władz, ponieważ go wprowadziłam. Uciekałam, kiedy się zjawiliście. - Jej głos przybrał błagalny ton. - Jeśli go zabijesz, zamordujesz niewinnego człowieka, który tylko wypełniał swój obowiązek. Jesteście zresztą pod pewnym względem podobni: John przestrzega kodeksu honorowego podobnie jak ty. Wierzy w to, co robi, i nic go nie powstrzyma od spełnienia tego, co uważa za słuszne. Gibb, proszę ... Przysięgam, że mówię prawdę. Nie wiedział, że w oczach Boga jestem żoną Matta.

Gibb zastanawiał się długo, wpatrując się ciężkim wzrokiem w Johna. Wreszcie westchnął głośno.

- Kendall, nie kłamiesz już tak dobrze. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Mężczyzna, który zrobił rogi z mojego syna, musi umrzeć. - Położył palec przy cynglu, ale powstrzymał go nagły, nieoczekiwany dźwięk. Odgłos, który Gibb rozpoznał nieomylnie: szczęknięcie odwodzonego spustu. Zaamarł i utkwiał oczy w Kendall.

- Jeśli go zabijesz, wystrzelę. - Nie mówiła już wysokim, cienkim, histerycznym głosem. Brzmiał spokojnie, równo i zdecydowanie.

- Boże święty - wyszeptał Gibb. Jego rumiana twarz pobladła lekko.

- Właśnie tak, Gibb. Uchronię Kevina przed tobą, nawet jeśli jest to jedyny sposób, jaki mi pozostaje. Wolę, żeby umarł, niż spędził z tobą choćby minutę.

Wyczerpane płaczem maleństwo zasnęło na jej piersi. Półprzezroczyste powieki chłopczyka były zamknięte, na rzęsach wciąż błyszczały łzy. Rozchylone usteczka miał jeszcze leciutko wykrzywione. Jego skroni dotykała lufa rewolweru Johna.

Kiedy wypadając z kuchennych drzwi omal nie zderzyła się z Burnwoodami, byli równie zaskoczeni jak ona. Wepchnęli ją z powrotem i wtedy właśnie udało jej się wsunąć broń do kieszeni spódnicy. Do tej pory nie miała pojęcia, w jaki sposób jej użyć.

Gibb odzyskał panowanie nad sobą. Śmiał się z niej. - Nigdy nie będziesz do tego zdolna.

- Owszem, będę.

- Za bardzo go kochasz, Kendall. Tyle dla niego dotąd zrobiłaś ... ucieczka z Denver, wyśliżnięcie się szeryfom, ukrywanie tutaj ... wszystko, by go ochronić.

- Właśnie. Przed tobą. Jeśli zabijesz Johna ... - Przestraszył ją nieoczekiwany huk. Zerwała się gwałtownie z krzesła, które przewróciło się i runęło na podłogę.

- Jeśli zastrzelę Johna, to co? - szydził Gibb. Przerażona Kendall cofała się na niepewnych nogach, aż dotknęła kuchennej lady. Z niedowierzaniem zapatrzyła się na skurczonego Johna. Upadł na bok, policzek miał przyciśnięty do podłogi, krew spod niego wyciekała.

- No? - Gibb stał blisko i patrzył jej prosto w twarz. Oddaj mi mojego wnuka.

Zdołała utrzymać dziecko, kiedy zerwała się z krzesła. Płakało, znowu bezceremonialnie wyrwane ze snu. Rewolwer zwisał bezwładnie w jej opuszczonej dłoni.

John się nie rusza - myślała. - Jego krew płynie po podłodze. John nie żyje. To on go zabił...

Gibb wyrobionym instynktem myśliwego wyczuł, że ofiara się poddaje. Zbliżył się jeszcze bardziej. Uniosła rękę. Drżała tak gwałtownie, jakby rewolwer zacisnął się na jej dłoni, a ona nie mogła go strząsnąć.

- Nie zmuszaj mnie do tego, Gibb, proszę.

- Nie zabiłabyś swojego dziecka, Kendall.

- To prawda. Nie zabiłabym swojego dziecka.

Skierowała broń na niego i w małym domu rozległ się trzeci wystrzał.

Rozdział czterdziesty szósty

John! Kendall przeskoczyła ciało Gibba i uklękła przy Johnie.

- John? John? - Przekręciła go na plecy.

- Ten sukinsyn nie żyje?

- Bogu dzięki, nie zastrzelił cię. - Pochyliła się i przytuliła do niego, trzymając między nimi Kevina. - Bogu dzięki. Myślałam, że cię zabił.

- Czy on nie żyje?

Spojrzała na ciało; nie było wątpliwości.

- Tak.

- To dobrze.

Roześmiałyby się z ulgi, ale nie mogła; łzy spływały jej po twarzy.

- Och, John, jesteś ciężko ranny.

- Czuję się dobrze. - Nie było to prawdą; przy każdym słowie wydobywał się z jego piersi słaby świst. - Co z dzieckiem? W porządku? Nic mu nie jest?

Kevin wydierał się jak nigdy dotąd. - Miał ciężki ranek.

- A my nie? - uśmiechnął się John mimo bólu.

Nagle dom zaroił się agentami FBI. Pierwszy wbiegł pędem Pepperdyne, ciężko tupocząc. Rzucił okiem na Johna, zaklął soczyście, wsadził palce do ust i gwizdnał przeraźliwie.

- Sprowadzić personel medyczny! Gazem!

- Cóż to tak cholernie długo trwało? - utyskiwał John, gdy przyjaciel przy nim przykucnął. - Myślałem, że się wykrwawię na śmierć, zanim wejdziecie. Podkradaliście się pod dom tak cichusieńko, jakby się zbliżał spłoszony bizon, a potem siedzieliście na tyłkach, prasując sobie jaja i czekając, aż ten sukinsyn mnie postrzeli.

Pepperdyne zdjął kask kuloodporny i roześmiał się.

- Nie dziękuj, John. I tak wiemy, że jesteś nam wdzięczny.

- Wiedziałeś, że są na zewnątrz, John? - spytała zaskoczona Kendall.

- Tak - skinął głową. - Dostrzegłem ruch przez zasłonę i wiedziałem ... miałem nadzieję, że to oni. Dlatego robiłem wszystko, żeby zająć uwagę Burnwoodów.

- Nie powinieneś był atakować Matta. Mogli cię od razu zabić.

- Nie myślałem o tym. Kiedy cię uderzył ... Z wielu powodów żałuję, że nie mogłem go sam zabić.

Wymienili długie, znaczące spojrzenia; przeszkodził im dopiero pielęgniarz, który wbił igłę w ramię Johna.

- Uau! Cholera, to boli!

- Które z was dwojga wypełni mi białe plamy? - spytał Pepperdyne. - Muszę dokładnie wiedzieć, co tu zaszło.

Kendall obserwowała medyków, daremnie szukających oznak życia u Matta. Nie czuła żalu z powodu śmierci byłego męża, ale napełniała ją smutkiem myśl o jego zmarnowanym życiu.

- Gibb go zastrzelił.

- Widzieliśmy. Czy z powodu pani Lynam?

- Tak. Matt powiedział, że Gibb ją zabił.

- Została znaleziona w motelowym pokoju z poderżniętym gardłem - wyjaśnił Pepperdyne.

- Matt naprawdę ją kochał - stwierdziła ze smutkiem Kendall. - Nie miał szansy, żeby zaznać szczęścia w życiu. Nie przy takim ojcu jak Gibb.

- Jeden z naszych strzelców wyborowych z pewnością osiągnąłby starego po tym, jak załatwił Matta - powiedział Pepperdyne. - Ale było to zbyt ryzykowne, bo trzymał dziecko.

- Cały czas mieliście go na muszce? - spytała Kendall.

- Tak. Potem jednak pani usiadła na krześle z dzieckiem - pokazał palcem - akurat na linii strzału. Kiedy trafił w Johna ... - Och, to nic wielkiego - zamamrotał John, którego pielęgniarze układali na noszach.

Pepperdyne odburknął, żeby przestał wreszcie skamlać, ale dla Kendall było oczywiste, że dwóm starym przyjaciołom sprawia przyjemność wymienianie zgrzyźliwych uwag.

- Kiedy stary Burnwood trafił w Johna - podjął inspektor - przesunęła się pani w kierunku blatu. - Mieliśmy nadzieję, że pani blefuje z tym rewolwerem wymierzonym w dziecko.

- Oczywiście, i Gibb dobrze o tym wiedział. Nagle zdałam sobie sprawę, że wystrzelivszy do Johna zostawił broń na stole. Stał nie uzbrojony. Wymierzyłam z rewolweru i zabiłam go.

- Nie pani. Nasz człowiek załatwił go czyściutkim strzałem prosto w głowę.

Kendall wiedziała, że długo nie opuści jej straszliwe wspomnienie widoku przestrelonej głowy Gibba. Zadrżała i przycisnęła do siebie mocniej Kevina.

- Jak pani weszła w posiadanie broni Johna? - spytał Pepperdyne.

- Ja jej dałem - skłamał McGrath.

- Tak - potwierdziła skwapliwie. - Żebym była bezpieczniejsza.

- Dlaczego? - domagał się wyjaśnień Pepperdyne. ŃI pomyśleć, że podobno cierpiałeś na amnezję. Zupełnie o tym zapomniałem. Źadnych dowcipów od tej pory. Kiedy odzyskałaś pamięć?

- Daj nam chwilę oddechu, Jim - jęknął John. - Kendall złoży ci zeznanie później. Na razie powinna zająć się dzieckiem, a mnie należy się, jak sądzę, parę szwów.

Pepperdyne zrobił im przejście, po czym odsunął się, by umożliwić wstawienie noszy z Johnem do karetki.

- Wyzdrowiejesz? - spytała Kendall nerwowo.

- Na pewno - uspokoił ją. Poklepał Kevina po pupce.- A z nim wszystko dobrze?

- Nawet tego nie zapamięta.

- Za to ja nigdy nie zapomnę - powiedział cicho. - Niczego.

Patrzyli na siebie, dopóki drzwi karetki się nie zamknęły, a potem odprowadzała samochód wzrokiem, aż wyjechał z podjazdu na drogę.

- Pani Burnwood ... - Pepperdyne dotknął jej ramienia. - Mój wóz czeka, żeby panią zawieźć do miasta.

- Dziękuję.

Usiadł przy niej na tylnym siedzeniu. - John to twardy facet. Wytrzyma.

- Wiem - uśmiechnęła się leciutko.

- Źe jest twardy czy że wytrzyma?

- Jedno i drugie.

- Hmm ... Naprawdę się rozpromienił na widok pani synka. Nigdy nie widziałem, żeby się czuł tak swobodnie przy dziecku.

- Dlaczego?

Opowiedział, co się zdarzyło w Nowym Meksyku.

- Wciąż się o to obwinia.

- Tak, to możliwe - stwierdziła, kiwając głową w zadumie. - Traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie.

- Przesadza z tą obowiązkowością. Każdego dnia. Jestem pewien, że obarczy się także winą za śmierć Ruthie Fordham, kiedy tylko będzie miał czas o tym pomyśleć.

- Mam nadzieję, że nie. To by było straszne.

Pepperdyne nic nie powiedział, patrzył tylko na nią z ciekawością.

- Chyba powinienem pani przypomnieć, że wciąż jest pani świadkiem pozostającym pod nadzorem Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Zeznam, co widziałam tamtej nocy w lesie koło Pros per, panie Pepperdyne.

- Notatki, które pani zostawiła w Denver, okazały się dla nas bezcenne przy formułowaniu oskarżeń.

- Cieszę się. Brotherhood powinno się zniszczyć. Pomogę doprowadzić ich przed oblicze sprawiedliwości bez względu na to, ile by to miało mnie kosztować osobiście.

Skinął głową i na moment zapatrzył się w okno.

- Pozostaje jeszcze sprawa wprowadzenia oficera federalnego ...

- Fakt. Zrobiłam to.

- Hmm ... Władzom z pewnością się to nie spodoba.

- Straszliwie bałam się mojego byłego męża i teścia - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - i teraz już pan wie, że słusznie. Sądziłam, że jedyne, co mi pozostaje, by ochronić siebie i Kevina, to zniknąć i ukrywać się przez resztę życia. Nie żałuję tego, co zrobiłam. Gdyby wynikła taka konieczność, zrobiłabym to znowu. Z jednym wyjątkiem: nie wplątałabym w to Johna. Naraziłam jego życie i nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Wypełniał swoje obowiązki.

- Właśnie. Znowu obowiązki.

- Pani Burnwood, kiedy on właściwie odzyskał pamięć?

- Sama żałuję, że nie wiem - odparła uczciwie.

- Pani Burnwood ...

- Nienawidzę tego nazwiska. Proszę, niech pan się dłużej tak do mnie nie zwraca.

- W takim razie jak powinienem panią nazywać? - Peppperdyne patrzył na nią surowym wzrokiem.

- Nazywają się Crook - powiedziała Kendall.

- Aha - potwierdziła Ricki Sue. Trzymała Kevina na kolanach, pozwalając mu wpychać do buzi swoje purpurowe paciorki. - Sukinsyny chcieli mnie zabić.

Pepperdyne poprosił Kendall, by zidentyfikowała dwóch mężczyzn zatrzymanych w areszcie w Sheridan. Znaleziono ich dokładnie w miejscu, które wskazała policjantom Ricki Sue, przywiązanych do drzew, nagich i pokrytych bąblami od ukąszeń moskitów.

- To Henry i Luther - oświadczyła, a potem opowieedziała o procesie Billy'ego Joe oraz o tym, jak tragicznie się zakończył. - Rodzina powzięła do mnie urazę, domyślałam się więc, że ruszyli w pościg, aby ubiec Matta i Gibba - zakończyła.

- Dzięki mnie prawie im się udało. - Oczy Ricki Sue zasły łzami. - Za każdym razem, jak pomyślę, co się mogło stać tylko dlatego, że się upiłam i rozpuściłam jadaczkę ...

Kendall wyciągnęła ręce ponad zasłanym papierami biurkiem Pepperdyne'a i z czułością uścisnęła ramię Ricki Sue.

- Na odwrót. Gdyby nie ty, pan Pepperdyne ani jego ludzie nie przybyliby na czas. Dopóki do nas nie dotarli, John ... doktor McGrath zwoził Burnwoodów znakomicieedokończyła niezręcznie.

John, który odmówił pozostania w szpitalu dłużej niż jednną noc, stał podparty na kuli, trupio blady, ze świeżą szraamą na skroni; złamaną wcześniej nogę wciąż miał w gipsie, a lewe ramię spoczywało na temblaku. Kula ze strzelby Gibbba przeszła przez pierś, . mijając o włos arterię. Kendall ścisnęła w gardle za każdym razem, kiedy pomyślała, jak blisko był śmierci.

Pepperdyne odchrząknął, by przerwać denerwującą, naładowaną emocjami ciszę.

- Rząd proponuje pani oddalenie wszelkich oskarżeń w zamian za zeznanie przeciwko Brotherhood - oznajmił.

- Szczodra oferta - zauważyła.

- Cóż, trudno udowodnić fakt uprowadzenia, kiedy jego ofiara nie umie określić, od jakiego momentu współuczestniczyła w nim dobrowolnie. - Pepperdyne posłał przyjacielowi pełne rezerwy spojrzenie.

- Nic nie pamiętam - odparł John uprzejmym tonem.

- Bardzo śmieszne - stwierdził agent specjalny, zamknął skoroszyt i wstał, zamierzając zakończyć spotkanie. - Panno Robb, dziękuję za okazaną nam pomoc.

- Nie myśl sobie, że mnie tak łatwo spławisz, Pepperrdyne - oświadczyła Ricki Sue. - Będiesz przyjeżdżał na rozprawy sądowe do Karoliny Południowej, nie?

- Od czasu do czasu.

- Ja też tu czasem będę - obdarzyła go uśmiechem. - Zostałam zaproszona, żeby wpadać, no i pomogę opiekować się Kevinem, gdy Kendall będzie musiała pójść do sądu.

- Aha.

- No, nie musisz robić od razu ponurej miny. Poza tym, jesteś mi winien wieczór.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć, kiedy mi przypominasz co piętnaście minut?

Nagle otworzyły się drzwi i wpadł przez nie młody mężczyzna. Kendall zbladła.

- No nie - jęknęła Ricki Sue. - Teraz to naprawdę tkwimy po uszy w gównie.

- Cześć wszystkim. - Nowo przybyły mężczyzna wodził wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. - Cześć - odpowiedziały obie.

- Jak wam leci?

- W porządku - stwierdziły zgodnie.

- Co to za facet? - wtrącił się John.

- Kto pełni służbę? - spytał młody mężczyzna.

- Ja. - Pepperdyne dał krok do przodu.

- Co się do cholery dzieje? Nic nie rozumiem. Dlaczego się tu znalazłem? Myślałem, że zdjęliście mnie już z widelca.

- Proszę się uspokoić - mitygował go Pepperdyne.

- Uspokoić? Niby jak, do cholery! Pilnuję swojego nosa, jem akurat makaron w swoim apartamencie w słonecznym Rzymie, a tu wchodzi dwóch goryli, przedstawiają się jako szeryfowie Stanów Zjednoczonych i następne, co pamiętam, to podróż samolotem z pozdrowieniami od Wuja Sama. Złapał się pod boki, by dobitniej wyrazić oburzenie, i zapytał: - No, co się wyrabia?

- Myślę, że wszyscy tu pana znają, oprócz Johna - powiedział Pepperdyne i zwróciwszy się do przyjaciela oznajmił: - Doktorze McGrath, proszę poznać KendaIIa Deatona.

Rozdział czterdziesty siódmy

- Raczej trudno to wyjaśnić.

- Spróbuj.

Siedziała z Johnem w biurze. Ricki Sue złapała prawdziwego KendaIIa Deatona za rękę i wyciągnęła go z pokoju. Wciąż wyrzucał z siebie jakieś pytania, domagając się wyjaśnień, i w końcu obiecała, że mu ich udzieli, jeśli się zamknie i da jej wtrącić choć słowo. Pepperdyne wraz z dwoma szeryfami również się wynieśli.

- KendaII Deaton był prawnikiem zatrudnionym w Bristol i Mathers - zaczęła. - Miał pewne problemy z partnerami, gdy powstało domniemanie, że manipuluje dowodami. Nigdy mu tego nie udowodniono, niemniej powszechnie uznano, że nadużył swoich uprawnień. Nie sformułowano oskarżenia, ale został zwolniony z firmy. Przez kilka miesięcy rozsyłał oferty do różnych firm, ale żadna nie była zainteresowana prawnikiem z plamą na zawodowym życiorysie. Parę miesięcy po jego wyjeździe nadszedł list z Prosper w Karolinie Południowej. Wyglądało to jak odpowiedź na jego ofertę, więc przesałam mu go natychmiast. Zadzwonił, podziękował, potwierdził, że istotnie zaproponowano mu pracę, ale nie jest zainteresowany jej podjęciem. Wiódł wesoły żywot kawalera w Rzymie, gdzie zatrudniono go jako konsultanta do spraw marketingu, co niezwykle mu się podobało. Wtedy zdecydowałam się w to wejść. - Spojrzała na Johna, mając nadzieję, że dostrzeże choć cień zrozumienia, ale jego twarz pozostawała obojętna. - Ukończyłam z trzecią lokatą studia prawnicze. Byłam jedną z najbardziej

obietujących prawniczek w Bristol i Mathers, mimo to powierzano mi tylko podrzędne sprawy. Nie budziły we mnie ani krzty zainteresowania, bo nie stanowiły żadnego wyzwania, poza sprawą kobiety chorej na AIDS, która tak bardzo potrzebowała pomocy. Wtedy zorientowałam się, że nie pasuję do wielkiej, nastawionej jedynie na zarabianie pieniędzy firmy. Chciałam sprawiedliwości dla wyrzuconych poza nawias. Zaczęłam rozsyłać oferty do różnych stanów, ale nie udzielano mi zachęcających odpowiedzi. Kiedy Kendall Deaton zrezygnował z propozycji zatrudnienia w Prosper, wyglądało to dla mnie jak ... jakby przesłano mi znak. Babcia i Ricki Sue stwierdziły, że oszalałam, ale ja oczywiście odpowiedziałam na tę ofertę, podpisując się jako Kendall Deaton. Przybranie cudzego nazwiska okazało się niezwykle łatwe, chociaż teraz wiem, dlaczego w Prosper nie sprawdzili dokładnie przesłanego im dossier - dodała kwaśno.

- Potrzebowali skorumpowanego obrońcy publicznego powiedział John.

- Otóż to. Skaza na jego życiorysie przekonała ich do niego. Tego właśnie szukali. Kiedy zobaczyli, że jestem kobietą, zareagowali odrzuceniem. Ale gdy to rozważyli, doszli jak sądzę do wniosku, że kobieta będzie im bardziej powolna. Albo bezradniejsza ... - Zamyśliła się na moment. - Może motywy, którymi się kierowałam, nie wyglądają w oczach doktora psychologii na tak altruistyczne, jak sądzą inni. I jak ja bym chciała je widzieć. Może kierowała mną ambicja prymuski. Chciałam wszystkim pokazać, jaka jestem zdolna, zadowolić rodziców ... Dopiero ty pozwoliłeś mi dostrzec, że to niemożliwe. A może nie dano mi wykorzystać tej możliwości, ponieeważ powodował mną egoizm, wbrew temu, co twierdziłam. Babcia ostrzegała mnie, że nic dobrego nie wynika z kłamstw, i miała rację.

Usiadła na brze~u biurka Pepperdyne'a. Kevin spał w noosidełku. Uświadomiła sobie, że John podchodzi bliżej, usłyszała znajome jej już kroki, poprzedzone stukotem gumowej końcówki kuli. Stanął za nią, wyciągnął rękę i delikatnie zakołysał nosidełkiem. Pogłaskał policzek Kevina. Serce jej stopniało na widok jego opalonego palca dotykającego gładkiej dziecięcej skóry. Nie tylko dlatego, że okazał w ten sposób uczucie jej synkowi - także dlatego, że przewyciężył własne zmy.

- Zdawałaś sobie sprawę, że stracisz wszelką wiarygodność w oczach władz i sędziów przysięgłych, gdy wyjdzie na jaw twoja fałszywa tożsamość?

- Oczywiście. Bo kto by uwierzył w dziwaczną opowieść osoby, która sfabrykowała własny życiorys? Nie miałam innego wyboru, jak uciec i ukryć się. Najpierw w Denver, a potem ... - spojrzała na niego przez ramię i wyszeptwała: _ . z tobą.

Wzjął ją za rękę i wyciągnął zza biurka. Kiedy stanęła naoprzeciw niego, przesunął palcami po krótkich, postrzępionych włosach. Jego oczy bładziły po jej twarzy. Przytulił ją do siebie porywczym ruchem i objął mocno.

- Mogli cię zabić - powiedział gniewnie. - Myślałem, że będę na to musiał patrzeć.

- A gdybyś to ty umarł przeze mnie? Co by było, gdybyś ty umarł? - Oplotła go ramionami i schowała twarz na jego szyi.

Przez długi moment trwali tak, przytuleni do siebie. Wreszcie John odstąpił krok do tyłu.

- Nie winię się za to, co mnie spotkało.
- Jeśli ty nie będziesz się winił za śmierć szeryfa Fordham.
- To trudne - skrzywił się. - Będziemy nad tym oboje pracować.
 - Oboje?
- Myślę, że możemy we troje spróbować stworzyć rodzinę. Co ty na to?
- Potrzebujemy cię z Kevinem. A ty nas. - Poglaskała go po twarzy, lekko dotykając blizny po ranie, z której wyjęła szwy. - Nie mam nic do zyskania kłamiąc, więc wiesz, że to prawda. Kocham cię, John.
- Ja też cię kocham. -- Odchrząknął, by opanować wzruszenie. - Przyjemnie byłoby poznać twoje imię.
- Zdradzę ci je, jeśli mi powiesz, kiedy wróciła ci pamięć. Powoli uśmiech rozjaśniał jego twarz. Pochylił głowę i całował ją długo i mocno w usta. Łatwo by jej przyszło zatracić się w tym pocałunku, ale odchyliła twarz, by na niego spojrzeć.
- No, John?

Wciąż się uśmiechając, pocałował ją znowu.